

ROBERTO PAZZI

POKÓJ NA WODZIE

Przełożyła Monika Woźniak

*(...) Na kartach historii
jest tylko parę linijek o tobie, więc łatwiej cię mogłem
stworzyć w wyobraźni.*

Konstandinos Kawafis, *Cezarion*
przeł. Ireneusz Kania

46 ROK P.N.E.

OSTATNIA NOC

– Zamilkły już służki Kalpurnii i całe domostwo pogrążyło się w milczeniu. Mam zgasić lampy oliwne, Cezarze?

– Ja to zrobię. Jeszcze nie mogę udać się na spoczynek, ale ty idź, jeśli chcesz.

– Dobranoc, Cezarze, zbudzę cię jutro o umówionej godzinie.

– Do jutra, Licyniuszu, śpij dobrze.

Bez wątpienia o brzasku niebo nad Pałatynem zabarwi się na czerwono i na fioletowo. Lampy Cezara nie zdołają opóźnić nadejścia poranka, nie zatrzymają przy sobie nocy. Cezar popatrzył na swoje dłonie, zeszepeczone ciemnymi cętkami. Takimi samymi, jakie przedwcześnie pojawiły się również na mlecznobiałych dłoniach jego matki. Przyjrzał się błękitnym żyłom na przegubach: ileż dni minęło dla tych żył, wymykając się wszelkiej rachubie, ukradkiem.

I ileż kształtów ujrzanych przez oczy uleciało, i ileż znanych ciał nie wdychało już słodkiego powietrza letniego dnia.

Wstał od stołu, na którym piętrzyły się zwały dokumentów, i przystanął na tarasie wychodzącym na Kapitol, rozkoszując się rześkim nocnym powiewem. Rozmyślał nad tym, jak wielkie wrażenie na jego żonie wywarł barbarzyńca. Najwyraźniej i ona przejęła się zapowiedzianą egzekucją. Słyszał, jak w nocy rozmawiała we śnie ze zwyciężonym i zadawała mu pytania, których nie ośmieliła się wymówić w dzień. Pytała o jego synów, o najstarszego z nich, powierzonego w Galii kobiecie, która nie była jego matką. Szepty śniącej żony brzmiały niemal jak modlitwa, jak gdyby bezpłodna Kalpurnia zamierzała prosić dla siebie o jedno z jego dzieci...

To koniec. Dla tego człowieka już niczego nie można było zrobić.

Cezarowi udało się opóźnić jego śmierć o sześć lat. Za kilka dni w jednej uroczystości miał połączyć cztery triumfy, uchwalone przez senat. Wynajdywał najrozmaitsze wymówki, aby je odsunąć w czasie, ale zbyt wiele ważnych spraw wiązało się z tymi obchodami. A po nich więzień musiał umrzeć.

Cezar rozpoznawał z wysokości zarysy budynków, które zasłaniały większą część Więzienia Mamertyńskiego. Nie mógł oderwać wzroku od jego widocznego fragmentu.

Czuł się pokonany.

Od wielu lat Rzym był areną wyniszczających walk między dwoma przywódcami. Najpierw między Mariuszem a Sullą, potem – między nim samym a Pompejuszem. Miasto poddawało się nieokiełznanemu żywiołowi tyranii, w którym jednostka wznosi się ponad stado niewolników.

Kiedy płynął w górę Nilu z Kleopatrami, razem z astronomem Sosigenesem i kilkoma najwierniejszymi towarzyszami wyprawił się do granic pustyni, dokąd nikomu innemu nie udało się dotrzeć. Pewnej zimnej nocy wraz z Sosigenesem długo zastanawiali się, czy to możliwe, by ktoś kiedyś wyłonił się zza horyzontu, zamierzając napaść na Egipt i Rzym. „To nader nieprawdopodobne”, szeptał powściągliwie Egipcjanin wyciągnięty na piasku, na którym widniały jeszcze linie czynionych godzinami rachunków astronomicznych. Potem wstał i wskazał w górze, na niebie, konstelację świętego skarabeusza, znak Cezara, który wcześniej zapisał w tajemniczych symbolach na piasku.

– Jesteś chroniony przez te kształty, twoje życie zostało zapisane w tym półokręgu ciał niebieskich. Twoja egzystencja jest wtłoczona między dwie gwiazdy, czułą i gwałtowną, które są jak podwójna dusza świata opiekuńczego i niszczącego. Księżyc jest ci przychylny. Dlatego kobieca natura tłumów zawsze pociągnie za tobą, woda nie będzie twoją nieprzyjaciółką, umiejętność kłamania i zmieniania w mgnieniu oka swoich planów przyniesie ci nieoczekiwane korzyści, szybkość twoich nocnych marszów da ci pewność zwycięstwa.

Cezar przypomniał sobie teraz, że zadrżał, kiedy usłyszał te słowa.

– Co tam jest w górze, Sosigenesie? Powiedz mi, kto nadejdzie z pustyni, aby zniszczyć mój Rzym.

– Nikt, Cezarze. Twój Rzym nosi już w sobie zalążki własnej zagłady. Nikt nie nadejdzie. Nie zadawaj mi jednak pytań odpowiednich dla wróżbity, bo jestem tylko astronomem.

– A jednak dzisiaj w nocy przemawiasz jak jeden z tych magów, których przepędziłeś z dworu Ptolemeusza.

– Na krańcach pustyni, tam gdzie czas stoi w miejscu, także Sosigenes pragnie wierzyć, że nicość jest wszystkim. Ty, Cezarze, wcale nie chcesz poznać daty śmierci Rzymu, lecz swoją – zakończył astronom, zmazując ślady nakreślone na piasku.

I Cezar, podniósłszy wzrok ku gwiazdom z tarasu wychodzącego na Kapitol, przypomniał sobie, jak później, już w namiocie, gdy Sosigenes leżał z zamkniętymi oczyma, na pozór pogrążony we śnie, odpowiedział mu wreszcie na jego pytanie:

– Umrzesz tak, jak żyłeś, Cezarze. Szybko i gwałtownie.

Sosigenes zrozumiał, że Cezar poszukiwał środków, aby opuścić scenę wtedy, kiedy zechce, i w taki sposób, jaki sam wybierze. Właśnie dlatego obrał astronoma na przyjaciela i współpracownika w przedsięwzięciu, które mogło zapewnić władcy absolutnemu pośrednią kontrolę nad czasem – w reformie kalendarza. Reforma miała na zawsze przechować pamięć o mądrości i potędze swego twórcy. Razem więc zmienili księżycowo-słoneczną rachubę czasu w Rzymie.

Dwa miesiące wcześniej Cezar skończył pięćdziesiąt pięć lat. W ciemnościach tego wrześniowego rzymskiego wieczoru, późnego jak jego własne życie, zdawało mu się, że wśród nawoływań strażników na Palatynie i wrzasków na ulicach słyszy delikatną kantylenę wyrafinowanych dźwięków, że snuje się gdzieś leniwa melodia. Jego spojrzenie skierowało się znowu w stronę niewidocznego w ciemnościach Zatybrza. Tam, w willi, którą kazał wybudować dla niej tak, aby przypominała pawilon na wyspie Faro, w Aleksandrii, gdzie ją pokochał, gościła Kleopatra z ich synem Cezarionem. A on był tutaj, w swoim domu, ze swoją rzymską żoną, Kalpurnią, bezpłodną matroną, którą ze względu na korzyści polityczne wynikające z tego ożenku Cezar pojął po rozwodzie z Pompeją. Ale to ona, Kalpurnia, chyba najinteligentniejsza z jego żon, a na pewno jedyna, z którą połączyła go przyjaźń, potrafiła właściwie zrozumieć i odegrać swoją rolę.

Tutaj – kobieta podporządkowana naturze rzymskiego małżeństwa. Tam, po drugiej stronie Tybru – jedyna prawdziwa królowa, choć podporządkowana Cezarowi i Rzymowi, wraz ze swą starożytną krainą. A w ciemnościach nocy, w więzieniu u stóp Kapitolu, Wercyngetoryks – pokonany, lecz nie poskromiony, gotów na przyjęcie wyroku śmierci z nastaniem dnia, niezdolny jednak do odczuwania wdzięczności dla tego, który przez lata odwlekał moment egzekucji. Jedyny – w swym nieszczęściu – człowiek równie wielki jak Cezar.

Ostatni raz Cezar widział Wercyngetoryksa przez kilka chwil po spędzeniu dnia w willi Kleopatry, gdzie przyglądał się zabawom ich syna. Oczarował go widok Cezariona, niespełna trzyletniego, a już rozumiejącego język matki, łacinę ojca, a nawet odrobinę greki zasłyszanej od jońskiej niewolnicy Lanii.

Cezarion sprawiał wrażenie nadzwyczaj rozwiniętego. Jego preceptorzy, przede wszystkim Rodon, byli zdumieni zachowaniem chłopca – często chełpił się, że jest synem dyktatora, aby zmusić nauczycieli do pobłażliwości wobec swoich wybryków. Łatwo wybaczyć takie postępowanie zwykłemu dziecku, ale gdy chodzi o syna Juliusza Cezara, trudno nie przypisywać tego szczególnej formie dumy. To było dziecko nieznoszące wszelkich autorytetów, mające świadomość swojej rangi, a jednak popadające od czasu do czasu w głęboką melancholię. Pewnego razu chłopiec znalazł w ogrodzie jeszcze ciepłe ciało martwego ptaszka i rzekł do ojca: – Prawda, że ja nie umrę?

Cezar przykucnął wtedy, by pogłaskać syna w milczeniu. I na moment przymknąwszy oczy, ujrzał, jak mała sylwetka Cezariona przybiera masywne kształty barbarzyńcy Wercyngetoryksa. Jak gdyby chcieli zamienić się wiekiem – Gal powrócił do dzieciństwa, a Cezarion postarzał się prawie o czterdzieści lat. Obu ścisłała w pasie identyczna żelazna obręcz, z której daremnie byłoby próbować się wyzwolić. A jednak te dwa życia za sprawą Cezara mogły nie wypełnić swego przeznaczenia, nie dotrzeć do granicy, w której młodość styka się ze starością. Wojownik nie zdążył poświęcić, gdyż potajemny podziw, którym darzy go Cezar, zmusił go, aby zginął na zawsze młody i stał się bohaterem mitu. Cezarion być może nie dożyje wieku dorosłego, gdyż zbyt wiele ciemnych sił, rozjątrzonych potęgą Cezara, knuło zamach na jego niewinną głowę.

Tego dnia, nie pożegnawszy nawet Kleopatry, otulonej oparami swej niekończącej się kąpieli, pozostawił Cezariona pod opieką Lanii i eunucha Porusa, aby pobiec do Więzienia Mamertyńskiego.

– Chciałeś mnie widzieć pokonanym, gdyż nie byłem zdolny ci podziękować. Zwyciężyłeś, ja nic już nie znaczę, nawet ty nie możesz mnie oszczędzić. Twój nieprzyjaciół żyje już ze swymi zmarłymi, Cezarze. Widzisz jego ciało, ale on sam już nie istnieje, nie rozumie nawet twoich majaków... Zostaw mnie, daj mi wreszcie to, co mi należne – a w każdym razie to, co po mnie przyjdzie. Nie możesz darować mi kary, możesz najwyżej ją przyspieszyć.

– A jaka łaska jest w mojej mocy, tylko w mojej?

– Możesz odwrócić uwagę tłumów od prawdy, dając im złudzenie, że życie jest czymś cennym i godnym pożądania. Tylko ty jesteś zdolny sprawić, żeby uwierzyli, iż egzystencja jest warta każdego upokorzenia, by ją zachować. W tym tkwi twoja siła. Ale strach wzbudzany przez twoje imię jest niczym więcej niż tylko maską: poznaje się go, gdy żyje się latami, szydząc z pokusy, aby narzucić władzę Cezarowi.

– Kto cię nauczył filozofować jak stoik, bezwstydnym barbarzyńco?

– Odejdź, Cezarze, nie ma sensu dłużej rozmawiać. Wkrótce za mną podążysz. Ale tobie nie będzie dane liczyć ostatnich kropli czasu.

– Jesteś młody, mógłbyś być moim synem, dlaczego chcesz odejść jak nieprzyjaciel? Kiedy zdetronizowano i zabito twojego ojca, był w tym samym wieku, w którym ty jesteś teraz. Cezar pomógł ci zająć jego miejsce.

Oparł się o ścianę ponurego więzienia, patrząc w górę, ku otworowi, przez który opuścił się na dół. To było jedyne źródło światła. Stał obok stołu, na którym leżał ten zwyciężony, o oczach już przyzwyczajonych do ciemności. Daremnie przypominać mu o czasach, kiedy był dla niego niczym drugi ojciec...

Jakże inaczej wyglądał we wspomnieniu tego odległego dnia w Galii, kiedy przyprowadzono mu do obozu młodzieńca osieroconego przez ojca, zabitego przez zbuntowanych Arwernów. Ujrzał Wercyngetoryksa przed sobą tak niespodziewanie, tak całkowicie wydanego na jego łaskę, że przez chwilę zabrakło mu słów i tylko przyglądał się mu w milczeniu. Potem wdał się z chłopcem w długą rozmowę. Ten opowiadał o polityce prowadzonej przez Arwernów przeciwko Rzymowi i jemu samemu, o swoim życiu wygnańca, niebezpieczeństwach, jakim musiał stawić czoło, aby dotrzeć bez szwanku do rzymskiego obozu. Na koniec – o samotności, o strachu przed odkryciem w każdym napotkanym człowieku mordercy nasłanego przez oprawców ojca.

To wtedy Cezar poczuł do niego sympatię – gdy tamten był samotny i zrozpaczony, pozbawiony wszelkiej broni i ochrony, poza świętą tarczą swego nieszczęścia. Przypominał sobie drewniany mostek nad rzeką. Zatrzymali się na nim w czasie przechadzki po obozie, aby popatrzeć na bystry nurt wody wypływającej z pobliskiego źródła. Tak podobne do tego źródła było życie młodzieńca: z taką samą siłą w jego żyłach płynęło niecierpliwe pragnienie, by zmierzyć się z wrogami swego ojca.

Kiedyś Cezar i Wercyngetoryks byli przyjaciółmi. Wówczas, gdy zatrzymali się na moście, wpatrując się w bieg rzeki, nie wiedzieli, że ten bieg symbolizuje oczekujące ich nieubłagane przeznaczenie. Barbarzyńca miał jeszcze wtedy czystość spojrzenia, którą lata późniejszych wojen i niewoli miały tak bardzo zmętnić. Światło w oczach młodzieńca, teraz stojącego w obliczu śmierci i zdecydowanego nie przemówić do Cezara ani słowa więcej, doznało takiej samej przemiany, jaką dziesięć lat wojny narzuciło milionom innych istnień.

Tylko jeden jedyny raz te źrenice popatrzyły na niego z ogniem. Było to po przegranej bitwie pod Alezją¹, kiedy młodzieniec oddał się w ręce Cezara, niczym rytualna ofiara, w swojej zbroi i z orężem odziedziczonym po ojcu. Cezar dał znak, aby nikt nie ośmielił się go tknąć.

Wercyngetoryks zbliżył się powoli na koniu, aż był tak blisko, że obaj mogli sobie spojrzeć prosto w oczy. Nie odrywając wzroku od Cezara, w absolutnym milczeniu zrobił wokół niego trzy okrążenia na swym czarnym koniu. Wpatrywał się w okryte pancerzem plecy zwycięzcy, w łysinę z tyłu głowy, w nieliczne szpakowate włosy zaczesane starannie na czoło, odrobinę rozczochrane przez przekorny powiew wiatru. Tysiące legionistów obserwowało gorączkowo tę scenę. Marzyli o zemście, a jednak byli zafascynowani tym rytuałem.

Zwyciężony prosił spojrzeniem, podczas gdy rzucał na ziemię oręż, rozdziewał się ze zbroi, z sandałów, z dwurogiego hełmu. Istota gotowa na mękę i powrót do nagiej ziemi.

– Jestem ofiarą godną wielkiego Cezara – obwieszczały te błękitne oczy. I rzymski prokonsul na chwilę się zawahał: pot spływał mu po skroniach i czole, zacierał ostrość spojrzenia. Ruchy pokonanego przywódcy powstania, który upadł na kolana przed zwycięzcą, obnażając szyję na cios jego miecza, były coraz bardziej zdecydowane. Długie włosy Gala zamiatały stopy Cezara, a ten czuł już w nozdrzach zapach śmierci tego ciała, oczekującego w ekstazie ciosu mającego przynieść wyzwolenie.

Oślepiiony i wściekły, a jednak pomny, by nie zdradzić miotających nim uczuć, Cezar spiorunował wzrokiem barbarzyńcę podnoszącego ku niemu głowę i przymknął powieki.

¹ Bitwa stoczona w 52 roku p.n.e. pomiędzy oblegającymi galijskie miasto Alezja wojskami rzymskimi a siłami zbuntowanych Galów.

Pozwolił sobie na kilka sekund zwłoki, by posmakować wizji, przywołując na moment całą scenę z oparów pamięci. Potem otworzył oczy i patrząc nieruchomo przed siebie, w stronę wojsk i poza nie, w tę nicość, która jest siłą budującą i obalającą mocarstwa, jak później miał mu uświadomić Sosigenes, stał się znowu Cezarem. Takim, jakim jawił się swoim legionom, wiernym własnemu mitowi i kultowi, który już się wokół niego tworzył i miał go upamiętnić jako zdobywcę Galii. Dał rozkaz, by pojmać galijskiego wodza, zakuć go w kajdany i zamknąć wraz z innymi więźniami w oczekiwaniu na słuszną karę w Rzymie.

Nieludzkie, rozdzierające wycie wydarło się z gardła barbarzyńcy, gdy wleczono go do lochu, obrabowanego ze śmierci, której tak pragnął. Ale Cezar odwrócił głowę, oderwał wzrok od tej sceny, gdyż jego umysł pochłaniały inne sprawy, którymi po odniesionym zwycięstwie należało się pilnie zająć.

Zatopiony we wspomnieniach, Cezar nie zauważył, że podmuch wiatru zgasił pochodnię na tarasie. Niebo nad Palatynem blakło niemal niedostrzegalnie, zapowiadając świt. Musiał się pogodzić z dniem i ukraść ostatnim godzinom nocy krótki odpoczynek.

GÓRNY EGIPT, 30 ROK P.N.E.

TAMBURY NA NILU

Latem, rok po bitwie pod Akcjum², Cezarion otrzymał od matki rozkaz. Miał się udać do Etiopii, płynąc w górę Nilu pod opieką swego dawnego preceptora Rodona. Tam, dzięki zabranym z sobą skarbowi, z pomocą etiopskiego władcy mógł przygotować wyprawę do Indii, gdzie imiona Rzymu i Oktawiana brzmiały równie egzotycznie jak miejsca i bohaterowie baśni. W Indiach byłby bezpieczny. Kleopatra zaś mogła zadać sobie śmierć, z nadzieją, że jej pierworodny się uratuje. Łudziła się, że pewnego dnia powróci z Indii, by odzyskać dziedzictwo ojca i pomścić matkę...

Podróż rozpoczęła się pod koniec sierpnia, gdy sprzyjał jej wysoki poziom wody w Nilu i bezksiężycowa noc. Cezarion skończył osiemnaście lat, ale wyglądał na nieco starszego. Głowę zdobił mu wąski diadem z pereł. Siedział pod baldachimem namiotu, chroniąc się przed piekącym słońcem i przed spojrzzeniami poddanych. Rządy były niepewne i wymagały energicznej ręki. Patrząc na dłonie Cezariona, załoga statku wątpiła, aby to on zdołał stanąć u steru.

² Bitwa pod Akcjum, stoczona w 31 r. p.n.e. między Oktawianem Augustem a Markiem Antoniuszem i wspierającą go egipską królową Kleopatram, zakończyła się zwycięstwem floty Oktawiana, co pozwoliło mu przechwycić pełnię władzy w imperium.

Spojrzenie ciemnych i żywych oczu syna Juliusza Cezara ślizgało się z ciekawością po brzegu rzeki: niewolnicy przykuci do wiosł widzieli, jak często osłaniał oczy białymi palcami, aby lepiej obserwować równinę wielkich piramid, Sfinksa, feluki, grupki rybaków, prawie opustoszałą przystań, różową chmurę przelatujących ibisów. Gdy Rodon rozsądnie radził mu, aby skrył się w cieniu, dłoń od razu znikła i cykady stawały się jedynym głosem Egiptu przemawiającym do uciekiniera. Dawny preceptor siedział niedaleko, na zewnątrz namiotu, sprawdzając kurs z Teodotem, synem zdrajcy, który dostarczył Cezarowi głowę Pompejusza w srebrnym naczyniu.

Uciekinierzy podróżowali od wielu dni, ich oczy i umysły były nękanie obrazami przemocy i żałoby, które targwały Egiptem i zmusiły ich do ucieczki, aby uratować spadkobiercę dynastii Ptolemeusza, obalonej przez Oktawiana. Pozostawili za sobą w Aleksandrii świat uczuć. Nie mogli też łagodzić swoich cierpień, dodając sobie nawzajem otuchy. Zbyt długo konkurowali na dworze o łaski królowej i Antoniusza, walcząc o zdobycie przewagi nad rywalami, którzy teraz stali się towarzyszami ucieczki. Najbardziej niespokojny i najbardziej nieudolnie skrywający stan ducha wydawał się eunuch Porus, zazdrosny o Lanię, o tancerza Omfalusa i o flecistę Narcyza, najbliższych sercu Cezariona, który tak samo jak jego wuj Ptolemeusz zwany Auletesem³ był podatny na magię dźwięków i pięknego głosu.

³ Auletes – flecista; z gr. aulos – rodzaj instrumentu zbliżony do fletu.

Zupełnie obojętnie zachowywał się za to stary Sosigenes. Niemal dwadzieścia lat wcześniej podróżował po tej rzece w orszaku Cezara i Kleopatry. Pamiętał dziwne pytania rzymskiego zdobywcy o wynik swoich podbojów. Nienawidził tego mężczyzny, nieprzyjaciela swego ludu, ale tak jak wielu innych poddał się sile jego osobowości, zdolnej dotrzeć do duszy człowieka, z którym rozmawiał, przeniknąć jego najintymniejsze sekrety.

Cezar, Kleopatra, Antoniusz... wszyscy byli już martwi. On, starzec, urodzony przed nimi, wciąż żył. Jaki sens miało dołączenie do tych nienawidzących się nawzajem nikczemników, by towarzyszyć mało prawdopodobnemu dziedzicowi królestwa należącego do Rzymu, który uciekał raczej po to, by uratować życie niż przegrany tron? Jego imię, otrzymane po ojcu, nie przyniesie mu szczęścia. Także Oktawian od jakiegoś czasu kazał się nazywać Cezarem: dwóch Cezarów naraz to za dużo.

Co stary astronom miał wspólnego z tym statkiem? Jego miejsce było we własnym domu, obok nekropolii w Aleksandrii, gdzie wiatr pustyni nawiewał do stojących na obrzeżach domów czerwony piasek. Powinien być teraz w swoim gabinecie. Słuchać, jak w godzinie wieczery wzywa go cioteczna wnuczka, która zrezygnowała z zamążpójścia, by zaopiekować się wujecznym dziadkiem.

A jednak dobrze wiedział, dlaczego dał się wciągnąć w to ostatnie szaleństwo, w ucieczkę rzeką ku ostatnim kataraktom Nilu, skąd trzeba będzie podążyć inną drogą. Sosigenes usłuchał swojego demona – poczucia wierności. Dożywszy tak leciwego wieku, że każdy nowy poranek stawał się darem, nie czuł się na siłach, by oddać się na usługi Oktawiana Cezara. Niewrażliwy na lęk, postanowił towarzyszyć synowi królowej w jego przygodzie, w podróży ku nicości. Niegdyś objaśnił tę nicość Juliuszowi Cesarowi, wskazując mu na horyzoncie pustyni ową niepewną linię wprawiającą rozum w kontuzję. Towarzyszył synowi człowieka, który kiedyś poprosił go o pomoc w reformie rachuby czasu. Teraz Sosigenesowi wydało się, że naprawdę może pomóc Cesarowi, próbując ochronić jego potomka.

Ostatnia rozmowa z Kleopatry, wzburzoną oczekującą ją deportacją do Rzymu, przekonała Sosigenesa, że ten szalony plan nie ma żadnych szans powodzenia. Jeśli nawet skarby dane Cezarionowi i spiętrzone w ładowni statku nie rozbudzą pożądania dworzan, jeśli nawet zbiegowie wymkną się pułapkom zastawianym przez Oktawiana, to jakie przyjęcie czeka u króla Etiopów tę garstkę wygnańców, tę grupkę niewydarzonych żołnierzy? W którejś chwili będą musieli porzucić statek i podążyć dalej pieszo. Jeśli nawet uda im się dotrzeć do brzegów Morza Czerwonego, czy etiopski król naprawdę posunie swą przyjaźń do zwyciężonej królowej tak daleko, by dać im statek na podróż do Indii?

Porus, pochodzący z tych ziem, obiecywał, że zawiezie ich bezpiecznie na zachodnie wybrzeże, gdzie żyła jego potężna i szanowana bramińska rodzina. Ale czy można ufać tym fantazjom wysnutym z pragnienia oczarowania i zachwycenia słuchaczy? W Aleksandrii, w pałacu, nikt lepiej od Porusa nie umiał zabawiać dzieci Kleopatry, które wieczorami wołały słuchać jego opowieści, niż czytać w księgach o dalekich krajach, takich jak Indie. Nie zasnęły, dopóki nie zawołano Porusa, aby opowiedział im o zwierzętach mieszkających na jego ziemi i mówiących ludzkim głosem, o ptakach powtarzających dźwięki i słowa z taką samą intonacją, jak robił to człowiek. O tajemniczym księciu i o jego niewidzialnych wojownikach, przyjmujących nagle cielesną postać w miejscach, gdzie poddani najmniej się ich spodziewali...

Teraz także pozostali trzej chłopcy, rozesłani po świecie z rozkazu królowej, która miała nadzieję ich uratować, uwolnili już od strachu przed Rzymem swe mdłe ciała, odnalezieni przez płatnych zabójców Oktawiana Cezara.

Żadne z dzieci Kleopatry nie mogło się jednak równać z synem, którego miała z Cezarem, i to nie tylko z powodu jego urody. Tam, pod namiotem, spoczywał młodzieniec, który kazał greckiej niewolnicy Lanii nosić za nim czarną kotkę. Nie potrafił się rozstać ze zwierzętkiem nawet wtedy, gdy matka i Antoniusz pokazali go ludowi, proklamując chłopca „królem królów”.

Mijały dni, a przed oczami zbiegów przesuwał się krajobraz Egiptu. Im bardziej przybliżali się do Teb, tym realniejsze stawało się niebezpieczeństwo, że ktoś ich zatrzyma. Cezarion i kotka Amaltea bawili się razem. Było jakieś podobieństwo w ich nieoczekiwanych gestach, w intensywnych spojrzeniach, przypominających nieruchomy wzrok posągów. Nie zważali na to, kto się akurat koło nich znajduje. Amaltea już wiele razy podrapała Rodona, aż ten wysyczał po cichu groźbę wobec kotki. Nie umknęła ona czujnym uszom Cezariona, który odwrócił się nagle:

– Rodonie! Gdybym miał odciążyć statek, nie zawahałbym się wrzucić do wody ciebie...

Jakże imponująco piorunował wzrokiem i zaciskał pięści, potrząsając czarnymi lokami na wspaniałej głowie: chłopiec pochodził z królewskiego rodu, potrafił pokazać, kto rządzi, nawet na statku uciekinierów. W jednej chwili obudził do życia autorytet aleksandryjskiego króla. Preceptor rozsądnie się oddalił, by usiąść obok mostku, gdzie pod osłoną namiotu Lania rozdzielala wino palmowe i z wdziękiem łagodziła napięcia.

– Gdyby nie ty, nigdy nie dotarlibyśmy tak daleko – mruczał do niej Rodon, nie potrafiąc oderwać oczu od kobiety. I poprawiał sobie ufarbowane henną włosy, przesuając upierścienione palce po skroniach i karku. Włosy wciąż gęste, mimo że przekroczył już sześćdziesiątkę.

– Ta kotka jest mądrzejsza od ciebie, Rodonie. Niczego cię nie nauczyła twoja wiedza. Cezarion kocha ją bardziej niż nas wszystkich razem wziętych – uśmiechała się Lania, odsłaniając mlecznobiałą skórę w rozcięciu tuniki, rozchylającym się, gdy nalewała wino. Jak trudno było współżyć w tak ciasnej przestrzeni. A ona, jedyna kobieta wśród pasażerów, nie wiedziała już, jak powstrzymać niektóre zaloty. Pewnego dnia Porus zabawiał ją swoją szyderczą ironią, podczas gdy jedli przy długim stole i rozkoszowali się smakiem potraw i wina:

– Popatrz na Teodota i jego paszczę krokodyla... – usta i nos Porusa wykrzywiały się, naśladując wysuniętą szczękę Teodota. – A Sosigenes? Puszczyk, widzisz, nie dotyka posadzki – i poruszał ramionami, udając trzepotanie skrzydeł. – Omfalus zaraz zarzy, jeśli dalej będzie tak nerwowo węszył... Jego nozdrza zmieniają się w chrapy. Strzeż się jednak Arey i jego furii byka... – złośliwe czarne oczy indyjskiego eunucha przyjmowały niepewny wyraz, wahając się między podziwem dla przystojnego stratega a pragnieniem wprawienia w zażenowanie kobiety, która spuszczała wzrok. Porus rozkoszował się swoją kapryśną władzą półmężczyzny, tak jak ci wszyscy, którzy utracili swoją męskość. Lania wiedziała o tym dobrze, bo miała okazję żyć wśród eunuchów na dworze. Ale w tych okolicznościach zaprzętało ją coś innego niż przypatrywanie się wspaniałym lędźwiom tych samców.

Całą swą osobą była oddana Cezarionowi, tylko dla niego otwierała rankiem oczy, gdy na chwilę czuła się zdezorientowana, wodząc wzrokiem po niskich ścianach kajuty i kołyszącej się podłodze w poszukiwaniu bibelotu ze swojej komnaty w wieży w Aleksandrii. Tam, wyglądając przez okno wychodzące na port Eunostos, marzyła, że któregoś dnia wsiądzie na jeden ze statków przecinających błękit morza i odwiedzi jońską wyspę, na której się urodziła, a potem powróci umrzeć do Aleksandrii, gdzie mieszkała już ze swoją prawdziwą rodziną.

Była niańką Kleopatry.

Nikt nie wiedział, ile naprawdę ma lat, ale wszyscy podziwiali świeżość jej ciała i piękno jej oblicza, nietknięte upływem czasu i przebytymi cierpieniami. Pochodziła z wielkiej greckiej wyspy, była niewolnicą w domu Ptolemeusza Auletesa, zanim jeszcze odziedziczył on tron. W rodzinnym mieście jej matka i babka były kapłankami kultu Wielkiej Matki w świątyni, w której przechowywano megalit zrodzony przez boginię. W dawnych czasach kobiety na wyspie zajmowały ważniejszą pozycję niż mężczyźni, zarówno w czasach pokoju, jak i wojny. Także Kleopatra zauważyła, że Lania odnosi się do mężczyzn bez lęku czy onieśmienia, traktując ich wyłącznie jak wojowników i dostarczycieli nasienia. Jedynym wyjątkiem był syn jej pani i boga Cezara. Bo to nie był śmiertelnik, ale rzymski bóg. I tak ojcu, jak i synowi okazywała inny rodzaj czci. Z tego też powodu Kleopatra przywiązała się do tej kobiety, czując w niej pokrewną duszę, ona, która sama okazała na tronie Egiptu siłę osobowości obcą wielu mężczyznom z dynastii Lagidów.

Cezarion przebywał w towarzystwie Lanii częściej niż w towarzystwie matki. Szybko zauważył, że z dala od swej opiekunki nie potrafi wyobrazić sobie ani życia w pałacu przy wielkim porcie, ani poza miastem, na jeziorze Marjut, ani w podróży, i przede wszystkim – w przyszłości. Lania musiała być zawsze razem z nim, tak jak kotka Amaltea.

I kiedy pewnej nocy, słysząc głos kobiety śpiewającej w królewskich ogrodach, poczuł przemożne pragnienie, aby ją zobaczyć, obrócił się, wołając jej imię, pobiegł boso po schodach wieży i zanim zdał sobie z tego sprawę, znalazł się w jej łóżku. Tam, w obliczu morza, zatopił się w odkrywaniu swojej samotności w objęciach tej, która przyjęła go w swoje łono, jak gdyby był dojrzałym mężczyzną, a ona młodą dziewczyną.

Kilka dni później Lania podarowała mu Amalteę, którą znalazła w świątyni Serapisa.

– Kiedy ją pogłaszczesz, to będzie tak, jak gdybyś pieścił swoją Lanię.

I Cezarion, który na dobrą sprawę znał tylko magiczne zwierzęta z opowiadań Porusa, po przezwyciężeniu początkowej nieufności wobec tej puchatej kulki tak bardzo przywiązał się do czarnej kotki z białą plamką na pyszczku, że nie potrafił się już z nią rozstać. Egipt od wieków czcił w postaci kota nie tylko pogromcę myszy, ale i potężniejsze moce, nikt jednak nie kochał jeszcze do tego stopnia zwierzęcia zdolnego przenikać wzrokiem ciemności. Kleopatra, za bardzo zajęta uwodzeniem swoich mężczyzn, by zajmować się wychowaniem własnych dzieci, nie zauważyła tego nowego dziwactwa Cezariona aż do dnia, w którym nie była w stanie przekonać syna, by rozłączył się z kotką choćby na czas proklamowania go królem.

Ale Cezarion był tak piękny... Jakże nie wzruszyć się w obliczu niewinności i urody tego chłopca? I Kleopatra zgodziła się na ten kaprys mimo dezaprobaty Antoniusza.

Właśnie o dniu, w którym podarowała Cezarionowi kotkę, myślała teraz Lania, nalewając wino Rodonowi. Poprzedniej nocy zasłonili latarnie i w absolutnej ciszy przepłynęli obok Teb, na szczęście bez żadnych problemów. Lania wciąż jeszcze miała przed oczyma napięte twarze, nastrój odnalezionego braterstwa, podczas gdy biały statek prześlizgiwał się w ciszy obok uśpionego miasta. Tylko strach przed śmiercią jednoczył uciekinierów. Teraz Lania poruszała się lekko, jak gdyby tylko muskała palmowy pokład statku: wkrótce, gdy zapadną ciemności, będzie mogła wreszcie pieścić Cezariona, wyciągnąć się obok niego w intymności kajuty. Niewolnica mogła spać u stóp swego pana, była jego własnością: nikt nie widział w tym nic niestosownego. Ich tajemnica zdołała się oprzeć nawet wnikliwemu spojrzeniu Porusa, z którym Lania dzieliła się niektórymi zwierzeniami tylko po to, by go ugłaskać i trzymać na wodzy jego smoczy język. Trudno było kochać się na statku, ale mimo wszystko nie trudniej niż w pałacu.

Z prawego brzegu Nilu dobiegały wolne i rytmiczne śpiewy grupy niewolników pracujących na polach, gdzie wody, tak jak każdego roku, wycofywały się po przyptywie Nilu. Światło zmierzchu rozpałało horyzont fioletowymi smugami, orząc ślady w błękitnym firmamencie. Greczynka Lania wspominała Faetona, który wraz ze swym wozem został strącony z niebieskiego szlaku z powodu młodzieńczej nieostrożności, i nie mogła uniknąć porównywania tej tragicznej historii z losem Cezariona, który spadł z wysokiego tronu, powierzony pieczy dworzan wiedzionych raczej strachem niż poczuciem lojalności.

– Lanio, nasz król nie wezwał mnie tego wieczoru. Być może wystarczają mu śpiewy niewolników i piękne światło zmierzchu – zbliżył się do niej flecista Narcyz.

I zaprawdę światło nieba wydawało się inne od tego, do którego przyzwyczaili się w ciągu pięciu dni żeglugi po Nilu. Jego intensywność rozmywała kontury statku i brzegów. Tylko dziób, ozdobiony zwieńczoną diademem głową o umalowanych powiekach i czarnych źrenicach, wyobrażającą Kleopatę, zdawał się przecinać ciemną sylwetką to czerwonawe jezioro, niewrażliwy na duchy i zjawy.

Tam, w dalekiej krainie – zdawała się Cezarionowi wskazywać kierunek twarz matki – tam daleko znikną strachy, zostaniesz ocalony!

Cezarion podniósł się ze swego siedziska, z Amalteą w ramionach, i stanął na dziobie, żeby podziwiać zmierzch, zauroczony gwałtownością spektaklu ciemniejącego nieba. Tam, w dalekiej krainie, z dala od Aleksandrii, od jej okrągłego teatru, od światła latarni na Faros, od nimfów w dolinie Kanaposu. Tam, w stronę wielkiego Oceanu z opowiadań Porusa, w Indiach bogatych w świątynie bogów, którzy łączą się w tysiącu różnych miłosnych uścisków, gdzie słonie i tygrysy krążą swobodnie po lasach, nie są zamknięte w klatkach w królewskich ogrodach...

– Tam daleko – mówiła do niego matka ostatnim razem, gdy objęła go i jego rodzeństwo niedługo przed wkroczeniem Oktawiana – tam daleko, gdzie nikt nas nie zna, dokąd ja także chciałam uciec...

– Więc dołącz do nas – poprosił w imieniu rodzeństwa, które nie śmiało powiedzieć, a może nawet sobie wyobrazić, jaka podróż ich czeka. I patrzył na swoją matkę, odzianą w prostą czarną tunikę, podkreślającą tragiczną piękność jej bladej twarzy, kontrastującej z czernią lnu.

– Na to już zbyt późno. Byłam królową, nie tylko twoją matką, nie mogę uciec od swego przeznaczenia, ale ty tak. Jeśli się uratuję, powrócisz i będziemy rządzić razem, jeśli nie, będą nad tobą czuwać moi wierni słudzy. A teraz idź!

– Przecież w tych dalekich krainach nikt cię nie zna, matko!

– Ale nie ma żadnej krainy, w której ja mogłabym zapomnieć o tym, kim byłam. Idź! Nie traćmy już czasu... – i te ostatnie słowa, które przywoływały wspomnienia Cezara, Antoniusza, szczęśliwych lat, zagłuszał tętent zdziesiątkowanej kawalerii, która galopowała, aby poddać się zwycięzcy. Cezarion miał już odejść, gdy usłyszał, jak matka znowu go przywołuje. W milczeniu wsunęła mu na palec pierścień w kształcie skarabeusza z trucizną ukrytą pod jadeitem.

Stojąc teraz na dziobie, tuż za ukoronowaną głową galionu, Cezarion zastanawiał się, o czym rozmawiają egipcyscy młodzieńcy, których głosy przynosił ku niemu wiatr. Jakie moce sprawiają, że ktoś rodzi się synem Cezara i Kleopatry, a nie dzieckiem biednego rybaka, pochylonego nad sieciami nad Nilem? I dlaczego właśnie w takich czasach, w tym chaosie, jako więzień umierającego Egiptu, w tej ciasnej masce? Przywoływał wspomnienie braci i sióstr, wyprawionych w podróż przed nim, a teraz wygnańców kto wie na jakiej ziemi, jeśli w ogóle jeszcze żyli. Nie miał też pojęcia o tym, że po drodze do Petry Antyllus został ścięty przez żołnierzy z własnej eskorty. Skłonił ich do tego preceptor, pragnący przywłaszczyć sobie bezcenny szmaragd, który chłopiec zawsze nosił na swym szerokim torsie. Nie mógł też wiedzieć, że Kleopatra Selene została pochwycona przez Oktawiana, gdy płynęła w stronę Cypru.

Dlaczego właśnie taki ojciec, a nie jeden z tych rybaków? Ledwie pamiętał Cezara, który przyglądał mu się w ogrodzie domu w Rzymie, gdzie mieszkali z matką prawie przez rok. Antoniusz opowiedział mu potem o dokonaniach Cezara. Pozostało odczucie obawy i zagubienia na myśl o tym heroicznym ojcu, tak odmiennym od niewysokiego, niemal łysego mężczyzny, uśmiechającego się do niego, gdy brał go na ręce. Matka twierdziła, że bardzo przypomina go postawą i sposobem poruszania się. Antoniusz uważał, że czasami ma podobny do ojca także głos, zwłaszcza gdy się rozgniewa.

Kiedy owego wieczoru na Nilu wspominał opowiadania Antoniusza o Cezarze, tylko jedno przedsięwzięcie ojca wydawało mu się podobne do tego, które sam poczynił: wyprawa morska po wodach innego oceanu, ku Brytanii. Nikt nie przemierzył wcześniej tych lodowatych wód, żaden Rzymianin nie postawił stopy na wyspie otulonej wieczną mgłą. Groźny barbarzyński król próbował wstrzymać pochód Rzymian, gdy wysiedli na łód ze swych statków.

Wszystko tam było inne: ryby, ptaki, kwiaty. Inna mowa, błękitne oczy, jasne włosy pod niebem niskim z powodu napęczniałych chmur, zawsze gotowych zrzuć na ziemię deszcz. A za tą wielką wyspą była podobno jeszcze jedna, mówił Antoniusz, nawet większa, gdzie słońce schodzi umierać każdego wieczoru. Nie zdążyli do niej dotrzeć. Ojciec Cezariona i jego legiony musieli niespodziewanie wrócić do Galii.

Cezarion także chciał zwiedzić ocean, ale ten cieplejszy, indyjski, a potem wrócić do domu z Lanią, gdy minie już niebezpieczeństwo. Być może na starość, kto wie, gdy upływ czasu zmieni go nie do poznania i nie pozostanie już przy życiu nikt z pokolenia, które widziało jego ucieczkę.

Jako starzec, czyli z konieczności samotny, opuszczony przez Lanię...

Jaki to kształt mącił świetlistą powierzchnię rzeki?

Powoli wyłonił się na niej zarys statku o zaokrąglonym dziobie, z kilkoma ludźmi na pokładzie. Machali rękami, pokazując, że pragną się przybliżyć.

Rodon dał rozkaz wioślarzom, aby zwolnili. Cezarion dostrzegł teraz pilos na głowie jednego z królewskich żołnierzy: oficer, rozpoznawszy syna Kleopatry, upadł na pokład niewielkiego statku w czolobitnym powitaniu. Lania zbliżyła się do nich razem ze strategiem Aretą.

Po krótkiej wymianie zdań z oficerem, skandowanej szerokimi ruchami ramion i potrząsaniem głową, Cezarion zobaczył, że Lania, Rodon i Areta zaczęli gwałtownie dyskutować. Co też za wieści mógł przekazać posłaniec?

Cezarion instynktownie odwrócił się w stronę Nilu. Nie chciał nic wiedzieć. Zaczął drażnić Amalteę, wkładając jej palec wskazujący do pyszczka, żeby zaczęła go gryźć i drapać pazurkami. Kotka ocierała się o pierścień z trucizną. Cezarion szybko cofnął palec. Dwa razy, na cztery próby, Amaltei udało się go zadrapać. Czyżby się starzała? Minęły dopiero dwa lata, odkąd zobaczył ją w koszyku Lanii. Ile miała lat? Trzynaście? Piętnaście? Przeszedł go dreszcz na myśl, że być może Amaltea go przeżyje, że w tych okolicznościach nikt nie może mu zagwarantować, że umknie niebezpieczeństwu.

Powinien pozwolić jej odejść, jeśli naprawdę jest do niej przywiązany.

Zwilgotniały mu oczy na myśl, jak wielka jest jego samotność w takich chwilach: nie mógł przy sobie zatrzymać nawet kota.

Odwrócił się, aby popatrzeć na Lanię, Rodona i Aretę, którzy wciąż rozmawiali z egipskim oficerem. Rodon zbliżył się do niego, z Lanią depczącą mu po piętach.

– Królu, dobre nowiny z Aleksandrii. Oktawian przyrzeka synowi Cezara tron Egiptu i zaprasza go, by wracał bez obaw. Taką wieść przyniósł posłaniec twojej matki, a oto jej dar – Rodon wyciągnął z czarnego zawoju zwierciadło osadzone na złotej rączce w kształcie kwiatu lotosu, cenny syryjski drobiazg.

Oczy Lanii rzuciły ostrzegawcze spojrzenie oczom Cezariona, kontemplującym przedmiot: widział jej odbicie, które mówiło: nie, nie ustępuj, nie przyjmuj, a potem odwracało wzrok od przekłętego daru. Cezarion stał w milczeniu, gładząc lśniąca czarna sierść na karku Amaltei, a jednocześnie powolnym gestem odsunął od siebie zwierciadło, w którym wróg chciał pochwycić jego odbicie, zanim zagarnie jego ciało.

Czerwonawe światło zmierzchu ustąpiło już ciemnemu granatowi nocy. Śpiewy niewolników na polach ucichły, słyhać było tylko plusk nurtu wzdłuż burt statku, którego dziób przecinał wodę, zostawiając za sobą białe wąsy piany. Cezarion zapragnął uchylić się od konieczności wydawania rozkazów, oddalić ją od siebie chwilą śpiewu.

– Narcyzie, zagraj arię na początek polowania.

Co chodziło po głowie temu chłopcu, zadawał sobie pytanie osłupiały Rodon. Czy to właściwa chwila, by słuhać fletu? Szaleństwo dziadka ze strony matki wysysa mu mózg. A może ten gest miał jakieś ukryte znaczenie? Greczynka niewątpliwie chciała chronić Cezariona, Rodonowi nie umknęło wrogie nastawienie niewolnicy w czasie rozmowy.

Tymczasem Narcyz nie dał się prosić i zaczął zaraz grać. Policzki nadeły mu się nadmiernie i po raz kolejny Cezarion pomyślał o kontraście między brzydkim grymasem twarzy a czystą pięknnością dźwięków. Oto i rozkielznana aria, która zachęcała, by biec do zagajnika na wyspie Faros, gdzie od czasów, gdy Aleksander założył miasto, trzymano zwierzęta przeznaczone na królewskie łowy. Cezarion uganiał się za nimi, ale nigdy ich nie zabijał. Sprawiało mu przyjemność patrzeć na szybki przebłysk ruchu między zielonym listowiem. Nie potrafił się zdobyć na zabijanie mimo wyrzutów Antoniusza, który chciał, by okazał odwagę i stawiał mu za przykład Antyllusa, przyrodniego brata, który uwielbiał pościg i nigdy nie chybiał celu. Widok tych wolnych, ale zarazem uwięzionych w królewskim lesie zwierząt, zawsze kołł duszę Cezariona i pozwalał mu się godzić z własnym przeznaczeniem. Także on nie był władcą swego losu, zrozumiał to bardzo wcześnie. Rósł w cieniu swoich rodziców, unicestwiony ich wielkimi imionami. Mógł kochać tylko niewolnicę. Bo tylko niewolnica mogła dzielić jego nieszczęście bycia więźniem potężnych rodziców. I tylko w jej ramionach Cezarion mógł zdejmować złotą maskę swojej rangi i stawać się człowiekiem.

Narcyz szybko skończył swą króciutką arię, urywając ją na najwyższej nucie. Zdawało się, że Nil unióśł ją po powierzchni wody ku pobliskim ziemiom: na bliższym brzegu, po lewej stronie, pojawiło się kilka postaci, które pokazywały sobie statek zacumowany na środku rzeki. Jak gdyby w odpowiedzi na wyzwalającą siłę muzyki rozległ się dobitny dźwięk bębna: prymitywny i narastający rytm, odrobinę tylko zmacony nutą niepokoju w pauzie, pojawiającej się zaraz po szczytowym paroksyzmie. Ten nieznaný Egipcjanin bębnił bez końca, nie przestając powtarzać cały czas tej samej kadencji.

Flecista nie umiał się oprzeć pokusie i nie pytając o pozwolenie, zaczął znowu grać.

Teraz wszyscy wreszcie zamilkli. Na pokładzie pojawili się także Teodot, Porus, Sosigenes, kilku wioślarzy i jeden żołnierz. Narcyz przewodził w duecie, wybierał melodie będące kontrapunktem dla mężczyzny grającego na bębnie, ale ten, nie umiejąc zmodyfikować swojego prostego rytmu, sprawiał, że każda melodia pozostawiała bęben w głównej roli. Brzeg odmawiał odpowiedzi, zamknięty w monotonii swej upartej i odważnej powtarzalności. Ten rytm był Egiptem niepamiętnym rządów, które nim wstrząsały, nieustraszonym w akceptacji życia we wszystkich swoich formach i postaciach. Wierny swej rzece i swemu królowi, który właśnie tego wieczoru płynął jako zbieg po wodach Nilu i prosił swoją ziemię o pomoc i radę.

Jak miał postąpić młody Cezarion? Wrócić czy płynąć dalej, opuścić Egipt czy pozostać? Pozostać i zginąć czy uciec i przeżyć?

Tymczasem Narcyz zrozumiał niebezpieczeństwo przesłania bębna i z miłości do swego pana dławił już uwodzicielską moc jego rytmu. Ten bęben musiał zostać uciszony, inaczej Cezarion przyjmie jego zaproszenie i wróci do Aleksandrii, by oddać się pod opiekę Oktawiana. Podróżnicy ujrzeni, jak Omfalus rozdziewa się i namaszczony połyskliwym pachnącym olejkiem zaczyna tańczyć, podczas gdy Narcyz wyczarowuje najśłodsze i najbardziej uwodzicielskie melodie na swoim instrumencie. Był to taniec, który Omfalus ofiarowywał tylko królowi Egiptu w dzień jego urodzin, traktując go niczym rytuał mający przynieść odnowienie sił władcy.

Stopy Omfalusa zdawały się nie dotykać drewna pokładu, nogi i ramiona kreśliły figury tak lekkie, jak gdyby tancerz uwalniał się od swego ciała, a harmonia muzyki i ciała mogła przewyciężyć jego ułomność. Ktoś na statku zrozumiał ten akt miłości dwóch artystów i chcąc go nagrodzić, dyskretnie kazał wioślarzom oddalić się od tego miejsca. Tylko nieliczni zauważyli, że żegluga została podjęta na nowo.

Gdy wszystko umilkło i flecista oraz tancerz byli już tylko dwoma ciężko oddychającymi ciałami, które odpoczywały w milczeniu po swojej metamorfozie, z brzegu nie dobiegał już żaden głos, oddalili się znacznie od miejsca, z którego rozlegał się dźwięk bębna. Gorączka króla wygrała z apatyczną rezygnacją Egiptu. Cezarion musiał kontynuować podróż.

I taki rozkaz wydał sternik, podczas gdy egipski oficer wracał do szalupy.

SPISEK RODONA

Statek, przetoczony po drewnianych balach na wysokości Syene, po pokonaniu pierwszej katarakty zanurzył się ponownie w wodach Nilu. Na horyzoncie pojawiła się święta wyspa File, pyszniąc się niewzruszonym przepychem swych świątyń Izydy i Horusa. Śpiew kapłanów sprawił, że uciekinierom znowu ścisnęły się serca, podczas gdy wyspa znikwała za rufą statku. Każdy z nich wspominał inne świątynie własnego życia, pielgrzymki do świętych miejsc ze swymi bliskimi.

Niektórzy na statku nie daliby rozkazu, by kontynuować podróż po koncercie Narcyza. Od wielu dni bili się z myślami i dręczyli rozważaniem niebezpieczeństw. Rodon od dawna uważał, że chłopiec, wychowany z dala od komnat, w których zdecydowano o rządach Egiptu, nie będzie miał dość sił, aby zagłębić się w nieznane krainy za trzecią i czwartą kataraktą na Nilu, na wysokości oazy Napata. Tam trzeba będzie przecież porzucić statek i ruszyć dalej przez jary i wąwozy w kierunku kraju Etiopów. Rodon przyjął misję zleconą mu przez zrozapconą królową, zdając sobie sprawę, że w takich okolicznościach nie może odmówić władczyni. Miał jednak zamiar wykorzystać najbliższą dogodną okazję, aby zdystansować się wobec tej wyprawy bez uszczerbku dla własnej pozycji i nie ryzykując konfliktu z nowymi zwierzchnikami.

Wiedział, że może liczyć na Aretę, który w tych burzliwych dniach ani razu nie stanął po stronie przegranych. Rodon miał też nadzieję, że przeciągnie na swoją stronę Teodota, syna przebiegłego doradcy Ptolemeusza XIV. Był pewny, że nowi zdobywcy, Rzymianie Oktawiana Cezara, zwłaszcza na początku będą potrzebować najbardziej doświadczonych egipskich dworzan, aby umocnić swoje rządy.

Nie docenił jednak siły osobowości młodego króla. Jakiś nieznaną demon musiał natchnąć Cezariona w tych dniach wytrwałością i zdecydowaniem, których nigdy wcześniej nie okazał w pałacu. Rodon przedyskutował to z Teodotem zaraz po owym dziwnym koncercie na flet i bęben. Cezarion zdawał się posłuszny czyjemuś spojrzeniu, w chwilach niepewności szukał wzrokiem spojrzenia innej osoby. A kiedy tylko je napotykał, jego twarz przybierała wyraz surowości, delikatne rysy twardniały, przypominając, że ojcem tego młodzieńca był Juliusz Cezar.

– Jest w zмовie z Lanią, tą dziwką... to ona go wspiera – zwierzył się Rodonowi Teodot. Rodon jednak nie sądził, by jego wychowanek mógł się zniżyć do związku z niewolnicą, o ile w ogóle interesowały go kobiety. Jego nieufność zwracała się raczej ku Sosigenesowi. Astronom nie uczestniczył w ich potajemnych naradach, co prawda jadł posiłki przy wspólnym wielkim stole, ale samotnie, w kącie, zagłębiony w medytacji. Wydawało się, że patrzy tylko na młodego króla, nikogo innego nie obdarzając uwagą. Jedynie dla Cezariona był skłonny nagiąć swą pychę, a więc to on musiał być tym, komu syn Kleopatry powierzał swe lęki i najgłębsze uczucia.

Rodon od lat zdawał sobie sprawę, że stracił wpływ na spadkobiercę. Zbyt wiele przymilnych uśmiechów i pochyłonych karków widział wokół siebie jego dawny uczeń, od kiedy ten głupiec Antoniusz, zniewolony przez Kleopatę, uczynił Cezariona królem jednego ze swych egzotycznych królestw, żeby się jej przypodobać. I tak chłopiec zapomniał o Rodonie, otoczony tysiącem służalczych twarzy, które towarzyszyły mu w tych latach w każdej chwili dnia. Cezarion ujrzał go ponownie u swego boku w noc niespodziewanego wyjazdu z Aleksandrii, z trudem przypomniawszy sobie nawet jego imię:

– A ty kim jesteś? Już gdzieś cię widziałem. Twoja twarz zmęczyła się przymilaniem mojej matce, nie powinienem ci ufać...

Żle się zaczęła ta podróż. Potwierdzenie złych przeczuć Rodon zyskał już pierwszego dnia żeglugi, kiedy na pokładzie zawalonym bagażami po długiej chwili, w czasie której czarne oczy księcia nie oderwały się ani na moment od jego oczu, Cezarion powiedział:

– Moja matka pomyliła się co do ciebie... – Rodon pochylił głowę, w głębi duszy czując wściekłość, na próżno czekając, co jeszcze król ma mu do powiedzenia. Od tego momentu przekonanie, że musi oddzielić swój los od losu Cezariona, stało się w jego umyśle pewnością.

Oczy Rodona zmęczyły się patrzeniem na te same nieprawości w różnych krainach, pragnął się schronić w swojej Aleksandrii, w swoim domu w pobliżu targu, rozbrzmiewającym okrzykami przekupniów, ożywionym obecnością dwóch synów, którzy być może w obliczu śmierci ojca zapomnieliby o nienawiści dzielącej ich, od kiedy byli młodymi chłopcami. Czasami Rodon wyrzucał sobie, że nie zdobył się na więcej odwagi wobec Kleopatry i nie powiedział jej tego, co myśli. Ale rozglądając się tamtego wieczoru w pałacu, zobaczył, że milczą także Teodot, Areta i Sosigenes. Dołączył więc do ich milczenia. I tak, po pospiesznym pożegnaniu się ze swymi domami, wszyscy wsiedli na statek, choć w duchu żaden z nich nie popierał planu ucieczki.

Teraz jednak Kleopatra była daleko, prawdopodobnie już martwa, wypróbowała moc trucizn na niewolnikach i zwierzętach, żeby z pomocą swego medyka Harpokratesa wybrać najmniej bolesną śmierć. Rodon wiedział to, co zdołali ukryć przed Cezarionem – Kleopatra nie mogła już nikomu zaszkodzić.

– Nieboszczyk nie kąsa – wyszeptał do ucha Ptolemeusza XIV ojciec Teodota, doradzając mu, aby zabił Pompejusza, szukającego azylu w Egipcie. Syn takiego ojca na pewno zrozumie konieczność tej godziny. Areta już z nim rozmawiał i ustalił godzinę nocnego spotkania.

Statek płynął wolniej, gdyż w nocnych godzinach połowa wiosłarzy odpoczywała. Wokół panowała cisza, miękki rytm wybijany na bębnie, w którego takt poruszano wiosłami, zwolnił.

Cienki sierp księżyca pojawiał się i znikał między chmurami, jego światło było młde i rzucało słabą poświatę na powierzchnię przedmiotów. Nie można już było dostrzec brzegów Nilu. Tylko świecące się tu i ówdzie ogniki palenisk przypominały, że ta czarna masa wód nie jest morzem. Trzej spiskowcy, owinięci w płaszcze, milczeli długi czas, upewniając się, że nie ma już nikogo w pobliżu wielkiego baldachimu na rufie, na którego frędzlach dzwoniły od czasu do czasu małe dzwoneczki, poruszane wiatrem.

– Rodonie, jestem z wami. Teraz trzeba zdecydować, co z chłopcem.

Głos Teodota naruszał harmonię ciszy. Dźwięczała w nim zapiekła uraza, jak gdyby chodziło nie tylko o pozbycie się tego jednego egipskiego chłopca, ale wszystkich ludzi stąpających po ziemi. Tkwiło w nim echo dawnych cierpień, o których nikt nie wiedział, wspomnienie mężczyzny opuszczonego przez cudzołożną żonę z nowo narodzonym synem, który potem, już jako młodzieniec, zmieniwszy imię z powodu infamii otaczającej ojca, odmówił spotkania się z nim i wyparł się ich pokrewieństwa.

– Zawieźć go w kajdanach do Aleksandrii, oddać Rzymianom. Wydaje mi się, że to najkorzystniejsze rozwiązanie – odpowiedział Rodon. I przewidując ich obiekcje, łatwe do odgadnięcia z tonu głosu Teodota, dodał:

– Sternik jest moim człowiekiem, to ja poradziłem Kleopatrze nająć go jeszcze na Cyprze i na pewno pójdzie za moim przykładem. A wraz z nim co najmniej połowa żołnierzy – mówiąc, patrzył na Aretę, aby zyskać jego poparcie w rozgrywce z Teodotem.

– Jeśli uwolnimy wiosłarzy, oni także przejdą na naszą stronę – odpowiedział wymijająco Areta. Czterdziestoletni strateg rozglądał się bezustannie wokoło, zaniepokojony dłuższym wychynięciem księżycy spomiędzy chmur.

– A pozostali? Lania, Porus i dwaj artyści to intryganci. Lepiej pozbyć się ich od razu, zanim zdążą zaszkodzić, szybko i bez śladów...

– proponował swym bezdzwięcznym głosem Teodot. Rodonowi wydawało się, że świadomie karykaturuje swego ojca, kalkuluje efekt swoich słów, przywołując wspomnienie jego złej sławy, aby zmusić ich do pójścia za jego radą.

Rodon od dawna żywił skrytą namiętność do Lanii, już od kiedy zostali wybrani, aby towarzyszyć Kleopatrze w podróży do Cylicji, gdzie nad rzeką Kydnos królowa Egiptu po raz pierwszy spotkała się z Markiem Antoniuszem, rzymskim triumwirem.

Dworzanin dał się porwać urokowi tych dni, o których opowiadano sobie cuda na Wschodzie i na Zachodzie, rzeczy, które obruszyły Oktawiana. Na obszarze wielu mil wokół ujścia Kydnos marynarze z sąsiednich krain tworzyli publiczność tego widowiskowego uwodzenia, udającego spotkanie polityczne.

Lania, wtedy o czternaście lat młodsza, wyróżniała się pośród najulubieńszych służek królowej Egiptu. A Rodon, mający zadanie tłumaczenia Antoniuszowi na łacinę coraz bardziej osobistych wypowiedzi swojej władczyni, dał Lanii do zrozumienia, muskając jej nieskazitelne dłonie, które podawały mu królewskie papirusy, że mogliby robić zupełnie co innego w jej alkowie.

Po upływie lat uczucie do niej na nowo odżyło, mimo iż tamte zaloty nie miały powodzenia. Śnił, że Lania wróci z nim do Aleksandrii, wdzięczna za uratowanie jej życia. Teraz na pewno go pokocha. Po cichu marzył o spędzeniu z nią starości na jakimś mniej eksponowanym stanowisku, w służbie nowych władców, wreszcie wyzbyty niepokoju o niespodziewane zwroty fortuny. Jego skłóceni synowie, obaj kapłani w Abu Simbel, nie mieliby nic przeciwko temu, aby ojciec wdowiec znalazł sobie dyskretnie nową towarzyszkę życia.

Instynktowna antypatia Rodona do Teodota z Chios tylko wzrosła w wyniku złośliwych aluzji, jakie robił on na temat Lanii i Cezariona.

Zaczął uważniej obserwować tych dwoje: nie wydawało mu się, aby z ich zachowania przebijała ukryta namiętność. Wiedział jednak, że spędzali noc w królewskiej kajucie, gdzie tej kobiecie wolno było spać u stóp młodego władcy.

– W Aleksandrii mają potężnych przyjaciół i stronników. Nie chciałbym narazić się na nienawiść krewnych Sosigenesa, Omfalusa i Narcyza – powiedział Areta, skłonny do umiarkowania i zaniepokojony przedłużającą się poświatą księżycyca.

– A Porus? Co z nim zrobimy? Nie wiem, po czyjej stronie się opowie, jest tak zmienny... – marszczył brwi Rodon.

– To leży w jego naturze, nie potrafi zdecydować, co wybiera: zaraz zmienia zdanie i czuje życzliwość do tego, kogo przed chwilą odtrącił. Ja się nim zajmę, wiem, jak traktować eunuchów – wyszeptał z półśmieszkiem Areta.

– Wielką niewiadomą pozostaje sam Cezarion – powiedział krótko Teodot. W tej samej chwili księżyc przebił się znowu przez chmury, oświetlając posągowe napięcie postaci, które miały powziąć dramatyczną decyzję.

– Co przez to rozumiesz? – spytał Rodon, podczas gdy Areta dał znak, żeby mówili ciszej. W rzeczywistości Rodon domyślił się już, o co chodzi Teodotowi, ale chciał, by ten wyjawiał swój zamiysł i sam doszedł do wniosku, że jego wyrachowane okrucieństwo jest niepotrzebne.

– Trudno będzie odtransportować syna Kleopatry w kajdanach bez ryzyka, że ktoś po drodze będzie usiłował go odbić. Nie udawajcie, że nie zdajecie sobie z tego sprawy... Chłopiec jest żywym symbolem, choć sam tego nie wie i zdaje się zajęty tylko mruczeniem swego kota i wygibasami przeklętych tancerzy. A Oktawian Cezar zrobi to, co zrobimy my sami, jeśli się na to zdecydujemy!

– Nie splamię sobie rąk krwią, Teodocie. Prawdziwych aktorów tej tragedii nie ma tutaj, na statku. Twój ojciec przecenił swoją pozycję, podejmując decyzję za Cezara. Nie idź w jego ślady – zaproponował Areta, przemawiając z niezwykłą powagą. I przenikliwemu oku Rodona, przyzwyczajonego już do księżycowej poświaty, ukazało się oblicze o rozognionym spojrzeniu, jak gdyby oświetliła je jakaś tajemna wizja.

Rodon nie mógł wiedzieć, że Areta miał jeszcze przed oczyma obraz zamordowania Pompejusza na łodzi, do której Rzymianin zszedł przed portem Peluzjum, aby przeprowić się na statek króla Egiptu. Areta, wówczas dwudziestoletni hoplita, ze statku Ptolemeusza zmuszony był asystować przy całym straszliwym widowisku.

Wstawał opalizujący poranek, słońce nie spieszyło się z rozwianiem ostatnich nocnych mgieł. Areta widział jeszcze zieloną łódź Achillasa, stratega przybyłego w imieniu młodocianego króla, aby powitać Pompejusza, i proszącego o wybaczenie z powodu skromnego przyjęcia. Na łodzi – dwaj żołnierze z rzymskiego korpusu okupacyjnego, z ukrytymi mieczami, gotowi do zadania ciosu. A oto i Pompejusz, niczego nie podejrzewając, owinięty białą togą, żegna się z żoną i dziećmi, a potem schodzi, podtrzymując rąbek szaty, po stopniach drabiny, aby usiąść na rufie łodzi Achillasa. Areta wciąż go widział, jak siedzi obok wyzwolenca Filipa, chcąc powtórzyć tekst greckiej przemowy, z którą miał zamiar zwrócić się do Ptolemeusza. Potem szybka sekwencja gestów: jeden z rzymskich żołnierzy korzysta z chwili, gdy Pompejusz wstaje i odwraca się po przybiciu do burty egipskiego statku, i wymierza cios w jego plecy. Pompejusz zakrywa twarz togą zaplamioną krwią i oddaje się po stoicku na pastwę ciosów swoich morderców. Z rzymskiego statku dobiega krzyk żony i dzieci. Stado mew podnosi się z chrapliwym skrzekiem do lotu z powierzchni wody, na której się kołysało. Słońce rozpędza na koniec ostatnie smugi mgły. Z miasta dobiega rytmiczny śpiew poławiaczy gąbek, którzy wypływają z portu Peluzjum, nic nie wiedząc o tragedii, która dopiero co się rozegrała. Areta jeszcze raz przeżywa ten ospały poranek, obojętny na wydarzenie, które wstrząsnęło światem. Niczym w mechanicznej sekwencji wystudiovanych, powtarzalnych teatralnych gestów znowu widzi przed sobą głowę Pompejusza odciętą od tułowia, jego okaleczone ciało porzucone na łodzi w objęciach zrozpaczonego Filipa, ognisko zapalone na plaży, podczas gdy królewski statek porusza dwoma rzędami wiosł, aby popłynąć do Cezara i ofiarować mu tę biedną głowę jako makabryczny dowód wierności.

Nie, Areta nie chce przeżyć na nowo grozy tamtego dnia. Nie ustąpi Teodotowi, nie da się namówić do zabicia Cezariona.

Po ostatnich słowach Arety trzej spiskowcy ustalali już tylko praktyczne szczegóły, ale w głębi serca Teodot przeklinał ich tchórzostwo. Należało przystąpić do działania przed drugą kataraktą, w pobliżu Abu Simbel, gdzie w razie gdyby sprawy przybrały zły obrót, Rodon mógł liczyć na poparcie swych wpływowych synów, kapłanów w świątyni.

Tymczasem w wielkiej królewskiej kajucie Lania, nie mając o niczym pojęcia, czuwała nad snem Cezariona.

Od kilku chwil młodzieniec zaczął się wiercić we śnie, mnąc prześcieradła, jak gdyby dręczył go jakiś koszmar. Odsłonił się, nagi, leżąc na brzuchu i ukazując oczom Lanii swą złocistą skórę. Ten widok ją oczarowywał. Często w sercu nocy upajała się kontemplowaniem tego bezwłosego, muskularnego ciała, wilgotnych kępek włosów pod pachami, smukłych boków i jędrnych pośladków, długich silnych nóg. Idealna maszyna rozkoszy, która ujawniała się tylko jej samej. Lania miała wrażenie, jak gdyby to ona go urodziła, a Kleopatra była jedynie bóstwem opiekuńczym przy porodzie. Lania nigdy nie miała dzieci ani nie obcowała z żadnym mężczyzną poza starym Eumenesem, kapłanem w świątyni Wielkiej Matki, gdzie jej rodzina służyła od trzech pokoleń.

Eumenes posiadał ją pewnego gorącego letniego popołudnia w gaju oliwnym obok grotty Niobe, matki czternaściorga dzieci porażonych grotem Febusa, która według legendy tam właśnie się schroniła, aby umrzeć.

Tego ranka Eumenes, z gorączkowym spojrzeniem i czołem sperłonym potem, długo przyglądał się Lanii, zanim się do niej odezwał. Jego głos brzmiał jak głos starca.

– Wyrosłaś na piękną kobietę, Lanio... Jest lato, w domu bogini panuje żar... Pójdiesz dzisiaj ze mną do grotty w poszukiwaniu cienia...

Ona spuściła głowę w milczeniu, przypomniawszy sobie, że także jej matka została odprowadzona przez tego starca, wtedy mężczyznę w średnim wieku, do gaju oliwnego obok grotu Niobe. I tak samo babka, zabrana przez syryjskiego kapłana, poprzednika Eumenesa, ślepcę, który dla kobiet zdawał się mieć więcej oczu niż pies strzegący Hadesu. Każda z matek uznała za właściwe opowiedzenie córce o własnej inicjacji w krótkich, szybkich słowach, aby przygotować ją na nieunikniony gwałt.

Kiedy Lania ujrzała przed sobą to obnażone, czarne jak heban ciało, nie opierała się. Zadała sobie tylko pytanie: dlaczego? I kiedy starzec brał ją, dysząc oblesnie, ona, patrząc na srebrystozielone liście oliwek, słyszała swoje bezużyteczne: „dlaczego? dlaczego? dlaczego?” powtarzane niemo w nieskończoność w bzyczeniu cykad, echu jej niewydanego krzyku. Zanim otrzymała odpowiedź od Cezariona, który jej szukał i rozbierał ją, minęło ponad trzydzieści lat: jak gdyby gwałt doznany od starożytnego Eumenesa, gdy miała szesnaście lat, był przyrzeczeniem i gwarancją wznioślejszego spotkania – takiego, w którym matka i żona jednoczą się w synu i w mężu. Ona, teraz o kilkanaście lat młodsza, niż był kapłan, kiedy ją rozdziewiczył, spotkała się z młodzieńcem mającym tyle lat, ile ona w dniu, gdy słuchała cykad powtarzających jej daremne pytanie „dlaczego?”.

Muskała skórę młodego kochanka, smukły alabaster jego łędźwi rozbudzał jej pożądanie. Słyszała rytm wybijany na bębnie dla wioślarzy i szemrzący śpiew wiecznej wody Nilu wzdłuż burty. Gdyby nie te odgłosy, mogłaby zapomnieć, że znajduje się na statku. A jednak pokład był niezwykle lichej. Pod palmowym drewnem kłębiły się głębokie i zdradliwe wody Nilu. Równie niepewne i zdradliwe jak przyszłość.

– Sztylet! Jak śmiecie, zdradzieckie psy?! Zabić ich... sztylet...

Lania, słysząc słowa szeptane we śnie przez Cezariona, zadrżała. A zatem on też był świadom niebezpieczeństwa, które i ona przeczuwała, lecz nie chcąc go niepokoić, zmilczała. Chłopiec stawał się mężczyzną, by jej nie przestraszyć, swe posępne przewidywania zatrzymywał dla siebie. Już od wielu dni Lania, wiedząc, że trzej aleksandryjczycy nie chcą kontynuować podróży i upatrują okazji, by przejąć kontrolę nad statkiem, udawała, że sprzyja Rodonowi, od lat w niej zakochanemu. Pragnęła go w ten sposób powstrzymać od wcielenia w czyn jego podstępnych zamiarów.

Pomiędzy wioślarzami znajdował się niejaki Ferektrat, którego jeszcze w młodości poznała na cypryjskim dworze Arsinoe, siostry Kleopatry. Ferektrat, cieszący się zaufaniem sternika Parysa, dowiedział się od niego o buncie i o tym, ilu wioślarzy jest skłonnych brać w nim udział. Oświadczył Parysowi, że także chce dołączyć do spiskowców, po czym wyjawiał wszystko Lanii, która mu przyrzekła, że jeśli dalej będzie ją o wszystkim informował, wyjedna dla niego wyzwolenie.

– Nie obchodzi mnie odzyskanie wolności, chcę tylko, abys ty przeżyła – odpowiedział jej, opuściwszy głowę i umknąwszy spojrzeniem w bok.

Ona także z powodu miłości nie marzyła o wyzwoleniu. Greczynka przyjrzała mu się uważnie. W tym mężczyźnie wycieńczonym przez lata wiosłowania, suchym i spalonym przez słońce, z trudem rozpoznawała Cypryjczyka, który opowiedział jej pewnej nocy w Pafos historię niewolnika wyznającego swe uczucie do niewolnicy za pośrednictwem historii miłosnej. Wtedy, opancerzona swoją urazą do mężczyzn, Lania go odepchnęła. Ale teraz, pogodzona z nimi dzięki Cezarionowi i przyciśnięta koniecznością, wysłuchiwała mężczyzny przychylnie. Powróciły w pamięci wskrzeszone widokiem tej zmęczonej twarzy, tej nigdy niewygasłej namiętności, wszystkie lata spędzone na rodzinnej wyspie, potem na Cyprze i w Aleksandrii, najpierw w pokojach małej Kleopatry, potem Cezariona. Aż do ucieczki po Nilu, w stronę Górnego Egiptu, jak gdyby nie podróżowali w przestrzeni, lecz w czasie, w przeszłość, aż do chwili, kiedy o uciekinierach zagubi się wszelkie wspomnienie. Niemal całe życie spędzone na doglądaniu dzieci, najpierw Bereniki, potem Arsinoe i Kleopatry. Zdawało się, że w tej rodzinie wszelki wysiłek, aby wyżywić i utrzymać w zdrowiu potomstwo, służył ostatecznie tylko temu, by oddalić nieco koniec, zawsze i w każdym razie gwałtowny.

Ale z jej Cezarionem będzie inaczej. Nie pozwoli, aby coś mu się stało. Nieważne, jakie zaklęcia, moce i podstępny będzie musiała w tym celu przywołać.

Czasami napełniało ją lękiem, że jest kochanką syna Cezara. Potomkom wielkich tego świata było widocznie przeznaczone, że nie będą korzystać z dziedzictwa ojców, ale że zostaną zmuszeni samodzielnie wykuć sobie swój los, nadzy, bez żadnej podpory, obarczeni ciężarem swego wyjątkowego pochodzenia. Indie, tak, ta kraina uwolni go od nemezis, którą imię Cezariona przyciągało w tej części świata. Nikt nie będzie go tam łączył z imieniem władcy Rzymu.

Żyjemy zatem w kosmosie imion, które ścigają nas niczym furie. Ale gdy uciekniemy z kazamatów imienia, porzucimy także własne winy i zasługi. Wyprawa do granic znanego świata, taka jak ta, przypominała wędrówkę do innej epoki. Podróż z Cezarionem pod prąd niechętniej rzeki zdawała się Lanii powrotem na jej rodzinną wyspę, do dzieciństwa, do kolorów i kształtów widzianych, gdy otworzyła oczy jako niemowlę. Błękit nieba o świcie, zielone kępy na brzegu, nawet zmienne odbłaski na Nilu – były nowymi barwami, o których zapomniała, od lat patrząc na nie, ale ich nie widząc. Skąd nadpływała ciemna masa wód rzeki? Czasami, w nudzie popołudniowych godzin, pod prażącymi promieniami słońca, trochę zamglone oczy nie umiały nawet dostrzec, czy wody te się poruszają, czy pozostają nieruchome. Przypominała sobie wtedy dawne wierzenia o niebiańskim pochodzeniu Nilu, opowiadane i powtarzane od stuleci.

Wyciągnęła się w milczeniu obok Cezariona, uwolniona od szat i sandałów.

Czuła jego rękę i nie obawiała się już sztyletów przywołanych przez sny. Dłoń Cezariona przesuwiała się po jej ciele, jak gdyby młodzieniec rozpoznawał dobrze znany już krajobraz, nawet z zamkniętymi oczyma.

Chłopiec odwrócił się i znowu przeżył z Lanią przestrah i radość ucieczki od samego siebie, szukając w jej ciele kształtów innej kobiety.

Lania nie wiedziała bowiem, że jest cieniem ciała, którego on pożądał i którego oblicza nie znał. Najwyższe upojenie ogarniało go, gdy zdradzał kobietę otwierającą dla niego ramiona, zafascynowany pojawiającą się przed nim i znikającą zjawą. Im bardziej obsesyjny i natrętny stawał się obraz nieznanym, tym namiętniej pragnął osiąść Lanię. Wyłaniał się zawsze z tych fantazji uwolniony od poczucia winy, które leżało u podstaw jego podniecenia.

Kim była ta nieznanym?

Zadawał sobie to pytanie jeszcze w pierwszych spazmach pożądania, podniecony obawą, że Lania domyśli się, że znowu ją zdradził. I w istocie, pewnego dnia zawołała do niego:

– Jesteś daleko, nie ma cię tutaj... Gdzie jesteś? – I Cezarion przyspieszył rozkosz, zabijając zjawę atakiem płaczu. Gadający gwarek, przyniesiony na pokład przez Porusa i zamknięty w zawieszonyj wysoko klatce, aby nie dobrała się do niego Amaltea, przebudził się i zaczął się zabawiać powtarzaniem „jesteś daleko, nie ma cię tutaj... Gdzie jesteś?” tyle razy, aż kochankom pomieszały się słowa z płaczem i musieli się uśmiechnąć.

ORGIA I ZAĆMIENIE

Przed świtem Lania i Cezarion wciąż dyskutowali o tym, co wyjawiał jej Ferektrat. Cezarion chciał opowiedzieć wszystko Sosigenesowi, ale Lania obawiała się niebezpieczeństw tej rozmowy, która nie mogła umknąć uwadze Rodona, nękanego podejrzeniami i zazdrością.

Jak gdyby za sprawą czarów astronom zapukał do drzwi właśnie w chwili, gdy Parys podjął na nowo wybijanie tempa wioseł.

– Sosigenesie! Spiskują, aby zawlec nas z powrotem i oddać Rzymianom. Lania dowiedziała się tego od jednego z niewolników... – Cezarion wybiegł starcowi naprzeciw, jak gdyby spodziewał się od niego natychmiastowej pomocy. Urodzony i wychowany na dworze, oczekiwał zawsze od tych, którzy go otaczali, obdarzania go radą i siłą decyzji. Ścisnął chude ramię Sosigenesa, podczas gdy astronom wodził wzrokiem od niego do kobiety.

– Jak ma na imię ten niewolnik, Lanio?

– Ferektrat.

– Spróbuję się od niego dowiedzieć, ilu wioślarzy opowie się po stronie króla. Liczba stronników zdecyduje o naszym losie, jak zawsze. I złoto, którym przekupi się niezdecydowanych... Trzeba też zapytać Porusa, czy nam pomoże.

– Porus? A co eunuch mógłby zrobić dla Cezariona?

– Bardzo wiele, Lanio. Po części, jeśli nie zdarzyło się jeszcze nic nie do naprawienia, jest to zasługą jego bajek, jego nienasyconej żądzy opowiadania i leczenia w ten sposób ran własnej duszy.

– Co masz na myśli, Sosigenesie? – spytał słuchający z uwagą Cezarion. Temu, kto spijał z ust jego niewinne słowa, tak jak tylko książę potrafił to robić, skryty astronom nie odmawiał odpowiedzi.

– Posiadł wielką sztukę sugestii. Jeśli ci ludzie uwierzyli w powodzenie ucieczki do Indii, to stało się to także dzięki fantazjom Porusa. Eunuchowie nie są słabsi od innych mężczyzn, tylko obdarzeni innym rodzajem siły. Ale oczywiście nie wiedzą tego i nie umieją być z niej dumni. Także twoja chęć słuchania go bardzo się nam przydała.

– A Omfalus i Narcyz?

– Pójdą za tobą, zrozumiałeś to już wczoraj, kiedy tańczyli i śpiewali dla prawdziwego króla Egiptu. Wezwij ich teraz, a potem poszukaj także Porusa.

Lania w pośpiechu wymknęła się z kajuty; znalazła Omfalusa i Narcyza jeszcze śpiących, owiniętych w płaszcze, jeden obok drugiego, blisko skrzyń ze skarbami, nad którymi mieli czuwać. Lania nie wiedziała, że długo dyskutowali, czy należy powiedzieć królowi o zniknięciu naszyjnika z pereł z wielkim rubinem.

Udało jej się przeprowadzić całą rzecz tak, że dotarli przed oblicza Cezariona i Sosigenesa przez nikogo niezauważeni.

Gdy tylko Omfalus i Narcyz znaleźli się w środku, zrozumieli, że ich podejrzenia były aż nadto uzasadnione: te brakujące klejnoty stanowiły dowód, że ich pan znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Teraz, widząc jak bardzo jest wstrząśnięty tą sytuacją, rzucili mu się do nóg, przysięgając swą niezachwianą wierność. Dopiero gdy trochę się uspokoili, Lania przyprowadziła też Porusa, przyglądającego sobie włosy i przecierającego oczy zapuchnięte snem.

Statek podjął już na nowo żeglugę. Parys przyspieszył rytm bębna. Niedługo wszyscy wyjdą na pokład, aby pozdrowić wschodzące nad Nilem słońce, trzeba się było spieszyć i rozejść przed przybyciem Rodona, który jak każdego ranka miał wkrótce nadejść, by oddać hołd władcy.

Porus zdawał się nie rozumieć sytuacji, chciał, żeby powtórzyli mu wszystkie szczegóły spisku. Wyraz jego twarzy zbijał z tropu innych obecnych: jakieś dziwne poczucie szczęścia upajało jego umysł i rozświetlało i tak już piękną twarz. Nigdy jeszcze, tak wyraźnie jak w tym momencie, nie uświadamiał sobie, że jego panowie go potrzebują. W tej chwili wzruszenia wydawało mu się, że cały statek oddaje się w jego ręce i syn Cezara prosi o ratunek tylko jego, Porusa, indyjskiego eunucha, który przez całe życie czekał na to, by być przez kogoś kochanym. Radość z tego, że nie jest już tylko doradcą królowej w sprawach stroju i przedmiotem żartów służek, ale że stał się niezbędnym młodemu królowi, przytłaczała go. Nie mógł powstrzymać łez.

– Posłuchaj, mój królu, rozprawię się z ludźmi, którzy źle ci życzą... Proszę tylko, abys nie ujawniał przed nimi swojej przychylności dla mnie. Okazuj mi raczej chłód i obojętność. Mam pewien wpływ na Aretę. Potrzebuję jednak Omfalusa i Narcyza, musimy oszołomić statek dźwiękami i tańcami, jak na dionizyjskiej orgii. I musi się połać wino, dużo wina, jeśli jeszcze je mamy. W razie czego pomyślę o jego zakupie.

– Mamy zapasy, Porusie, mamy – pospieszyła z zapewnieniem Lania, która słyszała już kroki na pokładzie. I grupka ostrożnie się rozeszła.

Tego i następnego dnia wszyscy mieli wrażenie, że nie tylko wiatr wiał mocniej i dopomagał uciekinierom, wzdymając żagle statku i pozwalając odpocząć wiosłarzom, którzy przyłączali się do żołnierzy, słuchających Narcyza i Omfalusa, podczas gdy Porus nalewał wino. Zdawało się, że jakieś dobrotliwe bóstwo zstąpiło na statek, na którym zapanowała beztroska i wesoła atmosfera.

Rodon i Teodot nie zdołali ponownie z sobą porozmawiać, rozpraszeni nieustannie atencjami Lanii, odzianej w prześwitującą szatę i zapraszającej ich do przyłączenia się do frygijskiego tańca, którego Omfalus uczył marynarzy. Ta jedyna kobieta na statku zdawała się mnożyć chuć, subtelnie rozplómiętą przez wino i muzykę. Ale najbardziej transgresyjnym demonem był eunuch. Zdawało się, że odgaduje myśli tych wszystkich mężczyzn, od dawna pozbawionych towarzystwa kobiet. W Etiopii można znaleźć najpiękniejsze niewiasty na świecie, żadna Egipcjanka, żadna Greczynka czy Syryjka nie może się równać z tymi obliczami, które łączyły połysk hebanu z tajemniczą bladeścią księżycy, powtarzał Porus. Nawet Herze groziło, że straci tron u boku swego małżonka na Olimpie, gdy Zeus zadurzył się w Etiopce i przemienił w ibisa, aby do niej dotrzeć... Także Sziwa, bóg Przemiany, wzruszył się, patrząc na Etiopkę, i zapomniał o przekręceniu koła czasu...

Gdy eunuch przerywał opowiadanie, jego zmysłowe ruchy ewokowały obietnice i przedsmak rozkoszy, każąc zapomnieć o trudach przebytej drogi, o porzuconym rodzinnym mieście i pozostawionych w nim bliskich, o wojnie, o Rzymianach. Porus, upojony entuzjazmem słuchaczy, obiecał, że nocą opowie im o intymnych sekretach Etiopki i Hindusek, oczy i uszy Lanii zaś podpowiadały jej, jak dopasowywać swą kobiecość do fantastycznej iluzji stwarzanej przez Porusa, tak aby uwodzicielski spektakl, w jaki zaangażowali się oboje, współgrał we wszystkim i miał tym większą moc.

Najsilniej jednak wpływ eunucha odczuł strateg, dzielny Areta z Petry. Już od najwcześniejszych godzin owego ranka wpadł w żartobliwy nastrój, pokpiwając z Porusa przed swoimi żołnierzami i naśladując go, gdy tylko mógł. Kiedy jednak atmosfera rozgrzewała się coraz bardziej, Porus zauważył, że humor stratega się zmienił: Areta zdawał się zirytowany, że eunuch poświęca hoplitom tyle samo uwagi, co jemu samemu. Nawet tańce Lanii nie wystarczały, by odwrócić jego uwagę, a Rodon nie był w stanie przyciągnąć jego spojrzenia i namówić go na dokończenie rozpoczętej narady. Głos Porusa upajał Aretę na równi z trunkiem podsuwanym mu przez eunucha.

W końcu zapadła noc i Porus zszedł pod pokład, aby omówić sytuację.

Przez cały ten dzień i następny król nie wyszedł ani razu ze swojej kajuty, pozostając w niej razem z przestraszoną zamieszaną Amalteą i Sosigenesem, surowym bogiem intelektu, chwilowo pokonanym przez Erosa. Czarna kotka, skulona u stóp Cezariona, starała się trzymać jak najdalej od starego astronoma, jak gdyby wzbudzał w niej lęk nie mniejszy niż ludzie hałasujący na pokładzie. Od czasu do czasu zaglądała do środka Lania, aby upewnić Cezariona o wielkim sprycie Porusa, Omfalusa i Narcyza. Wszystko toczyło się gładko. Zdrajcy nie mogli się zebrać, żołnierze nie wyglądali na chętnych do słuchania o niczym innym poza zmysłowymi opowiadaniem o egzotycznych rozkoszach. Wiał przychylny wiatr, który uwalniał wioślarzy od ich trudu. Wino, doprawione przez Porusa czarnymi kapsułkami zrobionymi z błękitnego kwiatu, mającego magiczną moc wywoływania wizji, krążyło w pucharach i dopełniało czar. Lania zdołała się także dowiedzieć od Ferekrata, że już mniej więcej połowa wioślarzy jest skłonna przyłączyć się do buntu. Nie wiedziała, jak wygląda sytuacja wśród żołnierzy, ale liczyła, że tego dowie się Porus. Miała też nadzieję, że w ciągu kilku dni pozna liczbę wiernych królowi wśród wszystkich pasażerów i będzie mogła przekazać tę informację Sosigenesowi. Nie zdradzała swojego niepokoju o to, co może się stać, gdy skończy się wino, przestanie wiać przychylny wiatr, a podniecenie ustąpi melancholii, nieuniknionej po skończonym pijaństwie. Omfalus i Narcyz będą musieli kiedyś odpocząć, a Porus nie zdoła roztaczać swego uroku bez końca.

Przecucie podpowiadało jej, że pomoc nadejdzie od tego, kto wydawał się niemy. Od Sosigenesa. Wtedy nastąpi chwila, gdy na statku zatriumfuje rozum.

Nie myliła się.

Obserwując położenie słońca i gwiazd w ostatnich miesiącach, Sosigenes obliczył, że w ciągu najbliższych trzech dni nastąpi zaćmienie księżyca. Można było wykorzystać to zjawisko, aby odstraszyć największych prostaczków od wystąpienia przeciw królowi. Jednym z boskich atrybutów Kleopatry było „oblicze księżyca”, opiewane przez jej nadwornych poetów. Trzeba było, aby żołnierze uwierzyli, że teraz tym, który zaciemnia oblicze księżyca, jest jej syn, Cezarion. W chwili zaćmienia – i dopiero wtedy – Sosigenes z całą mocą swego autorytetu miał obwieścić śmierć Kleopatry i przejęcie władzy przez Cezariona, zmuszając całą załogę, aby pokłoniła się królowi Ptolemeuszowi XVI.

Ustalonego dnia Cezarion ogłosił zatem, za pośrednictwem Rodona, że nastąpi tajemnicze zjawisko, które on sam objaśni załodze zebranej na mostku, gdy przerwą żeglugę. I grzmiący głos Sosigenesa, poprzedzony fanfarami tręb w środku nocy, wskazał na zaciemnienie księżyca na niebie i zażądał oddania hołdu nowemu królowi, który zaciemniał oblicze matki i miazdżył siły ciemności, gdziekolwiek by się zagnieździły. Rodon, Teodot i Areta ugięli kolana, poddając się okolicznościom. W atmosferze odnowienia królewskiego autorytetu trudno było wygrywać kartę zmęczenia i tęsknoty za domem. Sądzieli jednak, że po jakimś czasie osobisty interes przeważy nad odrodzoną lojalnością wobec władcy: skoro był to nowy król Dolnego, Średniego i Górnego Egiptu, dlaczego uciekał ze swojego królestwa? Prędzej czy później żołnierze musieli sobie zadać to pytanie mimo machinacji Sosigenesa i Porusa. Ale tam, gdzie przestawały działać strach, wierność i lojalność, zawsze pozostawało miejsce na chciwość bogactw. Pod tym względem ci żołnierze byli tacy sami jak wszyscy najemnicy na ziemi. Dlatego też Sosigenes poradził Cezarionowi obdarzyć ich złotem i srebrem.

Twarze Rodona, Teodota i Arety znowu się zasepiły w obliczu tego sprytnego posunięcia. Rozdawanie złota było jednak ryzykowne, gdyż w ten sposób można było kupić lojalność załogi wobec Cezariona tylko na krótką chwilę. Niejednemu przyjdzie na myśl, by zagarnąć wszystkie skarby i wrócić, nie zadowolając się tymi okruchami. Tymczasem podróż przedłużała się i statek dotarł na wysokość drugiej katarakty, do Abu Simbel, gdzie musiał zostać wyciągnięty na brzeg i przetoczony po lądzie, a następnie zwodowany na odcinek między drugą a trzecią kataraktą nubijską. Właśnie tam trzej spiskowcy chcieli wcielić w życie swój plan, jeśli nie nastąpią jakieś nieoczekiwane komplikacje.

Po przepłynięciu rozległego zakola rzeki ujrzeli pewnego wrześniowego poranka gigantyczne posągi z Abu Simbel, świątyni postawionej na cześć Ramzesa II. Małe figury Nefertiti i syna były umieszczone między kolanami czterech posągów faraona. Kolana i popiersia kolosalnych rzeźb, a także ich obramowanie i wyższa część frontonu wyłaniały się z piasku, który w ciągu dwunastu stuleci pochłonął fundamenty świątyni i zsuwał się po przechylonej posadzce aż do brzegu rzeki. Nieskazitelnie biała, miękka niczym puder warstwa piasku parzyła stopy i wdzierła się do oczu, podnoszona podmuchami wiatru.

Cezarion stał wyprostowany na mostku, przystrojony w insygnia władzy królewskiej, w purpurowym płaszczu, podwójnym pasie z szafirów i ametysów wokół lędźwi, z girlandą hiacyntów na piersi. Przypominał bóstwo bez wieku i uczuć, nieruchomy posąg wyzbyty namiętności, niezdolny do przelewania łez i potu. Dalece kłamliwa była maska królewskości, która go więziła, na tle kruchej wieczności kolosów z Abu Simbel. Zaraz za nim w porządku hierarchicznym stali strateg, tajny doradca, dawny preceptor, nadworny astronom. Wszystko musiało być gotowe, by stworzyć wrażenie, że nowy król Egiptu, w pełni swej królewskiej władzy, przybywa, aby żądać przejazdu i otrzymać hołd. Król o nic nie prosił. Ofiarowywał swoim poddanym widok nieoczekiwanej obecności.

Na brzegach, wzdłuż długich pomostów, zebrał się tłumek łachmaniarzy: karły, żebracy, trędowaci, kaleki bez nóg albo ramion, prostytutki, zbiegli niewolnicy. Ta rzesza biedaków zgromadzona, by zobaczyć swego króla, zdawała się całą ludnością tego miejsca. Wyszzydzony Cezarion nie umiał ukryć swego wstrętu, gdy zbliżali się do tych nieszczęśników. Wzmagająca się kakofonia głosów, zewsząd dobiegały błagania o pomoc, prośby o jedzenie i pieniądze. Najbliższa miejscowość została wysiedlona, pozostawiono tylko tych, którzy nie byli w stanie podróżować albo których nikt nie chciał zabrać. Nikt z nich nie umiał wytłumaczyć ludziom wysłanym przez Cezariona na pomost, dlaczego tak się stało i kto wydał ten bezsensowny rozkaz. Zapasów nie było, magazyny zboża stały puste, sklepy rozgrabiono w kilka godzin i tłum nieszczęśników już od tygodni rozpaczliwie oczekiwał pomocy ze strony statków przepływających obok Abu Simbel i mających rozkaz, by się nie zatrzymywać. Opustoszała także świątynia. Synowie Rodona opuścili ją razem ze wszystkimi innymi kapłanami, nie zostawiwszy nawet wiadomości dla ojca, o którego podróży po Nilu przecież wiedzieli. Z wielką cierpliwością żołnierze Arety uspokoili tłum, obiecując pomoc, co pozwoliło im na otworzenie sobie przejścia do statku, gdzie znajdowały się zapasy: gdy tylko weszli na pokład, szybko odcięto cumy i odepchnięto żerdziami statek od pomostu.

Z brzegu podniosły się wrzaski i protesty. Ktoś uczeplił się niczym mała burty statku i został strącony w wody Nilu. Cezarion wycofał się szybko do swojej kajuty. Domyślił się, że chodziło o rozkaz wydany przez Oktawiana, mający uniemożliwić uciekinierom uzupełnienie zapasów. A zatem aż do tego stopnia Oktawian uważał Cezariona za niezastąpioną zdobycz? Aby go schwytać, gotów był ogołocić brzegi Nilu? Cezarion miał nadzieję, że ucieczka odwróci uwagę Oktawiana i skłoni go do zajęcia się swoim nowym imperium... Tymczasem to taka prawda ukrywała się za zaproszeniem do powrotu, za fałszywą obietnicą oddania korony Egiptu, takie było znaczenie złowieszczonego daru, zwierciadła mającego wyssać siłę jego tożsamości.

Chłopiec poczuł, że jest zgubiony.

Gdy zdjął z siebie koronę i pas, zerwał girlandę z kwiatów, z trudem nazbieranych przez Lanię w czasie postoju, ogarnęła go wielka tęsknota za domem w Aleksandrii, za matką, za rodzeństwem. Gdzie się podziały jego komnata, łożo, gliniane figurki, księgi, freski na suficie, którym przyglądał się każdego wieczoru przed zaśnięciem? Co tu robił, uciekinier na statku, między ludźmi, którzy go nie kochali? I dlaczego dał się nakłonić do obwieszczenia śmierci matki? Być może to właśnie ten bluźnierczy gest go zgubił. Izyda, usłyszawszy słowa wypowiedziane pod jej świętą gwiazdą, zapagnęła pomścić żyjącą jeszcze Kleopatrze... A gdyby dowiedziała się o tym jego matka? Tylko on jeden mógłby jej to wszystko wyjaśnić.

– Wróćmy do domu, Sosigenesie! Do mojej matki! Daj rozkaz powrotu, stawimy czoło Oktawianowi, nie ośmieli się tknąć syna Juliusza Cezara!

– Ośmieli się, a jakże! Nie ma już twojej matki, by cię bronić, i jesteś jedyną przeszkodą dzielącą go od władzy absolutnej. Żaden człowiek na ziemi nie oparłby się takiej pokusie, choćby miała kosztować życie młodego króla – odpowiedział z pasją Sosigenes. W tej samej chwili weszła Lania.

Na jej widok Cezarion zawstydział się i odzyskał panowanie nad sobą. Greczynka chciała im coś powiedzieć, być może przynosiła dobre nowiny. Lania umiała znaleźć coś pozytywnego w najtrudniejszych sytuacjach.

– Wyciągniemy statek na brzeg bardziej na południe, gdzie w głębokim zakolu rzeki znajduje się mały opuszczony port. Całą pracę wykonają nasi ludzie. Niektórzy pochodzą właśnie z tych stron, więc zapoleją i zdobędą dziczyznę, znają swoje ziemie. Najważniejsze to nie dać się zastraszyć temu przerażonemu Rzymianinowi: śni po nocach koszmary o Cezarionie, który jest prawdziwym synem Cezara! Niedługo opuścimy Nubię i znajdziemy się w Etiopii. Gdy minimy oazę Napata, nie będzie mógł nas już tknąć!

Zaraz potem zaczęła się przeprawa przez łąd. Wody Nilu, które na tym odcinku opadały w drugim wielkim uskoku, szumiały w oddali w ciągu tych dni marszu. Wszędzie słychać było narastający huk bystrego nurtu na kamieniach i w szczelinach. Życie płynęło dalej mimo przeszkód i nieoczekiwanych wybojów, wywalczało sobie łożysko i grunt, najkrótszą i najbardziej zuchwałą trasą. Ślepa wola, która nim kierowała, nie mogła się zatrzymać, podnosiła się z tym większą siłą naporu w obliczu zmian i przeszkód.

Po dwóch dniach marszu eskorta Cezariona połączyła się z ludźmi, którzy popychali statek na drewnianych balach, znalezionych nieoczekiwanie w dobrym stanie w górze rzeki, w pobliżu miejsca, w którym zesłi na łąd. Żeby namaścić bale tłuszczem, trzeba było zapolewać na rozpanoszone w wodzie krokodyle. Trzeciego wieczoru statek znowu żeglował po wodzie, między drugą a trzecią kataraktą.

Ale nie był to już leniwy i podstępny Nil, znany Egipcjanom z poprzednich dwóch etapów podróży. Jego koryto zwężało się, odsłaniając ławice i sterczące skały, wiry i małe wodospady. Parys, kreteński sternik, i wioślarze, niewolnicy należący do wielu różnych ludów, mimo swego doświadczenia musieli się mocno wysilać, by poprowadzić statek z dala od zdradliwych miejsc. Także tempo żeglugi znacznie się zmniejszyło. Nie można bezkarnie prowokować natury. I w umysłach ludzi ślad tego trudu niepostrzeżenie zaczął się osadzać niczym pył korodujący wolę.

W nocy Lania i Cezarion, leżąc objęci w łóżu, taili jedno przed drugim, że wśród załogi daje się zauważyć napięcie i poczucie niebezpieczeństwa. Tylko lamenty Amaltei, która dostała ciecarki i ocierała się o nogi stołu, a potem wskakiwała nieoczekiwanie na łóżo, przerywały ciszę.

Pewnego dnia, w porze posiłku, trzech marynarzy z Naukratis miało czelność zażądać, aby wysadzono ich na brzeg, żeby mogli wrócić samodzielnie do domu. Pokazywali dłonie, otarte jeszcze po długim wysiłku przetaczania statku przez drugą kataraktę. Przysięgali, że są lojalni i nigdy nie zdradziliby króla. Nie chcieli jednak kontynuować podróży, gdyż nie czuli się na siłach, by na zawsze opuścić Egipt. W domu mieli małe dzieci, błagali więc króla, aby ich zrozumiał i zwolnił z tego, co było dla nich męką i torturą. Nie chcieli na zawsze utracić swoich bliskich.

– Przeklęte psy! Od kiedy to żołnierze nie słuchają rozkazów z tęsknoty za żoną i matką? Jesteście związani z waszym panem do śmierci, którą on może także przyspieszyć, jeśli zechce, na deskach tego statku, toporem lub strzałami – wykrzyknął z furią Sosigenes z wysokości mostku, zanim jeszcze ktoś inny na pokładzie, włączywszy Cezariona, zdołał choćby odetchnąć. Rodon i Teodot, obecni przy tej scenie, także musieli udać oburzenie. Niewolnik Rodona, Żyd Ruben, sam wykonał karę na trzech winnych, przywiązanych do masztu, wymierzając im po dwadzieścia batów. Było to ostrzeżenie dla wszystkich. Narcyz, który już wcześniej żywił podejrzenia co do jednego z tych marynarzy, odkrył później w jego sakwie rubin i perły wykradzione ze skarbcza: taki był prawdziwy motyw żądania powrotu do domu, mającego rozbudzić współczucie innych. Ale po naradzie z Omfalusem postanowili nic o tym nie mówić królowi.

Za radą Sosigenesa i Porusa Cezarion coraz rzadziej pojawiał się na mostku. Trzeba było unikać sytuacji, w której jego niepewny autorytet mógłby zostać podważony przez otwartą wrogość okazaną mu przez kogoś na oczach całej załogi. Pograżony w melancholii spędzał całe dnie w swej kajucie jako dobrowolny więzień, zazdroszcząc Amaltei, która mogła wychodzić i wracać, kiedy chciała. Kiedy opuszczała ją miłosne szaleństwo, przynosiła swemu panu w podarku martwego karpia, szczura znalezionego w luku przy zapasie zboża, zerwany rzemień z sandała któregoś wiosłarza...

– Szczęśliwaś... Czemu nie jestem ibisem, rakiem albo skarabeuszem? – wzdychał Cezarion, głaszcząc łebek Amaltei i jedyną białą plamkę na jej czarnej sierści. Ona pomrukiwała, jakby w odpowiedzi, wolna więźniarka na statku. On wsłuchiwał się w jej mruczenie, gdy wyginała kark.

Z okien kajuty widział coraz dzikszy krajobraz. Roślinność zmieniała kolor, przyjmując gwałtowne i egzotyczne odcienie. Z brzegów dobiegał koncert wielobarwnych ptaków, jakich nie widział nawet w wielkich ptaszarniach swych ogrodów w Aleksandrii, gdzie nie brakowało najrzadszych okazów z całego świata.

Śpiewy tych ptaków przyprawiły go jednak o dreszcz, kiedy niespodziewanie atakowały jego uszy swoimi trylami, lamentami, szyderstwami, gwizdami, prośbami, które rozsadzały przestrzenie jego niespokojnej i obsesyjnej wyobraźni. Zrywał się na równe nogi i tłukł pięściami w ściany, pragnąc odnaleźć czarodziejską istotę zamieszkującą jego sny.

Bo wzywała go i wymawiała jego imię coraz słodszy szeptem właśnie ona, kobieta ukrywająca się w tych ptasich śpiewach, tak jak ukrywała się w kształtach Lanii, kiedy łączyli się w miłosnym uścisku. Dlaczego nie spuszczał od razu na rzekę szalupy i nie wyruszał na jej poszukiwanie, nie dbając o statek, Lanię, ucieczkę...?

A oto znowu jego imię, powtarzane przez kobiecy głos, łamiący się na ostatniej sylabie... Kai-sa-rion, Kai-sa-rion...

Potem się uspokajał. Słyszał, jak na mostku Lania rozmawia z Porusem. Czytanie papirusów na chwilę odwracało jego uwagę. Ale godziny zdawały się stać w miejscu. Bardziej niż gry na szachownicy z hebanu i kości słoniowej wciągała go lektura Herodota.

Z tych stronic promieniował czar równie intensywny jak śpiew ptaków z puszczy, ale o odmiennym charakterze. Tym, co go w nich pociągało, nie był tajemniczy uwodzicielski czar kobiecości, ale obcowanie z męskim okrucieństwem władzy, którego doświadczał na własnej skórze w ucieczce przed Rzymianami, wpisanej nieubłaganie w los jego narodzin, nadaremnie zaplanowanych jako połączenie w jednej krwi Wschodu i Zachodu. Gyges, Kandaules, Kambyzes, Cyrus, Midas, Krezus zdawali się ożywać u Herodota pod niezmiennie pogodnym niebem, pod prażącym słońcem obojętnym na udręki ludzkich istnień na pustyniach Azji i Afryki. Na podobieństwo owego bezlitosnego i oślepiającego słońca także królowie tego antycznego świata kochali, nienawidzili, zwyciężali i znikali, szybcy w karaniu zwyciężonych, zmierzający prosto do celu, wierni własnemu wizerunkowi wyzbytemu cieni i wątpliwości. Wiele razy, zwijając papyrusy, Cezarion myślał o swoim ojcu i zadawał sobie pytanie, czy dzisiaj ktoś zachowywał się jeszcze tak, jak na tych wspaniałych stronicach. Czy jego ojciec był podobny do bohaterów z przeszłości? Kim był naprawdę Juliusz Cezar?

Zadał to pytanie Sosigenesowi pewnego dnia, gdy astronom był pogrążony w obliczeniach dotyczących niedawnego zaćmienia.

– Czy naprawdę był bogiem, jak twierdzi Lania? – dodał z ironicznym uśmiechem Cezarion, siadając obok starca.

– Spędziliśmy razem całe dni, pracując nad nowym kalendarzem, żeglowaliśmy wspólnie po tej samej rzece, po której żegluję teraz z tobą. Nie, twój ojciec nie był bogiem. Jego sługa Licyniusz, który wylewał zawartość jego nocnika każdego ranka, nigdy tego nie dostrzegł. Cezara dręczył ten sam lęk przed śmiercią, co wszystkich ludzi, może nawet większy. Chciał zreformować czas, aby zwyciężyć śmierć. Ale cóż my możemy wiedzieć o tym, kim był ktoś, kto nie oddycha już powietrzem żywych? Z trudem umiem ci opowiedzieć o sobie...

– Nawet jeśli ten zmarły miał na imię Cezar?

– Zwłaszcza wtedy... Zbyt wiele ocen i namiętności ściera się z sobą. Prawdę mącą kłamstwa potrzebne historykom, o zmięczeniu tego życia nie wiesz więcej niż o jego świetle, prawie nic. I twój ojciec był tego świadom, bo chciał sam napisać o sobie, kłamiąc od początku.

– Ale ja muszę wiedzieć, kim był! To dla mnie ważne! Chcą mnie zabić, bo jestem jego synem, niech się choć dowiem, kim był!

– A co on wiedział o tobie? Krótco cię znał i wychowywał. Lepiej, aby pozostał dla ciebie niewiadomą, niż byś go poznał. Nie daj się porwać jego mitowi jak twoja matka. Uważaj, aby nie spalić sobie skrzydeł zbyt blisko słońca, odleć od niego daleko, bądź Egipcjaninem, nie Rzymianinem. Podróż na Wschód uwolni cię od niego na zawsze, nie upieraj się. Nadeszła godzina, abyś pomyślał o nowym imieniu dla siebie.

– Powiedz mi przynajmniej, jakie kobiety kochał naprawdę.

– Nikt nie umiałby zaspokoić twojej ciekawości, a już zwłaszcza starzec, który przez całe życie miłował tylko naukę. Mogę ci jednak zdradzić, że miał jednego przyjaciela szczególnie bliskiego jego sercu. Był nim barbarzyńca Wercyngetoryks.

Podczas gdy Sosigenes opowiadał, Cezarion czuł, jak po raz kolejny zamyka się przed nim możliwość poznania człowieka, który go począł i sprowadził na świat. Astronom powracał do swoich obliczeń, zafascynowany niezrozumiałym ruchem gwiazd. Być może odczuwał coraz bardziej nagłą konieczność odkrycia tego, co nikomu do niczego nie jest potrzebne. Chyba że podobnym mu samotnikom, patrzącym na ludzkie namiętności z poczuciem bezradności, bo nie można z nich wysnuć praw analogicznych do tych, które rządzą obrotami ciał niebieskich.

Ale tego dnia gwiazdy nie umiały go porwać. Wzrok starca nie odrywał się od młodzieńca, od jego ruchów ściganego zwierzęcia, tak podobnych do nerwowego podskakiwania gwarka w klatce, zaniepokojonego uporczywym i wygłodniałym spojrzeniem Amaltei.

POD POKŁADEM

Pod pokładem rządził Parys, jasnowłosy kreteński sternik. Powiadali, że wygnano go z łoża Bereniki, siostry Kleopatry, bo nie przyłączył się do niej, gdy zbuntowała się przeciw ojcu. Zesłano go, by gnił na statku. Na załogę zamieszkującą jego stęchłe czeluście składała się prawdziwa ludzka menażeria: Arabowie, Syryjczycy, Partowie, czarni Nubijczycy i mieszkańcy najdalszych oaz Egiptu. Niewolnicy pojmani w czasie wojen z Seleucydami, Mityratesem, Orodese, niektórym kulawi, inni nękani starymi bliznami, otwierającymi się w nocy pod wpływem wilgoci i dręczącymi bardziej pamięć niż ciało, gdy rozgorączkowany umysł tych ludzi, których śmierć nie chciała zabrać, majaczył w wiecznym czasie terażniejszym o bitwach i niewoli, młodości i nieudanych ucieczkach. Niektórzy byli przykuci do wiosel od dwudziestu lat, inni przebywali tu od czasów Ptolemeusza Auletesa, tylko kilku zostało zakupionych niedawno. Większość z nich nie miała już nawet siły, aby marzyć o odzyskaniu wolności i powrocie do domu. Czarni Nubijczycy czuli się dziwnie zagubieni, widząc ponownie swoją rodzinną ziemię, otwierającą się przed nimi, w miarę jak statek podążał między dwiema kataraktami. Kto wie, co się stało po tak długim czasie z ich wioskami, czy nie zostały zniszczone w czasie jednej z wielu walk plemiennych?

Niektórzy w czasie spoczynku czyścili swoje rzeczy, ktoś polerował guzy pasa z odcisniętym na nich profilem Kleopatry, ktoś inny prał krótką lnianą tunikę albo smarował tłuszczem sandały. I podczas gdy przed ich oczami przesuwali się najwyższe szczyty puszczy, myśleli o Aleksandrii i spędzonym tam życiu, jak gdyby był to sen.

Ale w Egipcie nie wiodło im się tak źle. Gorzej było w Syrii, w Celesyrii, w Arabii Petraei, przy wiosle wojennych galer dowodzonych przez niezdarnych i okrutnych egipskich strategów. W Egipcie byli przykuci do wiosł tylko w czasie podróży dworu, których za rządów Kleopatry było dużo mniej niż za czasów jej ojca. Królowa bardzo bała się wody i ten strach okazał się potem jej zgubą pod Akcjum. W czasie wojny aleksandryjczyków z Cezarem znaleźli się z przymusu pod rozkazami Potejnosa i Achillasa, przywódców buntu. Kiedy jednak Cezar zwyciężył i kazał zabić dwóch dworzan, nikomu z nich nie spadł włos z głowy. Oni nie mieli możliwości wyboru, doświadczeni marazmu, który od dwudziestu lat przenikał dwór w Aleksandrii, tak samo jak w razie przegranej bitwy tonęli razem ze statkiem, przykuci do ławek. Najstarsi, tacy jak Datis, dobrze pamiętali czasy Ptolemeusza Auletesa, żalosego głupca, który nawet na statku woził z sobą stu flecistów, by przypominali o sławie jego imienia. I gdy jedni grajkowie ustępowali miejsca innym, by nawet na chwilę nie zapadło milczenie, które jego zmacony umysł wypełniał zaraz niewidzialnymi wrogami, najeźdźcami terroryzującymi go bezbrzeżną nudą, nie dawał im chwili wytchnienia, zmuszał ich do wymyślania stale nowych melodii.

– Tylko to szaleństwo im pozostało, aby się odróżnić – zauważał ironicznie Datis. – Ptolemeuszów można rozpoznać tylko po manii, którą wyraża ich przydomek.

Panowali już Filometor, Euregetes, Soter, Filopator, Fyskon, Filadelfos, Tryfon, wszyscy tak samo niezdatni, mający te same przywary i tylko jeden cel: zabić nudę rządzenia światem, w którym nie pozostało wiele do zrobienia dla królów Egiptu.

Datis był wykształcony, jako chłopiec pobierał w Antiochii nauki razem z synem swego pana. Wioślarze nie zawsze potrafili więc nadążyć za wyrafinowanym tokiem jego rozumowania. Teraz jednak miarka się przebrała: uciekali z tym tak młodym królem, być może ścigani przez Oktawiana, czego można się było domyślić po konszachtach Parysa z Rodonem, by podjąć potem następną podróż za ocean, w stronę Indii! Absurdem było żywić choćby nadzieję, że to się uda. Za to trzej Partowie byli nastawieni entuzjastycznie. To oczywiste, że pociągały ich Indie, skoro urodzili się w pobliżu gór, które otaczały tę ziemię. Dla nich jest bliska, tak jak dla nas, Egipcjan, bliska jest Syria, myśleli sobie Parteniusz i aleksandryjczycy. To zrozumiałe, że chcą trzymać się Cezariona.

Największą żądzą, by zakuć króla w kajdany i zawrócić statek, pałał Żyd Ruben. Nie chodziło mu o zagarnięcie złota, nie. Chciał wrócić do rodzinnej Judei, gdzie jego młody książę, piękny Arystobulus, został otruty w wyniku spisku w rodzinie królewskiej. Od kiedy Ruben dowiedział się o tym przed opuszczeniem Aleksandrii, miotał się w rozpacz i przeklinał Herodota oraz jego diabelską żonę, którzy przywłaszczyli sobie tron Machabeuszy – rzekomo jako członkowie rodziny. Żydzi są ludem innym od wszystkich, niechętnym wobec sąsiadów i dumnym ze swej odmienności. Czasem niewolnicy specjalnie podjudzali Rubena, bo śmieszył ich tym swoim stałym narzekaniem.

– Ten Arystobulus był tak piękny jak nasz Porus? Opowiedz nam.

Wtedy Ruben zaczął miotać w języku Abrahama wszystkie przekleństwa, jakie podsuwała mu rozplómienna wyobraźnia, przymuszony przez wiosło i bat Parysa do pozostania na swej ławce. I spędzał dni z nadzieją, że Adonaj, jego jedyny bóg o stu imionach, wysłucha jego modłów, położy kres tej podróży i pozwoli mu powrócić do ojczystej ziemi, by pomścić swego pana. Musi się zdarzyć coś, co skłoni statek do zawrócenia...

Co prawda, od dnia, kiedy polało się strumieniami wspaniałe wino i załoga tańczyła od rana do wieczora we frenetycznym rytmie narzucanym przez Narcyza i Omfalusa, podczas gdy Porus wkładał całą duszę w opis rozkoszy oczekujących na nich w Etiopii i w Indiach, wielu zaczęło uważać, że lepiej kontynuować podróż. Być może trzeba będzie pozbyć się króla dopiero później, gdy już znajdą sobie jakąś wygodną wioskę do zamieszkania. Porus nie przestawał się nimi zajmować. W nocy zapewne to on zapuszczał się w najbardziej uśpione zakątki statku, w ową niespokojną ciemność, z której dobiegały ukradkowe kroki i szepty. Nikt nie uważał za stosowne wspominać o nich później w świetle dnia. Tylko Ruben złamał tę zмовę milczenia i w sercu nocy dał się słyszeć jego głos, czyniący gwałtowne wyrzuty eunuchowi. Przez jakiś czas nic już nie było słychać w pomieszczeniach dla załogi znajdujących się pod rufą, gdzie duszny upał i słabe światło czyniły sen i odpoczynek tylko odrobinę znośniejszymi od wiosłowania. Potem obecność Porusa znowu dała się zauważyć.

Pierwszy dotyk ręki poczuł Parteniusz, nieśmiały olbrzym z Bubastis o błękitnych oczach i rudej brodzie, który rzadko wymawiał więcej niż dwa słowa. Parteniusz pozwolił tej dłoni szukającej rozkoszy błądzić po swoim ciele, pieścić swoją twarz i żartować z rzadką brodą. Ciemność nocy sprzyjała tkliwym fantazjom, teraz gdy znalazł się tak daleko od pałacu królewskiego i od swojej Mirrine, niewolnicy o małych, lecz pięknych piersiach, smukłej i giętkiej niczym czapla, która dzieliła jego łóżko od pięciu lat. Porus nie popełniał żadnego złego uczynku, jeśli szukał w niewidocznych kształtach Parteniusza kogoś do kochania, podczas gdy ten śnił o Mirrine. Ale Parteniusz próbował także zrozumieć tego maniaka Rubena, Żyda, który miotał obelgi na eunucha, bo obrzezany przez swego boga już od pieluch, skłonny był wszędzie lękać się zasadzek grzechu.

Tak więc Porus wyczuł w zmęczonym ciele Parteniusza przyzwolenie i omdlałość, jak gdyby otrzymując uścisk od tego nieznanego, którego rysów ani koloru skóry nie mógł rozróżnić, czuł solidarność towarzysza w niewoli ich nędznej egzystencji. Ciśnięci w ostatni skrawek długiej historii potęgi Egiptu, świadkowie ulotnych rewolucji i niekończących się wojen: któż na statku nie zdawał sobie sprawy, że byli kastą pariasów, takich jak najnędzniejsza warstwa społeczna w kraju Porusa? W sercu eunucha Indie były marzeniem, które chronił za wszelką cenę, przekształcając je w niestworzone bajki opowiadane małemu Cezarionowi i jego rodzeństwu. Nie należało nawet wspominać tego szczęścia, tego kraju wolnego i niewinnego, którego ciemne strony i niesprawiedliwości starannie omijał w swoich opisach, kłamiąc także przed samym sobą.

Bogowie są tak zawistni o człowiecze szczęście! Wszędzie, pod różnymi imionami, skrywają tę samą zazdrość o śmiertelność, która obdarza ludzi niepowtarzalnym i przenikającym do głębi poczuciem mijającej godziny. Skazani na wieczność, bogowie znają tylko nudę swej młodości, nie doświadczają smaku czasu. On tej nocy rozkoszował się na nowo swym śmiertelnym darem, przeczuwając w otulonych ciemnością oczach palącą obawę przed porankiem, strach, że wszystko wkrótce się skończy. Szczęście należy tylko do ludzi, którzy mijają i trwają krótko. Porus tej nocy na Nilu był kimś potężniejszym niż bóg.

I tak jak człowiek wybiera godzinę odejścia, zanim będzie do niego zmuszony, Porus podniósł się z legowiska Parteniusza, który starał się go powstrzymać. Pragnął zniknąć tak, jak w oczach Parteniusza mogło zniknąć tylko bóstwo. Dostrzegł już pierwszy przeblysł światła i nie chciał wiedzieć, kim jest jego towarzysz. Parteniusz zrozumiał to i w następnych dniach nigdy nie próbował dać się rozpoznać przez eunucha Kleopatry. Jeśli pragnął, by to spotkanie się powtórzyło, sytuacja na pokładzie musiała powrócić do swej codziennej rutyny: Porus jako przedmiot drwin marynarzy i żołnierzy, oni znowu posłuszni uderzeniom bata i rozkazom zwierzchników. Nad wszystkimi ciążyła wielka tyrania czasu, której Porus doświadczał tak samo jak inni: nie czasu szybkiego i skrytego, nadającego intensywność godzinie i rozbudzającego zawiść bogów, ale powolnego, publicznego, masywnego czasu historii, którego ludzie nie potrafili kontrolować i pozostawiali go władzy bogów.

Parys otrzymywał coraz bardziej naglące wezwania od Rodona, by przekazał mu dokładną informację o tym, którzy wioślarze będą się chcieli przyłączyć do buntu. Kreteński sternik, chciwy złota, zdawał się uzależniać przekazanie imion i szczegółów od ilości przyrzeczonego wynagrodzenia, grając o podbicie stawki i dając do zrozumienia, że przeciwnie na ich stronę więcej marynarzy, jeśli Rodon oraz jego wspólnicy szerzej otworzą sakiewkę.

– Ten Parys oskubie nas do cna, jeśli będziemy dawać mu posłuch, pozwólcie mi się z nim rozprawić! – zagroził Areta po którymś z kolei szantażu sternika. Teodot jednak starał się złagodzić jego gniew:

– Najpierw niech nam pomoże przejąć statek. Potem będziemy mogli odebrać sobie, co nasze.

Teodot patrzył na Aretę, który zaciskał pięści i napinał niepotrzebnie swe muskularne ramiona, tak jak mógłby patrzeć wyrozumiale na kapryśne dziecko. Nagle jednak jakiś cień musiał paść na jego myśli i zaniepokoić go, bo rzucił urwane zdanie:

– Parys Kreteńczyk... przeklęta rasa, chciwa z natury... – z Krety bowiem pochodził żołnierz, który ukradł mu cały majątek, a potem uciekł z jego żoną i synem.

Ferektrat pozostawał w stałym kontakcie z Lanią i ostrzegał ją, że bunt wybuchnie niebawem. Podszepty trzech dworzan trafiły na aż zanadto żyzny grunt w umysłach zmęczonych marynarzy, zwłaszcza kiedy zmniejszyły się racje żywności i wina. Być może trzeba się było gdzieś zatrzymać, uzupełnić zapasy. Od kiedy Sosigenes w imieniu króla odmówił prośbie trzech marynarzy, by pozwolić im wrócić do domu, w nocy pod pokładem można było usłyszeć coraz bardziej wzburzone i wrogie głosy. Poprzedniego wieczoru wybuchła nawet bójka, opowiadał Ferektrat, między Partami a aleksandryjczykami. Parys uwolnił wielu wioślarzy z łańcucha, pod warunkiem że będą udawać, że wciąż są skuci. Partowie nie chcieli wracać, ale i tak nie można im było ufać, mogli zdradzić Cezariona później, być może już blisko Indii. Byli najbardziej podstępni i chciwi ze wszystkich. Złoto rozpałało ich ciemne oczy nawet bardziej niż wino. Aleksandryjczycy nie potrafili sobie wyobrazić, by mieli żyć na zawsze z dala od Aleksandrii: zarozumiali jak to oni, uważali się za jedynych spadkobierców Macedończyka i za pępek świata. Nawet Rzym nie mógł równać się z ich miastem. Nie chcieli dalej podróżować, choćby mieli zgubić się w drodze powrotnej wśród nosorożców i węży, lwów i hien, maszerując samotnie, gdyby nie udało im się przejąć statku. Żołnierze myśleli tak samo jak marynarze, byli tylko trochę bardziej trzymani w karbach. Areta potrafił bowiem zachować dyscyplinę. Bez trudu można było odgadnąć, po której stronie opowie się ambitny strateg, skrywający się za dwuznaczną maską stanowczości i uprzejmości. Atmosfera stała się już zbyt gorąca, zbliżała się nieuchronna katastrofa, podsumowywał Ferektrat, nie umiając się powstrzymać od ustawicznego dotykania dłoni Lanii. Zdaniem Cypryjczyka nie pomagały już także opowieści Porusa, odkąd nie schodził nocą pod pokład, aby swymi bajkami oderwać ludzi od ich smutnych myśli.

Ona też jest w niebezpieczeństwie, musi to wiedzieć, mówił, patrząc jej prosto w oczy. W istocie, najbardziej bezwstydni od kilku dni zaczepiali eunucha, gdy tylko zdołali przyciągnąć jego uwagę, i namawiali go, by wysłał pod pokład, do wiosłarzy, tę Greczynkę, która uważała się za kogoś lepszego, bo spała w kajucie Cezariona. Była niewolnicą, jak oni, niechby przyszła dotrzymać towarzystwa prawdziwym mężczyznom...

A młody król, co mówi? Co ma zamiar zrobić Cezarion? – dopytywał Ferektrat, niezdolny już się opanować.

W tych ostatnich pytaniach o króla, dyktowanych trochę wiernością, a trochę niedyskrecją, Lania wyczuwała nutkę zazdrości. Kiedy wracała na dziób statku do Cezariona, pomyślała, że rada, by się zatrzymać i uzupełnić zapasy, wysyłając ludzi na polowanie, mogła być użyteczna. Być może dzięki temu ci, którzy chcieli uciec, nie zadając gwałtu królowi, będą mogli po prostu zniknąć.

To na pewno jednak nie wystarczy Rodonowi, Teodotowi i Arcie, którzy chcieli pojmać Cezariona.

Odwróciwszy się, zanim przestąpiła próg kajuty, dostrzegła, że wszyscy trzej przerwali swoją ożywioną konwersację i przyglądali się jej. Od kilku dni zdawali się także mniej ostrożni w okazywaniu łączącego ich porozumienia.

– ...śmierć będzie gwałtowna i widowiskowa, kiedy obie planety dominują w pozycji zagłady, a jedna z nich albo obie oddziałują na Słońce i Księżyc... Tak się nie dzieje w moim przypadku, mój Jowisz nie wpływa na Słońce. Saturn jest jednak uszkodzony... Saturn w kwadracie ze Słońcem w stałych znakach innego domu prowadzi do śmierci z zaduszenia w tłumie albo powieszenia czy uduszenia...

Cezarion, który analizował własny horoskop, wspomagając się traktatem astrologicznym, nie zauważył milczącej Lanii na progu.

– Nie jestem gotów, nie jestem jeszcze gotów, by umrzeć... – zawołał, zwijając papirus, który odrzucił daleko, zanim spojrział w stronę drzwi.

Dopiero teraz, wstając od stołu, dostrzegł Lanię. Czerwony z wściekłości, pochwycił główkę swej laski, wyrzeźbioną w kości słoniowej na podobieństwo psiej głowy, i podniósł kij, aby rzucić nim w kobietę.

– Od kiedy to wchodzi się bez zapowiedzenia? – zmieszanie przywróciło mu poczucie dumy i zbiło z tropu Lanię, mimo iż знаła te jego przychyłki wyniosłości. Była tylko niewolnicą, powinna o tym pamiętać. Wiedziała, że reguły ich miłosnej gry są oparte także na transgresji, i zdawała sobie sprawę, że jej opiekuńcze instynkty wobec Cezariona sprawiały, że zapominała o niebotycznym dystansie dzielącym w Egipcie władców od poddanych.

Rzuciła się do stóp Cezariona, tak pięknych i delikatnych, że nocą namaściła je cennymi olejkami i całowała wiele razy. Ten chłopiec był wszak synem Kleopatry, kobiety, którą można było przebłagać tylko całkowitym ukorzeniem się i poniżeniem. Cezarion odziedziczył po matce owo poczucie królewskiej godności. Ale niedoświadczenie młodego wieku nie owocowało bezlitosną i pozbawioną skrupułów energią Kleopatry. Jej syn zdawał się dusić pod ciężarem swego autorytetu, wyładowując się w atakach jałowego gniewu. Cezarion, trzęsąc się z furii, próbował uwolnić stopę z objęć Lanii. Ta delikatna i lekka pięta, tak przezroczyta i wspaniale wysklepiona, że zaledwie dotykała ziemi... jakież rzadki los spotkał ją, niewolnicę, która za młodu miała tylko doglądać królewskich dzieci... Szaleństwem było zapominać, do kogo należało to ciało, które obejmowała każdej nocy. To naprawdę niewybaczalne!

A do tego weszła do środka bez zapytania. Wyczuła, że wściekłość Cezariona wzrastała niczym seksualne pobudzenie, w miarę jak ona pogrążała się w otchłani upokorzenia i wstydu. Zrozumiała, że gwałtowne okazanie przepaści dzielącej ich w świetle dnia było sekretną drabiną, na którą należało się wspiąć w nocy ku rozkoszy. Gniew i strach odnawiały tajemne więzy, które intymność ostatnich czasów zniszczyła podczas ucieczki. On odgadywał, co ona czuje, i wciąż jej pragnął, mimo iż ukrył się za maską odrzucenia. Jak wielka była potrzeba tego młodego króla, by okazywać swą siłę, by stawić czoło afrontowi, którego miał doznać niebawem... I podczas gdy na jej głowę spadały wyrzuty i groźby, że każe ją wychłostać jak pierwszą lepszą nieposłuszną niewolnicę, w przygniatającej więziennej atmosferze statku Lania odczuła pierwsze miazmaty nadchodzącego końca.

Noc była słodsza niż wszystkie, jakie pamiętała. Czulsza niż te spędzone w ogrodach Aleksandrii, bardziej intymna niż tamta pierwsza, w więzy Antares, bardziej zmysłowa niż te ukradkowe w jednej z komnat Kleopatry, blisko łoża, w którym królowa spoczywała z Antoniuszem. Cezarion zdawał się innym człowiekiem, jak gdyby w jego umyśle rozwiązał się jakiś węzeł i król zrozumiał święty wymiar skrytości.

Nie wyznawał już Lanii swoich cierpień, nie chwalił się swoją energią i nie obciążał jej ciężarem młodości panikującej w obliczu śmierci. Szeptął, że chciałby tej nocy począć z nią syna, aby przekazać jakiś sygnał poza czas, który ich więził.

– Jestem niemal w wieku twojej matki, jak możesz myśleć, że...
Chcesz mi złamać serce?

– Czy to nie ty mówiłaś mi kiedyś, że królowie mają potężne pragnienia, które przekształcają w rzeczywistość? Poza tym nie mamy już wieku, nie mamy przyszłości, rachuba lat się wyrównała. Daj mi syna...

Cała siła życiowa Lanii, jej nieposkromione pragnienie życia zostały wessane przez to szalone żądanie. Następnego dnia i w dzień kolejny mogła tylko muskać w milczeniu niepewność sytuacji, nie była już w stanie o niczym decydować, jak gdyby naprawdę w jej łonie zagnieździło się nowe życie, czyniąc ją głuchą na wszystko inne.

Do rzeczywistości przywołali ją Omfalus i Narcyz:

– Lanio, jutro pochwyć króla i zakują go w kajdany. Teodot chce nas zabić bezzwłocznie, ale Areta oponuje. Wśród marynarzy i żołnierzy mają dwudziestu trzech popleczników. Pozostałych dwudziestu wysadzą na łód z niewielką ilością zapasów, wiedząc, że sobie nie poradzą.

Lania patrzyła na brzeg, skamieniała. Moskity brzęczały koło jej szyi, bardziej natrętne niż zwykle.

Na nic zdał się olejek z bodziszka rozpylony na skórze. Słowa przyjaciół rozbrzmiewały w jej głowie, powtarzane w nieskończoność, jak echo w grotach jej wyspy, w których bawiła się jako dziecko: „pochwyć króla i zakują go w kajdany... pochwyć króla i zakują go w kajdany...”.

Między zieloną niskopienną roślinnością ujrzała kępę wysokich palm. Cztery palmy, dwie wyższe i dwie niższe po bokach... nigdy nie widziała tak wysokich i giętkich, obciążonych już daktylami. A może kiedyś, przed laty, na swojej greckiej wyspie...

Naprawdę wydawało się, że to podróż powrotna, tylko powrotna. Lania podniosła rękę do ucha, w które ukąsił ją moskit. Upał zamazywał zarysy brzegu przed jej spojrzeniem.

I właśnie w tym momencie z dziobu statku podniósł się urywany krzyk, raczej zaskoczenia niż ostrzeżenia. Przed nimi wyłaniał się stopniowo, płynący w przeciwnym kierunku rzeki, długi czarny statek.

CZARNY STATEK PŁYNAĆY W DÓŁ RZEKI

Długi, czarny jak heban, statek, który tak bardzo zadziwił Rubena, przepatrującego z dziobu brzeg w poszukiwaniu miejsca odpowiedniego na spoczynek, był w istocie tajemniczy i odmienny od fełuk spotkanych wcześniej w ciągu podróży. Płaski, nie zanurzał się głęboko w wodzie, mógł więc żeglować po płytszych wodach Nilu w Górnym Egipcie. Przyzdobiony z przepychem, przyciągał od razu uwagę swoim posępnym galionem uwieńczonym koroną, niecodziennymi złoceniami fryzów, czarnymi żaglami, liczbą marynarzy – ale czy byli to marynarze? – którzy ruszali się jak ludzie nienawykli do pracy na pokładzie.

Sternik z drugiego statku dawał znak Egipcjanom, żeby przybili do lewego brzegu, gdzie prąd był mniej niebezpieczny. Parys, siedzący na stołku na pomoście, zawahał się, uderzony słowami Rodona:

– Nie podoba mi się taki okazały statek na tej wysokości Nilu. Niepotrzebne nam dodatkowe komplikacje...

Cezarion skubał nerwowo ciemny meszek na brodzie, którego od kilku dni nie golił. Rodon, oczekując na rozkazy, widział jego pobladłą twarz z profilu: prosty i cienki nos zdawał się napawać upalnym powietrzem, podczas gdy młody król rozważał ostrzeżenie preceptora i gest nieznanego sternika. Przeważała ryzykowna ciekawość, chęć zakłócenia planów spiskowców.

– Przybliżmy się! – zawołał, wbijając spojrzenie w Rodona. Kilku marynarzy wyłoniło się spod pokładu, żeby dokonać manewru, lawirując w nurcie. Opuścili wiosła i rzucili kotwicę. W miarę jak drugi statek stawał się coraz bardziej widoczny, wzrastało podniecenie czarnych Nubijczyków. Na drugim pokładzie znajdowali się Etiopowie – ich czarna skóra i lśniąca bielą zęby, gęste kędzierzawe włosy, na koniec głosy, słyszalne już z niewielkiej odległości, dowodziły tego ponad wszelką wątpliwość. Pochodzili z krainy, która w pradawnych czasach podbiła Egipt. Wieźli jakąś ważną osobistość, to było oczywiste.

Cezarion rozkoszował się widowiskiem. Sprawiało mu wielką przyjemność, że podjął decyzję, która zmieniła nastrój na pokładzie, nie skonsultowawszy się wcześniej z Lanią. Na rufie drugiego statku zobaczył grupkę dygnitarzy owiniętych w opadające do ziemi czarno-złoto-purpurowe płaszcze, którzy najwyraźniej czuli się nieswojo pośród lin, żagli, sznurowych drabinek, wiader i smaru do natłuszczania wiosła.

Także Porus nie umiał opanować zdziwienia, tak samo jak Omfalus i Narcyz: z jednym z dygnitarzy opierających się pod baldachimem o ścianę rufy rozmawiał mężczyzna, którego miękkie i okrągłe kształty, a także nerwowe gesty upierścienionych dłoni pozwalały rozpoznać jako eunucha. A starzec siedzący pod głównym masztem, owinięty w czarny płaszcz obszyty srebrną nicią, z czołem ozdobionym diamentową kroplą, kim mógł być, jeśli nie astrologiem lub nekromantą? Ci dwaj zaś, którzy poruszali się z dziwną zwinnością, niczym koty, przechodząc od absolutnego bezruchu do szybkiego skoku, musieli być chyba tancerzami lub mimami.

Wszystko wskazywało na to, że jakaś ważna osobistość wysokiej rangi podróżowała statkiem, przybywając z kraju, do którego oni się udawali.

W otworach w burcie, przy których siedzieli wiosłarze, pojawiły się głowy towarzyszy egipskich wiosłarzy: Medowie, Libijczycy, Murzyni, Syryjczycy, Arabowie. Jedni i drudzy usiłovali zadawać pytania i wysłuchiwać odpowiedzi, w kakofonii różnych języków. Niektórzy pochodzili z tych samych plemion, regionów, wiosek.

Sternicy obu statków nie byli już w stanie wymóc dyscypliny, zagubieni w chaosie pokrzykiwań. Zamieszanie i podniecenie rozprzestrzeniało się niczym choroba, jak gdyby spotkanie pośrodku rzeki pogodziło dwie rozpacze, dwie ucieczki, dwie samotności.

Krzyk rozdarł powietrze i na moment narzucił ciszę, podczas gdy dłonie sięgnęły do rękojeści mieczy. Ale nie było powodu do alarmu.

Jeden z partyjskich niewolników rozpoznał swojego brata, który cztery lata wcześniej, podczas starcia Antoniusza z Fraatesem w Mezopotamii, został ciężko ranny i uznany za zmarłego.

Nawet uderzenia bata nie mogły poskromić podniecenia niewolników na obu łodziach. Pośrodku Nilu, o tygodnie drogi od swoich miast, od swoich ziem rodzinnych, gdzieś za górami i morzami załogi statków połączyły się w dziwnym poczuciu braterstwa. I Parys z batem w rękę czuł się wzruszony. Milczący i czujny na tyłach statku poprawiał lewą ręką długie jasne włosy, rozwiewane przez wiatr, jak gdyby chciał przypomnieć sobie czasy, gdy był pięknym kochankiem Bereniki. Patrzył na nieruchomego etiopskiego sternika, czarnego jak noc, siedzącego na swoim miejscu za sterem, przed drewnianym kłosem, w który walił młotem, wybijając rytm wiosłowania. Tylko niespokojne, rozbiegane oczy świadczyły, że uczestniczy w spotkaniu, choć obowiązki przykuwały go do jego miejsca, do steru mocniej, niż gdyby miał łańcuchy na przegubach. I te smoliste i błyszczące oczy w czarnej twarzy wpatrywały się w Parysa z takim samym przejęciem, jakie słyszało się w głosach niewolników, pokrzykujących we wszystkich językach, które współlistniały w tej wielkiej mozaice, jaką było imperium Aleksandra.

Żrenice Memnona, Etiopa, wbijały się w oczy Parysa, Kreteńczyka, gorączkowe i nieruchome. I w tym spojrzeniu otwierał się i zamykał cały świat, rozległy jak bujność i kapryśność natury, która zabawia się tworzeniem kolorów i języków, a następnie splata je razem, by ze zdziwienia ich wielorakością zrodzić pragnienie zrozumienia sekretu ich obcości. Był to świat, który ofiarowywał się oczom, a zarazem skrywał przed nimi: zawsze identyczny, budzący pożądanie tego, co dalekie i nieznanne.

Spod pokładu wyłoniło się kilka młodych i żwawych kobiet w barwnych zawojach. Gwarzyły z sobą, wskazując na Egipcjan, osuszając sobie pot z twarzy, pijąc wodę z sakwy, którą jedna z nich podawała po kolei towarzyszkom.

Hałas uciszył się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: widok kobiet nadawał konkretny kształt mglistym fantazjom Porusa, które z pożądliwych myśli zmieniły się w kobiece ciała i uwodzicielskie spojrzenia w wielobarwnych szatach, istniejące niemal na wyciągnięcie ręki. Zielona woda między burtami statków odbijała już sylwetki, a kołysanie fal sprawiało, że zdawały się tańczyć, ich oblicza wydłużały się i ukazywały w pełnym świetle. Gwałtownym i dziecinnym ruchem, tak jakby chciał je dotknąć, Kryspus przerwał wiosłem grę tych chaotycznych wodnych odbić, czekając, by pojawiły się znowu na powierzchni.

Lania ścisnęła w ręce welon, który zsunął się jej z głowy, i patrzyła zapamiętale na kobiety na drugim statku, szukając między nimi najpiękniejszej, najgroźniejszej, najbardziej godnej miłości, rywalki i sojuszniczki, tej, która pomoże jej uratować ukochanego mężczyznę, współpracownicy jej bezmiernej namiętności, a zarazem nieprzyjaciółki. Oczy Lanii przesuwwały się po szatach, po welonach, przenikając je na wskroś, w poszukiwaniu oznak rangi i hierarchii, najbogatszych ozdób, złota, wykwintności tkaniny.

Nic jednak nie rozróżniało długich szat. Musiała rozpoznać tę wybraną po spojrzeniu.

I znalazła ją, wyczuła, jak myśliwy wyczuwa w puszczy ofiarę, nieruchomą, zastygłą. Te czarne oczy, rozżarzone węgle pod szerokim czołem, dłonie podtrzymujące płaszcz, jak gdyby miał odlecieć z całą jej zwiewną sylwetką, siła woli promieniująca zza zawoju i podnosząca pierś w szybkim oddechu: ten niespokojny duch to była właśnie ona, druga Lania ze statku zbyt podobnego do marzenia sennego, by mógł rozplątać się jak prawdziwy sen. Najbliższa jej tragedii, przyglądała się Lanii z fascynacją i niechęcią zarazem. Inne kobiety traktowały ją z odcieniem uniżoności, który nie umknął uwadze niewolnicy nauczonej na egipskim dworze dostrzegać najdrobniejsze niuanse zachowania.

Rodon zwrócił się do Etiopa, który wydawał się pełnić funkcję dowódcy drugiego statku. Nie byli jednak w stanie się porozumieć, niezbędna więc okazała się pomoc Arety, znającego wiele języków, których nauczył się w czasie wypraw wojennych. Zbliżył się też inny Etiop, którego wojskową naturę zdradzał krótki miecz i żelazne naramienniki. Teodot, niezdolny opanować zdenerwowania z nieoczekiwanego spotkania na rzece, które komplikowało plan buntu ustalony w ostatnich godzinach, nie mógł czekać: przeskoczył na pokład drugiego statku i zaczął wypytywać gestami i urwanymi zdaniami starca z diamentową kroplą u nasady nosa. Tamten jednak wskazał tylko apatycznym gestem trzeciego dygnitarza, stojącego kilka kroków dalej. Ten, od kiedy Teodot wskoczył na pokład, patrzył na niego jakby w oczekiwaniu na lawinę pytań historycznego Egipcjanina w nieokreślonym wieku.

I tak trzej dygnitarze Cezariona, wypełniając funkcję pośredników swego króla nawet na moment przed zdradzeniem go, rozsnuwali z przedstawicielami nieznaney osobistości z etiopskiego statku siatkę ostrożnych pytań, odpowiedzi i przemilczeń. Także żołnierze zdawali się z sobą bratać, chociaż nie odkładali mieczy. Z początku wielu Egipcjan przypomniało sobie walki toczone z nieprzyjaciółmi o tym samym kolorze skóry, chronionymi przez podobne krótkie skórzane pancerze, i przeważyła pamięć odniesionych ran. Potem, tak jak wszystkich wygnańców na pokładzie, także żołnierzy opuściło napięcie: niemal komiczna nieużyteczność bojowej postawy na dwóch rzecznych statkach zacumowanych obok siebie w środku Afryki, absurd podsycania wrogości dyktowanej przez oręż, podczas gdy błękitne bezchmurne niebo i brzegi porośnięte bujną roślinnością zachęcały do zapomnienia o wojnach, wszystko to sprawiło, że nie można było dłużej patrzeć na siebie podejrzliwie. Panował upał, słońce prażyło niemiłosiernie, pozbawiając ludzi woli działania, poddając ich swej mocy, otepiając ich zmysły i rodząc w nich dziwną solidarność apatii. I tak, zanim jeszcze zrozumieli, kim są jedni i drudzy i dlaczego żeglują w dwóch kierunkach, żołnierze poczuli do siebie sympatię.

Minęło już kilka godzin, od kiedy dwa statki spotkały się na ciemnych wodach Nilu i zacumowały obok siebie. Rozmowa Arety z Etiopem, zakłócana niespokojnymi wtrętami Rodona i Teodota, podejrzewających, że coś kryje się za tym spotkaniem, przyniosła tylko strzępki informacji. Etiopowie wieźli ważną osobistość, która przybywała z daleka. Nie było jasne, kim jest, czy to Etiop, czy ktoś z innego ludu zamieszkującego nad Górnym Nilem poza oazą Napata. Być może pochodził z jakiejś wyspy czy górzysej krainy. Słowa „wyspa”, „góra”, „morze” powracały w niezbornej mowie, oderwane od naturalnego kontekstu i w rezultacie niezrozumiałe.

Kiedy do wszystkich dotarło w końcu, że nie ma wielkiego znaczenia, do jakiego plemienia należą obcy, Narcyz i Omfalus zaczęli tańczyć i grać na pokładzie czarnego statku razem z nowymi grajkami i tancerzami. Tamci już od jakiegoś czasu pogrywali na swoich instrumentach, a także namaszczeni i masowali swoje ciała. Rozmawiali w swoim narzeczu, odmiennym również od języka towarzyszy podróży, na których nie zwracali najmniejszej uwagi. Na znak najwyższego z trębaczy, czarnoskórego olbrzyma z włosami związanymi w koński ogon, przebierającego palcami ruchliwymi jak węże po przyciskach instrumentu, wszyscy powstali, skłonili się w stronę wielkiej kajuty, w której musiał znajdować się ten, który przybywał z daleka i daleko się udawał. Zaczęli swój koncert, z początku trochę zakłócany głosami żołnierzy i wioślarzy, a także pokrzykiwaniem etiopskich kobiet, potem jednak rozbrzmiewający w coraz większej ciszy, podczas gdy Omfalus i Narcyz dołączyli do niego harmonijnie, jak gdyby od zawsze razem z nimi grali i tańczyli. Muzyka Etiopów nie była pozbawiona groźnych wojennych tonów, ale różniła się od doryckich i pirejskich harmonii, których słuchali aleksandryjczycy wyruszający na wojnę. Mocne, drapieżne dźwięki trąb i obraz nieprzyjaciela, który wyczarowywały, były równie podstępne i złudne, jak zagadkowe były szlaki przygód tych podróżników. Epickiego napięcia stworzonego przez tych muzyków nie można było zwrócić przeciw nikomu, bo żadnemu wojsku nie wskazałoby ono kierunku ataku. Wszyscy walczący, piesi i konni, zatrzymaliby się, zadając sobie pytanie, gdzie cisnąć oszczepy i przeciw komu wyciągnąć miecze: przeciw nieprzyjacielowi czy sobie samym? Nieprzyjaciel istniał, to pewne, ale gdzie się ukrywał i jak można go było raz na zawsze zniszczyć?

Ta muzyka bowiem zdawała się zachęcać wojska do ostatecznej bitwy, po której nie nastąpiłaby już żadna inna. Walki przypominającej miłość, która daje nasycenie czy też namiętny uścisk, ale nie może odrodzić się od razu w ponownym pożądaniu. Moc dźwięków unieruchomiła wszelką formę przemocy i na kilka chwil milczenia, zapadłego po wybrzmieniu ostatniej nuty, pozwoliła posmakować wieczności pokoju. Także ptaki to zrozumiały: stado ibisów krążyło nisko nad statkami, muskając maszty i najwyżej rozpięte żagle. Najbardziej zacięty nieprzyjaciel węży i szarańczy, tak drogi Egipcjanom, też zapomniał o swojej wojnie.

Również Sosigenes znalazł rozmówcę, indyjskiego astrologa Kaniskę, który nie ruszał się ze swojego siedziska ze zwiniętych cum, ustawionego pod głównym masztem. Sosigenes zbliżył się do niego, pozostając na pokładzie własnego statku, na tyle, by mogli rozmawiać, wołając do siebie po grecku, w języku, który obaj znali. Był to jednak dialog między dwoma bardzo odmiennymi umysłami. Starcza obojętność Sosigenesa na przeznaczenie została od razu dostrzeżona przez Kaniskę, rozbawionego i zdziwionego tym, że w kraju, do którego się udawali, istniały oczy niedostrzegające braterstwa łączącego ryby w głębi wód z ptakami na niebie, gwiazd w otchłaniach z ludźmi na ziemi. Zaciekawiony, na kilka chwil zapomniał o sobie i pociągnięty tak odmiennym poglądem na życie, zdołał oderwać się od własnego, jak jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło. Sosigenes, oczekujący nieprzyjaznego braku zrozumienia dla swoich pytań o niebo, o pory roku, o dni podróży, o zaćmienie, o przypływy rzeki, usłyszał odpowiedzi tak bliskie własnej mentalności, że mógł zapomnieć o różnicach między nimi i zagłębić się w wyjaśnienie odkryć dokonanych w trakcie podróży Nilem co do natury gwiazd na niebie widocznym z Górnego Egiptu. I z ową spontaniczną namiętnością pedagoga, którą nieznanymi rozbudzają często w samotnych uczonych, opowiadał o odkryciu poczynionym dwie noce wcześniej, choć sam nie był jeszcze do końca przekonany o jego prawdziwości. Tak bardzo zależało mu na obwieszczeniu go swemu władcy z całkowitą pewnością, jako najwyższego hołdu dla jego zagrożonego autorytetu. Na zwoju papirusu pojawiło się pięć nowych gwiazd w pobliżu pradawnej konstelacji świętego skarabeusza, będącej znakiem Cezara. Pięć światełek, które później, tej nocy, Sosigenes chciał pokazać Kanisce. Nowy rejon w starej konstelacji, a może raczej jej córka, tak jak gdyby także z nieba Cezar wskazywał na los syna, podobny własnemu, równie gwałtowny.

Podczas gdy Sosigenes wyjawiał na głos to przypuszczenie, bardziej dla siebie niż dla indyjskiego astrologa, który nie znał dziejów Rzymu, ujrzał ze zdumieniem dłoń Kaniski, która wysunęła się ponad burtę, i wyjąwszy mu trzcinkę z ręki, kreśliła lekko na papirusie znaki, łącząc punkciki w teriomorficzną figurę: jego oczom ukazał się smukły profil ptaka pochodzącego z Indii, czarny gadający gwarek, taki sam jak ten, który znajdował się także na statku, fruując w klatce w kajucie Cezariona.

– Twój król zobaczy Indie, tylko jeśli będzie naśladował mojego króla – powiedział Kaniska, ściskając ramię Sosigenesa i kładąc trzcinkę obok papirusu, po czym wstał i oparł się znowu o burtę, wpatrując się w daleką górę.

AFRA

Duszny wieczór zapadł już nad odcinkiem Nilu między drugą a trzecią kataraktą, gdzie od poranka kołysały się zacumowane dwa statki, jeden z libańskiego drewna, żeglujący od strony delty, drugi w kolorze hebanu, przybywający od strony źródeł. W leniwej atmosferze długiego zmierzchu uwagę Egipcjan i Etiopów przyciągnął nagły hałas na prawym brzegu i wzrastający szelest liści. Na chwilę wszyscy dali się ponieść skrytym lękom i pragnieniom: niektórzy obawiali się Rzymian, inni Etiopów, jeszcze inni bandy zbuntowanych niewolników, przybywającej, aby uwolnić swych towarzyszy, czy też jakiegoś nieznanego plemienia szykującego się do spuszczenia łodzi na wodę i napaści na dwa statki.

Po kilku minutach wszystko się wyjaśniło. To tylko pawiany w półcieniu zmierzchu skakały za przywódcą stada wzdłuż rzeki, zapewne w poszukiwaniu mniej nagrzanej kryjówki. Krąg księżycy w pełni, odbity w wodach Nilu tuż przy brzegu, wydał się Cezarionowi splamiony chmurami i tymi człekokształtnymi zwierzętami, których ucieczka tak bardzo przypominała jego własną, że nie mógł się nie uśmiechnąć. Całe zamieszanie na statkach przypominało zachowanie tych małych na łądzie. W istocie, wciąż jeszcze nie wiedział, kim była ta ważna osobistość płynąca w dół rzeki, którą on pokonywał w przeciwnym kierunku.

Nikt z jego ludzi, czy to wiernych jemu, czy zdrajców, nie potrafił mu tego powiedzieć, tak wielkie zamieszanie panowało w obu załogach. Etiopskie kobiety dały się namówić do zwiedzenia egipskiego statku. Rodon nie widział w tym niebezpieczeństwa, choć na razie trzeba było odłożyć decyzję, by zakuć Cezariona w kajdany i zawrócić statek. Kto wie, czy nieoczekiwana przygoda nie ułatwi sprawy, zamiast ją utrudnić...

Tylko Lania była przekonana, że wie, kim jest osobistość podróżująca statkiem, mimo iż nikt nie wymówił jej imienia. Wyczytała to z przedłużającego się milczenia etiopskiej kobiety królewskiego rodu, której nie traciła z oczu, od kiedy dostrzegły się nawzajem. Etiopka w milczeniu poczęstowała Lanię winem i daktylami, po czym zaczęła uważnie przyglądać się wnętrzu jej dłoni, niemal je muskając. Ale to nie linie losu wyżłobione na dłoni tak ją zafascynowały, lecz zapach jej skóry, zapach Cezariona, którym przesycone były jej włosy i welon. Jeszcze wdychając ten męski zapach z brzeżka welonu, który podniosła prawą ręką, popatrzyła w stronę egipskiej kajuty królewskiej, a potem wskazała palcem taką samą na swoim statku. I wybuchła płaczem, obejmując Lanię, jak gdyby połączyło je wspólne nieszczęście.

Lania poczuła, jak przebiega ją dreszcz pod dotknięciem tej czarownicy, która czytała jej w myślach i kradła jej tajemnicę.

Teraz wiedziała, że na tym czarnym statku uciekającym w dół rzeki pozostawał zamknięty w swojej kajucie, być może już zakuty w kajdany, inny młodzieniec, desperacko kochany przez kochankę-matkę, zdradzony być może przez swoich dworzan, opóźniających chwilę, gdy dadzą się rozpoznać Egipcjanom, by za wcześniej nie ujawniać swych machinacji.

Lania miała wrażenie, że nie zdoła się dłużej opanować, ale nie chciała przekazywać swoich łęków Cezarionowi. Pobiegła więc wypłakać się pod pokładem, wyrwawszy się z objęć tej kobiety, obojętnej na wesołą i pogodną atmosferę, która zapanowała na dwóch zacumowanych przy sobie statkach, przypominających podwójną muszlę pośrodku Nilu. Zza drewnianej przegrody dobiegał charakterystyczny, nienawistny głos Teodota. Przeszywał ją potwierdzeniem najgorszych podejrzeń: na drugim statku podróżował młodziutki król Etiopów, zmuszony do ucieczki przez afrykańskiego najeźdźcę, który budował swoje imperium. Sytuacja przyjęła nieoczekiwany obrót: z przemilczeń, z jakimi spotkały się niektóre jego pytania, Areta wywnioskował, że najbardziej zaufani dworzanie etiopskiego króla nie czuli się na siłach towarzyszyć mu w ucieczce do Aleksandrii, obawiając się zemsty potężnego zwycięzcy. Być może przygotowywali się do uwięzienia swego władcy, o ile już tego nie zrobili. Nie skłoniła ich też do otwarcia ust wiadomość – zauważał Teodot – że Kleopatra została ogarnięta zawieruchą wydarzeń. Oni także przygotowywali się do powrotu, choćby miały polecieć głowy najwierniejszych sług króla. Teodot powtórzył, że jest przekonany, iż kiedy wrócą, Cezarion będzie mniej niebezpieczny martwy niż żywy. Wywiązała się dyskusja i Lania, słuchając głosów tych trzech, którzy porzucili już wszelką ostrożność, słyszała, jak Teodot wyrzuca Rodonowi jego wspańiałości wobec najbliższych sług Cezariona, uważając ją za przykrywkę jego namiętności do greckiej niewolnicy.

Przepełniona obrzydzeniem, Lania nie chciała już słyszeć nawet słowa – wiedziała, dość już wiedziała. W tej samej chwili, wychodząc przez najniżej położone drzwi statku, zobaczyła, że Cezarion z Sosigenesem i Porusem kierują się w stronę etiopskiego statku. Młody król także ją ujrzał i dał jej znak, by podeszła.

– Już wszystko wiadomo... co za ironia losu, Lanio, spotkać na Nilu króla uciekiniera, tego samego, który miał mnie uratować – potem zmienił ton i dodał z uśmiechem:

– Widziałaś te pawiany? Uciekamy jak te małpy, dokładnie tak samo...

Marynarze zebrali kilka desek, żeby zrobić mostek między statkami. Kobiety i etiopscy muzycy stłoczyli się po bokach, by przyjrzeć się Cezarionowi. Niespodziewanie, spojrzawszy na jego twarz, rzucili się mu do stóp. Najbardziej przejętym wyrwał się z ust zduszony krzyk, tak jakby nie umieli powściągnąć zdumienia. Na widok tej reakcji nawet Sosigenes zmieszał się, nie wiedząc, czy poradzić królowi powrót na swój statek, do Egiptu, bo ten statek z libańskiego cedru i drewna palmowego był już całym jego królestwem. Ale Porus pomógł przewyciężyć swoim towarzyszom moment zmieszania, zauważając żartobliwie:

– Zadziwia was nasz król, bo wy takiego pięknego nie macie...

Zbliżyli się trzech dygnitarze, którzy rankiem rozmawiali niezbornie i bez większych rezultatów z Aretą. Pokłonili się głęboko Cezarionowi i w milczeniu poprowadzili go do drewnianej konstrukcji na rufie. Owej kajuty, z której nikt dotąd się nie wyłonił.

Jeden z nich, w którym Porus rozpoznał wcześniej eunucha, wskazał gestami, że król powinien wejść do środka sam. Nikomu nie umknął dwuznaczny uśmiech na tych czarnych ustach, podczas gdy eunuch ozdabiał szyję Cezariona girlandą z białych orchidei. Kto oczekiwał na Cezariona w środku? Ogarnięta złym przeczuciem, Lania poprosiła etiopskiego eunucha, żeby nie wprowadzał Cezariona do kajuty. Nie znali jednak nawzajem swych języków, a Kaniska, indyjski astrolog mówiący po grecku, gdzieś się zapodział.

Eunuch wyrwał szarpnięciem brzeg swojej szaty z rąk błagającej go egipskiej niewolnicy.

Nie było powodu do zwłoki.

Cezarion rozejrzał się wokół, a potem podniósł spojrzenie, głaszcząc się po brodzie, jak to często robił w chwilach napięcia: w górze, ponad jego głową, ibis zataczał kręgi, jakby obserwował całą scenę. Z wody wyskoczyła ryba, zadrżała niczym strzała, zanim została pochwycona w dziób czapli. Woda i wieczorne niebo kipiały tysięcznymi formami życia z jego odwieczną ślepą obojętnością, podczas gdy młyn kształtów obracał się zawsze tak samo powoli, przepłatając światło i ciemność. Przewyciężywszy wahanie, Cezarion położył dłoń na słoniku z kości słoniowej wyrzeźbionym na drzwiach. Wykwintna klamka stawiała jednak opór, gdyż drzwi były wprawdzie nieduże, ale za to bardzo grube. W końcu ustąpiły z lekkim skrzypieniem. I Cezarion zanurzył się w półcień.

Wewnątrz unosił się upajający aromat, podobny do tego, którym eunuch spryskał przed chwilą girlandę z orchidei i jego włosy.

Cezarion nie czuł się nieswojo, był tylko zdziwiony i oszołomiony: powietrze zdawało się tak gęste, że zmuszało go do spowolnienia mchów i dwa czy trzy kroki, które poczynił, kosztowały go tyle trudu, ile długi marsz. Własne ciało wydawało mu się odmienione, jak gdyby pozbawione kontroli chciało od niego uciec. Z trudem dostrzegł zarys kobiecej figury wyciągniętej na stosie poduszek. Sprawiała wrażenie zmęczonej, dobiegał go jej głośny oddech. Być może spała i jeszcze nie zauważyła jego obecności.

Słabe światło przenikało przez położone w górze otwory, które uniemożliwiały zagłądanie z zewnątrz do kajuty, coraz bardziej przypominającej zatrzaśniętą szkatułkę.

Osoba, która spoczywała z odrzuconą głową, odwróciła się ku niemu omdlałym ruchem kogoś, kto budzi się ze snu. Cezarion nie tyle widział jej wzrok, ile czuł jej spojrzenie na sobie. Przeszył go dreszcz i zdjęła coraz większa obawa, że nie będzie umiał opanować własnych emocji. Jakaś nieznana i niepokojąca siła promieniowała z tych wielkich oczu, w których jego spojrzenie, coraz bardziej przyzwyczajające się do więziennego półmroku, dostrzegło nutę uśmiechu. Wtedy Cezarion zrozumiał z absolutną pewnością, że już ją poznał, mimo iż nie mógł jej jeszcze wyraźnie zobaczyć w słabym świetle.

Kim była mieszkanka tego pokoju na wodzie? Gdzie i kiedy już ją widział? Jak to się stało, że wewnątrz tego pływającego więzienia ogarnęła go nagle fala dziwnego szczęścia? Jaka siła ciągnęła go do tej, która uśmiechała się i zdawała się zapraszać, aby wyciągnął się obok niej na poduszkach? Czy to była jawa, czy jakiś sen stworzony przez jego umysł? Uszczypnął się, aby się upewnić, że nie śni, zakaszłał, aby usłyszeć własny głos.

W absolutnym milczeniu mijały niepostrzeżenie minuty.

Nie słyszał już nawet szumu fal. Teraz wszystko działało się z szybkością będącą przeciwieństwem jego powolnego wejścia. Słodka omdłałość zastępowała uprzednie napięcie i kazała mu zgiąć kolana. Być może to ten aromat upoił go pożądliwymi fantazjami, nieprzepartym pragnieniem, które sprawiło, że poblądł, a pot zwilgotnił len jego białej szaty.

Nigdy nie zrozumiał, jaki impuls skłonił go do zbliżenia się, ukłęknięcia i wyciągnięcia się obok niej, do wzięcia jej w ramiona i wyciśnięcia z bezmierną słodyczą i łękiem długiego pocałunku na jej drżących ustach. Zanim jeszcze zrozumiał, kim ona jest, stał się przewodnikiem tej niedoświadczonej istoty, równie przestraszonej jak on. Całował ją z zamkniętymi oczami, wierząc, że to ona, ta wyczekiwana, i impuls, który kazał mu się zachować w ten nieprzewidziany sposób, sprawił, że dopiero później odkrył piękność tulącej się do niego kobiety.

To była naprawdę ona, ta, którą przeczuł w czasie miłosnych uścisków z Lanią, młode i cudowne ciało, niewyraźne oblicze, wizja kobiety, która prześladowała go i dręczyła z powodu wyrzutów sumienia wobec rzeczywistej kochanki, trzymającej go objęciach. Ta sama, którą zawsze próbował odegnąć, wybuchając płaczem. Kochał ją, jak gdyby zawsze wiedział, że kiedyś ją spotka, nie mając wskazówki, gdzie się chowa, a teraz zdobył ją z szybkością oddechu, trwającego tylko tę jedną noc, osaczony przez zawistne i wrogie siły, przez przyjaciół i popleczników wiernych lub zdradzieckich, przez inne kobiety, które kochały go, lecz nie mogły już z nim być. I w tym niedojrzałym jeszcze ciele rozpływał się dawny lęk przed matczynymi kształtami, zaklinany wcześniej w objęciach jego dojrzałej kochanki. Wszystko zostało przez niego odkryte i zbadane, jak gdyby była pierwszą kobietą trzymaną przez niego w ramionach, bo wreszcie zniknęła zjawiająca jej obraz na dwie części. Ona pozwalała się rozdziewać i dotykać, nie stawiając oporu, pokonana dziwną niewinnością tych ciepłych dłoni, które pieściły jej sutki, usta, uda i rozniecały w niej paraliż rozkoszy. Lęk i upojenie kazały jej zapomnieć o wszelkiej obronie i otworzyć się na niego.

Żadne z dwojga młodych nie miało pojęcia, ile czasu minęło, gdy zmęczenie zaczęło ciążyć na powiekach oczu, umiejających już teraz dostrzec wszystkie szczegóły. Ona podała mu żółty owoc, niezwykle słodki, jakiego nigdy nie widział w Egipcie. Dopiero wtedy zauważyli, jak bardzo są do siebie podobni... Te same wydłużone i regularne rysy twarzy, te same kruczoczarne kędziory, wąskie kości policzkowe, szerokie czoło nad czarnymi, żywymi oczami, błyszczącymi pomimo oczywistego zmęczenia. To dlatego – pomyślał Cezarion – ci Etiopowie patrzyli na niego z takim zadziwieniem, gdy wszedł na ich statek! Tylko jej miedziana skóra była ciemniejsza niż jego złocista opalenizna. W końcu, niemal z lękiem przed naruszeniem doskonałości tego milczenia i powróceniem do liczenia czasu ucieczki, spytał ją po grecku, kim jest. Ona, z ledwie słyszalnym akcentem jakiegoś ojczystego języka, odpowiedziała, też po grecku, że nazywa się Afra.

Była córką króla Etiopów. Kiedy wstąpiła na tron po ojcu, który przez długi czas trzymał ją ukrytą na jakiejś wyspie, dworzanie zaczęli się domyślać, że pod męskim przebraniem następcy króla Arataksa kryje się kobieta. Etiopowie nie uznają królowych, dlatego wraz matką i nielicznymi wiernymi sługami uciekła, zanim wieść ta rozeszła się szerzej. Szukała schronienia w Egipcie, u Kleopatry, przyjaciółki jej ojca, i u rodziny matki, pochodzącej z Egiptu.

Na moment Cezarion pożałował, że do niej przemówił. Przytulił ją znowu do siebie, jak gdyby mógł powrócić do kokonu ciszy i zapomnieć jej imię. Ale na to było za późno. Powiedział jej, kim jest, że jego matka nie żyje, że on także jest zbiegiem i jego dworzanie przygotowują spisek, by zmusić go do powrotu do domu, gdzie prawdopodobnie czeka go śmierć. Zamilkł, sam poruszony nieodwołalnością swoich słów, nienawidząc własnego imienia, swojej matki, Egiptu.

Afra zdawała się całkiem załamana, ledwie znalazła siłę, by mu powiedzieć, że jej dworzanie także chcieli ją zmusić do powrotu: jeszcze kilka godzin i nie spotkaliby się na Nilu, bo jej statek zawróciłby w dół rzeki.

– Dlaczego pozwolili się nam spotkać? Czego od nas chcą? – powtarzała Afra jak zahipnotyzowana, podnosząc swój welon i przyglądając włosy prawą ręką, jak gdyby chciała się doprowadzić do porządku przed intruzem. I patrzyła w stronę drzwi, w których w każdej chwili mógł się pojawić żołnierz z mieczem, aby zabić ich oboje.

– Zapomnij o nich: jest jeszcze środek nocy, a ja tak bardzo cię potrzebuję!

Okrywając ją znowu pocałunkami, Cezarion zanurzał się w zapomnienie, odsuwał w niepamięć siebie, podróż, zdradę, Oktawiana Cezara, oszołomiony zapachem kwiatów, przewyższającym intensywnością aromaty wypełniające kajutę. Zapach dobiegał od roślinności na prawym brzegu Nilu, gdzie także sama rzeka zdawała się wypoczywać w szerokim zakolu. Przenikał do środka przez wysoko położone okienka i rozszerzał granice rzeczy, otwierał wąskie drewniane ściany kajuty na wyspę, na której Afra ukrywała się na rozkaz ojca w przebraniu chłopca. Cezarion już wyobrażał sobie tę wyspę, rozległą i pozbawioną dworów oraz pałaców-więzień, zaludnioną przez małpy, położoną daleko i od Egiptu, i od Etiopii, gdzieś na wielkim Oceanie Indyjskim.

Zdawało mu się, jakby Afra była ibisem albo gazelą i przybrała ludzką postać dopiero przed chwilą, aby móc z nim rozmawiać. Ileż razy przeleciała koło niego lub nawoływała go w puszczy, uwięziona w swej zwierzęcej doskonałości tak jak on w swej masce króla?... Jej skóra miała zapach, który zna tylko wiatr i deszcz, i któremu obcy jest zaduch zamkniętych komnat, wyziew palenisk i wyrafinowanych wonnych olejków. Podczas gdy ją pieścił, zauważył porzucony na posadzce złoty pas, który wcześniej rozpięła, jedyną oznakę jej królewskiej rangi. Nie miał z nią nic wspólnego, jej elegancją była nagość. Cezarion nie wątpił, że w jej kraju nosi się niewiele odzienia i że ona zaczęła się zakrywać dopiero od chwili, gdy musiała ukrywać swoją płęć. Albo może nie chowała się tak przed innymi, a tylko przed nim, aby dokonanie przez niego odkrycia było trudniejsze i absolutne. Nikt nie wiedział, kim jest. Była Afra tylko dla Cezariona i dla swojego ojca, który już nie żył. Teraz on musiał wziąć na swoje barki ten sekret, tak jak przedtem jej ojciec, i zmienić go w drogę do wolności.

– Wiesz, dlaczego pozwolili nam się spotkać? – Cezarion zatopił się na chwilę w swoich fantazjach, ale głos Afry przywołał go do rzeczywistości. – Chcą zabić nas oboje, twój i mój dworzanie doszli do porozumienia, to ta sama rasa zdrajców.

Cezarion, chociaż to podejrzewał, nie chciał tego przyznać, nie chciał o tym myśleć. Było jeszcze ciemno, po co się zamartwiać?

Afra czuła, że jego dusza zapada się w ciemność rezygnacji, w więzienie posępniejsze od tego, w którym żyła w ostatnich dniach. Kim był ten młodzieniec, którego ledwie знаła, ale czuła, że nie może już bez niego żyć? Tylko bogowie, tak jak ich sobie wyobrażała, byli równie piękni i umieli kochać w taki sposób śmiertelniczkę. Ale także jego apatia była jakaś nieludzka.

– Kim był twój ojciec?

– Cezarem, władcą Rzymu. Kochał moją matkę, ale porzucił ją, by wrócić do Rzymu, gdzie został zamordowany w wyniku spisku. Wtedy matka wybrała na swego towarzysza Antoniusza, pokonanego potem przez cioteczynego wnuka mojego ojca, Oktawiana, który teraz pragnie mojej śmierci i poluje na mnie.

– Moja matka wspominała mi o Cezarze, kiedy opowiadała o twojej matce. Nam zagraża inny najeźdźca, szykuje się już do inwazji na moje ziemie, także dlatego moi dworzanie chcą mnie uwięzić i oddać mu, aby pozyskać sobie jego łaski.

– Ileż światów w jednym... – szeptał z uśmiechem Cezarion, burząc jej włosy, które dopiero co uczesała. W pewnej chwili Afra oderwała się od mężczyzny, chwyciła go za ramiona i popatrzyła na niego ze śmiertelną powagą:

– Teraz posłuchaj mnie, proszę cię, dla nas istnieje tylko ten świat dwóch statków pełnych zdrajców. Ilu ludzi stoi po twojej stronie?

– Około dwudziestu, ale broń ma w swej pieczy dowódca statku, jeden z trzech dworzan, którzy chcą mnie uwięzić.

– Ja mam ich jeszcze mniej, bo oprócz moich ministrów prawie nikt nie wie, kim jestem.

Cezarion zachmurzył się: dlaczego tych kilku zostało dopuszczonych do tajemnicy? Jakże związki łączyły ich z Afrą?

Poczuł ukąszenie zazdrości i podejrzewania. Afra musiała się tego domyślić, bo dodała uspokajająco: – To służki mojej matki, niewolnice, którym wyjawiała mój sekret, ponieważ potrzebowałyśmy ich pomocy.

Cezarion objął ją, przewrócił na poduszki i znowu zaczął całować całe jej ciało. Dlaczego myśleć o ratunku zaledwie zasmakowawszy słodczy spotkania? Istniały dwie drogi, jedna prowadziła do jego domu, oznaczała ratunek dla niej, lecz śmierć dla niego. Druga prowadziła do jej domu, była wyrokiem dla niej, ale ucieczką dla niego.

Nil w swoim okrucieństwie nie ofiarowywał innej drogi. Kobieta u źródeł, mężczyzna u ujścia, jedno drugiemu dawało śmierć. Tam, gdzie się urodzili, w ojczyźnie. Oboje zostali odepchnięci od swej ojczyzny, jak gdyby tylko w nieznannej i prowizorycznej przyszłości mogła się kryć nadzieja na przeżycie. A jednak ta przyszła egzystencja niosła też pewność, że nie będą już mogli nikogo kochać, utraciwszy po drodze umiłowaną osobę. To śmierć pozwoliła im na to spotkanie, niemożność zabrania towarzysza w codzienność własnej przyszłości.

Ich uwagę przyciągnęło miauczenie. To była Amaltea, która wskoczyła na drugi statek, aby szukać swego pana. Albo ktoś ją tu przyniósł, może Lania. Afra przyglądała się jej przestraszona: Cezarion wyjaśnił z uśmiechem, że kotka nigdy go nie opuszcza. Afrze była nie w smak ta wizyta, jak gdyby czuła, że zwierzę ma jej za złe zagarnięcie jego pana. Cezar pogładził kotkę, co przywiodło mu od razu na myśl Lanię. Ale wobec tylu zmartwień pozwolił, żeby Amaltea po obwąchaniu Afry zwinęła się w kłębek u jego stóp, i z wolna myśl o greckiej niewolnicy i o tym, co się z nią stanie, zniknęła z jego umysłu wypełnionego w jedną noc emocjami wielu lat. Jakże przypominało to jego własne oblicze, w którym zacierała się twarz Lanii... Naprawdę niewiarygodne. Przez chwilę pomyślał nawet, że być może Cezar był także ojcem Afry. Kto wie, czy w czasie swych długich podróży po Egipcie, w którym zatrzymał się ponad rok, nie spotkał także matki Afry i jej nie pokochał. Kiedy Cezarion wypowiedział swoją myśl na głos, Afra potrzęsnęła głową i popatrzyła smutno w stronę drzwi, jak gdyby ta, o której mówili, miała się w nich pojawić w każdej chwili. Cezarion nie znał jej matki... Nie wiedział, że kochała zawsze tylko jej ojca, choć on nigdy nie odwzajemnił jej uczucia, chciał od niej tylko następcy, zadurzony bez pamięci w młodej Syryjce porwanej i przywiezionej na jego dwór, którą bezskutecznie usiłował nagiąć do swej woli. Afra niczego mu nie wyrzucała, kochała go mimo wszystko, choć widywała go tak rzadko. Współczuła mu. Wiedziała, że jej narodziny były dla niego wielkim rozczarowaniem, bo pragnął syna, a będąc już w podeszłym wieku, nie miał nadziei na spłodzenie następnego dziecka – a na pewno chciałby mieć takiego syna jak ty – i Afra z całą swą mocą objęła Cezariona.

W tym namiętym uścisku Cezarionowi wydawało się, że Afra chce przebłagać cień ojca, który oddalił ją od siebie nie tylko po to, by ukryć córkę przed poddanymi, ale też nie widzieć w niej kresu swojego królestwa.

Cezar współprzeżywał desperację tych egzystencji, które deptały się nawzajem w tragicznej grze nieporozumień. Gdzie znaleźć porządek, linię oddzielającą zło od dobra, prawomyślność od perwersji? Być może Cezar jako jedyny potrafił nie zatracić nigdy miary w emocjach: Cezarion myślał o ojcu jako o wyższej sile, jedynej potrafiącej zapanować nad przepływem zła i dobra, niepodlegającej namiętnościom, które mogłyby zakłócić jej determinację. Brakowało mu ojca, nie dla potęgi i chwały, których posmakował także w swym ojczyźnie Antoniuszu, ale dla wielkiej równowagi umysłu, tej wspaniałej i niezawodnej maszyny, jaką musiał być. Teraz, słuchając burzliwej historii Afry, zdawał sobie sprawę, jak bardzo szukał ojca, tak jak gdyby historia cierpień dziewczyny rozbudziła w nim potrzebę i pragnienie uchwycenia przynajmniej części tej siły, którą mógłby przekazać Afrze, by zdołała uleczyć rany swojej duszy.

– Czy twoja matka była tak samotna jak moja? – spytała Afra, przerywając tok myśli Cezariona.

– Zawsze dostawała, co chciała, najpierw uwodząc Cezara, potem Antoniusza. Nie mam od niej żadnych wieści, ale wątpię, by jeszcze żyła.

– Opowiedz mi o niej, jeśli już umarła, nie obrazi się, że dowiem się od jej syna, jaka była.

– Afro! Tutaj, tak blisko naszych oprawców, musimy koniecznie wymyślić jakiś sposób, żeby się uratować. Nie pozwól, by przeszłość pogrzebała przeszłość.

Niespodziewanie Cezarion stracił spokój, jak gdyby myśl o Kleopatrze wytrąciła go z równowagi. Prawdę powiedziawszy, czuł, że wstydy się za matkę, odkrywając w sobie wrogość, którą pytanie Afry jeszcze zaostrzyło. Jego matka, która była małżonką wuja Ptolemeusza, kochanką Juliusza Cezara, żoną Marka Antoniusza, nie należała do żadnego z nich. Używała mężczyzn, nie kochając ich, i tak samo traktowała potomstwo, które z nimi miała. Czworo dzieci, widziane z rzadka na oficjalnych uroczystościach, pozdrawiane krótko z okazji wyjazdów i powrotów z podróży, oddawane natychmiast niańkom i preceptorom, by mogła bez przeszkód pędzić w ramiona swych kochanków, zapewniających jej tron. Afra kazała mu przypomnieć ją sobie taką, jakiej syn nie chciałby nigdy pamiętać, zabijając jej mit.

Spróbował odwrócić jej uwagę od Kleopatry:

– Dość już o naszych nieszczęsnych rodzicach. Opowiedz mi, jak żyłaś na swojej wyspie. Kto tam z tobą mieszkał?

Podczas gdy zwracał się do niej z tym pytaniem, tak niestosownym w nagłej sytuacji, w jakiej się znaleźli, Cezarion słyszał szum fal Nilu załamujących się o burty. Przymknął oczy, rozkoszując się opowiadaniem pozwalającym mu uciec przed strachem i upływem czasu, oddalającym na chwilę niebezpieczeństwo śmierci, które nad nimi ciążyło. Jak gdyby nie podróżowali na statku, ale mieszkali na wyspie, o której chciał teraz posłuchać. Nie słyszał już szumu Nilu, lecz odgłos fal morskich rozbijających się na plaży...

ZAMIANA

– Mieszkały ze mną tylko dwie niewolnice mojej matki. Wyspa jest położona między Afryką a Indiami, ale Indie są dużo, dużo dalej. Wulkan górujący nad wyspą był zawsze okryty kapturem śniegu.

– Śniegu?

– Nigdy go nie widziałeś?

– W Egipcie nie ma gór.

– Nikt nie wie, czym jest śnieg, nikt go nigdy nie dotknął, pojawia się, olśniewająco biały, na niedostępnych górach, na które żywi nie mogą się wdrapać, bo spotkaliby tam bogów. Mieszkałyśmy na brzegu morza, w wiosce poławiaczy pereł. Jedna z moich służek mówiła mi, że pewnego dnia przepłyniemy morze, aby wrócić do mojego ojca, Artaksa, króla ziem, których zarys można w pogodne dni dostrzec z wyspy. Opisywała mi go zawsze jako najwspanialszego człowieka, jaki kiedykolwiek istniał. Ja patrzyłam na rybaków z naszej wyspy i nie umiałam go sobie wyobrazić, tak był odmienny od tych mężczyzn, którzy ruszali o świcie, aby odbierać muszłom ich skarby. On był najpiękniejszy, najwyższy, najsilniejszy, na próżno szukałam jakiegoś podobieństwa, tak dalece przewyższał tych, którymi próbowałam wypełnić pustkę pamięci.

Potem, kilka lat później, przybyła morzem moja matka. Spędzała całe godziny, wpatrując się w horyzont w kierunku Afryki, siedząc na skale, z daleka od nas i od ludzi z wioski, którzy nazywali ją „cudzoziemką”. Nie dostrzegała mnie i nie wiedziałam, w jaki sposób przyciągnąć jej uwagę, skłonić ją, by się mną zajęła. Pewnego wieczoru umyślnie strąciła mnie z drzewa mango, rosnącego niedaleko jej skały. Chciała, żebym się zraniła. Wtedy zobaczyłam wreszcie łzy w jej oczach. Objęła mnie i nie odeszła ode mnie na krok, pielęgnując mnie dniami i nocami. Odpędzała nawet swoje służki, żeby być zawsze blisko mnie. Teraz już wiem, jak drogo zapłaciłam za to dziecinne szczęście, bo od tej pory stałam się jej powierniczką. Opowiedziała mi o tym, jak cierpiała, kiedy ojciec ją oddalił, a także o miłosnych udrękach Artaksa z powodu Syryjki, która uparcie odmawiała mu swych względów. Najpierw odczułam smutek, potem ogarnęła mnie także nienawiść do tego, który oddalił ją od siebie i zapomniał o mnie, chociaż to on sprowadził mnie na świat. Moja nieszczęśliwa matka zaczęła chorobliwie izolować mnie od wszystkich poza nią samą. Nie chciała jednak, bym stała się dzikuską, dlatego uczyła mnie wszystkiego, co sama umiała, łącznie z greką i aramejskim, językami, których nauczyła się w młodości. Teraz żałowałam dni, kiedy nie zaszczycła mnie nawet spojrzeniem.

Pewnej nocy przyplłynęła niespodziewanie łódź wysłana przez mego ojca. Miałyśmy czas do świtu, aby przygotować się do wyjazdu: mój ojciec był umierający. Z jednej tortury przesłama do drugiej: przebrano mnie za etiopskiego wojownika, którym powinnam być wedle życzenia ojca. Gdy wysiadłam ze statku, Artaks wezwał mnie do siebie i ze swego łóża przedstawił mnie wszystkim ministrom jako swego następcę, oczywiście króla, a nie królową. Ci hipokryci udali, że mu wierzą, i skłonili się przede mną. On także udał, że wierzy, iż będą mi posłuszni i że jego ród dalej będzie władać tą krainą. Kilka godzin później umarł. Najeżdźca, którego łaskę moi dworzanie pragną sobie zaskarbić, rozpoczął wojnę kilka dni później. I to już całe moje życie, nareszcie nie muszę go ukrywać. Zanim nie spotkałam ciebie, nie mogłam o nim nikomu opowiedzieć...

Cezarion już w połowie opowiadania zobaczył światło świtu przenikające do kajuty, podczas gdy zapachy puszczy na brzegach Nilu stawały się coraz bardziej przenikliwe. Wydawało się doprawdy niemożliwością pożegnać tę noc, otworzyć oczy właśnie wtedy, gdy upajające aromaty zapraszały uwodzicielsko, by je zamknąć. Z zewnątrz dochodziły jakieś hałasy. Co się stało z innymi tej nocy? Amaltea miauczała pod drzwiami, była głodna.

- Nie masz przy sobie żadnej broni, Cezarionie? Boję się...
- Mam tylko truciznę w tym pierścieniu.
- Ale ja nie chcę, żebyś umarł, to oni powinni umrzeć!

I umrą, pomyślał Cezarion. Nagle wszystko rozjaśniło się w jego umyśle wyzbytym cienia strachu: podstęp, przekleństwo pierścienia, ucieczka.

Droga wyjścia ukazała się przed nim łatwa i prosta, jak gdyby już wcześniej znalazł się w takiej samej sytuacji i obmyślił plan uratowania siebie i Afry.

– Afro, być może istnieje sposób, by oszukać tych łotrów! Potrzebna będzie jednak umiejętność udawania i wielka odwaga. Jesteśmy niczym dwie krople Nilu: jeśli zamienimy szaty, dobrze się ucharakteryzujemy i nauczymy nawzajem imion i obyczajów naszych towarzyszy podróży, zdołamy im wmówić, że ty jesteś Cezarionem, a ja Afrą, i zamienimy się miejscami. Pozwolimy im zrealizować ich plany, poddając się ich woli po stawieniu słabego oporu. Kiedy już dotrzemy na miejsce, ty ujawnisz swoją tożsamość, a ja moją. Zyskamy na czasie i oddalimy od siebie śmierć: prześlę ci wieści przez twoją matkę, która nie odmówi mi pomocy, zważywszy na to, że cię uratowałem. Poszukam wedle swoich możliwości sposobu, aby do ciebie wrócić, a ty dasz mi znać przez któregoś z dworzan, gdzie będziesz mogła do mnie dołączyć. Nie wyjawiaj tylko niczego Lanii, mojej greckiej niewolnicy, nie jest godna zaufania... Możesz dopuścić do sekretu tylko Sosigenesa i Porusa. Także Omfalus i Narcyz pomogą ci w razie potrzeby, ale oni mają mniejszą władzę. Zdrajcy, zapamiętaj ich imiona, to Teodot, Rodon i Areta.

I Cezarion zaczął jej pospiesznie udzielać wskazówek niebędnych do przedsięwzięcia desperackiej maskarady, podczas gdy wymieniali się ubraniami i sprawdzali w złotym zwierciadle Afry swój nowy wygląd.

Zrozumiawszy, że nie mają innego wyjścia, Afra opanowała lęk przed podjęciem tak ryzykownego planu i dała się pociągnąć wzbронionej pokusie tej metamorfozy kształtów, imion, przeznaczenia, płci. Przez całe życie czuła się winna dlatego, że urodziła się dziewczynką, a nie chłopcem, wbrew pragnieniom ojca i matki.

Nie zamierzała też słuchać wszystkich zaleceń Cezariona. Chciała bowiem poznać bliżej Lanię, tę grecką niewolnicę, której nie wolno było powierzać ich wspólnego sekretu, zaniepokojona gwałtownym mruganiem powiek Cezariona, kiedy wymienił jej imię.

Poprosiła, żeby zapisał jej na papirusie kilka szczegółów i najważniejsze imiona, a także narysował plan swoich komnat w Aleksandrii oraz podał imiona najważniejszych dygnitarzy na dworze. Zażądała opisu Oktawiana, ale tego Cezarion mógł jej dostarczyć tylko na podstawie informacji z drugiej ręki. Z pewnością nie był dokładniejszy niż opis Cezariona, jaki mógł uzyskać Oktawian, ale i tak przydałby się Afrze do rozpoznania Rzymianina, który zapewne poczęstowałby ją pochlebstwem, zanim ona rozbroiłaby go ujawnieniem swej płci. Chciała poznać najbardziej charakterystyczne obyczaje Kleopatry. Odżyły więc wspomnienia Cezariona o Cezarze, o Rzymie i o Aleksandrii, wszystkie bardzo skrótowe, bo brakowało czasu. Na koniec otrzymała pierścień ze śmiertelną trucizną.

Cezarionowi zadrżała dłoń, gdy wsuwał jej pierścień ze skarabeuszem z jadeitu na wskazujący palec prawej ręki. Także Afra straciła na chwilę odwagę, ogarnął ją zawrotny strach i pokusa, by zatopić się w jego czeluściach. Światło przenikało już nieubłaganie całe pomieszczenie: Cezarion objął Afrę i powrócili jeszcze na chwilę do swojej nocy, stawiając czoło temu okrutnemu światłu, które za cenę ratunku chciało ich rozdzielić i pozbawić tożsamości.

Opanowali się ledwie na czas, by usłyszeć pospiesznie zbliżające się kroki i dyskretne pukanie do drzwi.

Była to Ezra, nieszczęśliwa matka Afry, odesłana przez Artaksa. Jaśniejsza z karnacji niż córka, przypominała Cezarionowi Lanię, bo w jej uparcie spuszczonej wzroku wyczuł to samo napięcie, które wymykało się wszelkiej kontroli i znajdowało ujście w geście czy tonie głosu. Miało się wrażenie, że strumień tłumionych emocji od czasu do czasu przedostawał się na powierzchnię, tak silny, że nie mógł umknąć uwadze nawet rozmówcy przejętego własną dramatyczną sytuacją tak jak Cezarion.

Gdy tylko Ezra weszła, zatrzymała się po kilku krokach, zdezorientowana tym podwójnym przebraniem. W ułamku sekundy zrozumiała sytuację i to, co przydarzyło się tym dwojgu nieszczęśliwych młodych, którzy byli do siebie tak bardzo podobni. Bliskość ich losów pojęła już wcześniej, dzięki spotkaniu z grecką niewolnicą, bez wątpienia kochanką pięknego Egipcjanina.

Afra wyjawiała jej plan ucieczki i uzyskała od niej solenną obietnicę, że pomoże Cezarionowi w maskaradzie najdłużej, jak tylko się da. Kobieta przynosiła złe wieści. O świcie Egipcjanie postanowili zawrócić, po uwięzieniu lub zabiciu najwierniejszych sług swego króla. Teraz czekali na Cezariona, aby zakuć go w kajdany i zawrócić dziób statku w stronę Aleksandrii. Biorąc przykład z tego buntu, także Etiopowie zdecydowali ruszyć z powrotem, uwięzić króla i zabrać go do Etiopii, po czym porzucić, odkrywając tajemnicę jego płci. Cezarion mógł się nie obawiać, a Ezra przejmie na siebie wszystkie kontakty z załogą i zdrajcami, znała przecież grekę, język, którym i z nim teraz rozmawiała. Na pewno nie będą mu przeszkadzać, może poza jakąś krótką wizytą, by upewnić się, że jeszcze żyje.

Nie zostało nic do powiedzenia. Na zewnątrz etiopscy żołnierze, przekupieni przez ministrów, czekali niecierpliwie, by egipski król powrócił na swój statek i mogli ruszyć w podróż. Także Egipcjanie ustawili się w szyku i grozili wtargnięciem do kajuty, chcąc dostać króla w swoje ręce. Wysłano Ezrę, aby oszczędzić mu tego afrontu. Musieli iść, nie można było dłużej zwlekać.

Afra ruszyła, z matką idącą zaraz za nią. Nieprzyzwyczajona do egipskiego wiązania szaty, która udrapowana między udami opadała jej aż do stóp, potknęła się lekko, zaraz jednak odzyskała równowagę. Na progu odwróciła się nagle, by popatrzeć na Cezariona, ze spojrzeniem zamglonym łzami. Skrzyżowała ręce na piersi, by przytrzymać napierśnik z lapis-lazuli: ulubiony gest dawnych faraonów.

– Ty jesteś mną – powiedziała, i po tych słowach wyszła razem z matką.

Wkrótce Cezarion usłyszał ze swej nowej kajuty wielkie poruszenie, panujące na statku szykującym się do odpłynięcia. Potem, z początku niepewny, kolisty ruch, który zwracał statek w przeciwnym kierunku, wprawiając w drżenie ściany i tworząc migotliwą grę światła i cieni w tym dziwnym domu na falach. Teraz wszystko zmieniało imię, język, przeznaczenie, a on był samotny jak jeszcze nigdy w życiu.

Słyszał, jak wyciągano powoli kotwicę, podwajano liczbę wiosłarzy, bo teraz trzeba było żeglować pod prąd, rozkazy wykrzykiwane w nieznanym języku, uderzenia bębna wybijającego rytm, plusk ciężarów wyrzucanych do wody, szelest zwijanych żagli, przyspieszający rytm wiosła, który sprawiał, że piana podnosiła się ze świstem za rufą, zdawając się śpiewać.

Ten głuchy plusk wcześniej – to musiały być ciała wyrzucane do rzeki. Ciała Etiopów, a może także jego przyjaciół, Omfalusa, Porusa, Sosigenesa, jeśli walka, która rozegrała się w najpiękniejszą noc jego życia, objęła także sąsiedni statek. Lania żyła, na pewno ją oszczędzili, nie mogła być martwa, nie chciał o tym nawet myśleć. W ciągu jednej jedynej nocy spotkał kobietę, której w najgłębszych zakamarkach duszy zawsze poszukiwał, stracił wolność i swoją tożsamość. Igraszka losu, bardziej przypominająca jakiś magiczny rytuał niż podstęp dyktowany koniecznością, sprawiła, że wcielił się w ukochaną, przyjmując jej imię i przeznaczenie na czas długiej podróży. Nie wiedział, jaką cenę zapłacił za tę metamorfozę, ile osób zginęło. Opuścił ludzi, którzy byli mu drodzy w dzieciństwie, porzucił ich niczym poczwarka kokon. A teraz, odrodzony, udawał się do nowej ojczyzny, uciekając przed śmiercią, która czekała go z rąk Oktawiana, by otrzymać życie zamiast śmierci przygotowanej dla Afry. Zatrzasnęła się pułapka, z której nie mógł już się wymknąć inaczej, niż tylko udając tę istotę, która w jego umyśle gościła od tak dawna, tak bardzo upragniona, że nie umiał sobie wyobrazić, by mógł bez niej żyć.

To więzienie było przedtem mieszkaniem Afry, miejscem, w którym każdy kąt był przeniknięty jej zapachem, gdzie spędziła całe tygodnie w odosobnieniu, przechodząc te same katusze co Cezarion, który płynął w jej stronę. Czuło się tu jeszcze zapach jej ciała. A on zanurzał się w nim, przedłużając jego posiadanie i spełniając mistyczne zjednoczenie, które wypowiedziała na głos, zanim zniknęła w drzwiach. „Ty jesteś mną”.

Długo siedział w miejscu, gdzie się kochali, zamykając zaczerwienione od snu oczy z obawy, że utraci fantazje swoich zmysłów, pobudzone przez zapachy i dźwięki. Powolny ruch statku, kołyszącego się z powodu coraz silniejszego przeciwnego wiatru, był równie słodki jak jego myśli, tak jakby Afra naprawdę leżała jeszcze u jego boku. Spędził drugą noc w ekstazie i oszołomieniu, pogrążony w półśnie, zupełnie zapomniawszy o jedzeniu, które przyniosła mu matka Afry, aż w końcu przebudził go dotkliwy głód.

Kobieta nie chciała mu przeszkadzać w jego medytacjach. Pozwolił, żeby myślała, że śpi: wolał nie zakłócać równowagi i nie przyspieszać wypadków, pragnął pokazać się innym najpóźniej jak można, wykorzystując czas na oswojenie się ze swoją nową maską. Nikt nie powinien podejrzewać zamiany, jaka dokonała się w tym pomieszczeniu. Nie mógł jednak przypuszczać, jak bardzo wstrząśnięta jego podobieństwem do Afry była Ezra, i że w rysach jego uśpionej twarzy odnajdywała upragnionego męskiego potomka, którego nie udało jej się dać Artaksovi.

Nad ranem Cezarion zasnął naprawdę i śnił, że znajduje się na wyspie, na której Afra spędziła dzieciństwo. Widział ją leżącą na wznak na plaży: odczuł ukłucie zazdrości, jak gdyby wyspa była mężczyzną, magicznie zmienionym w ziemię wypiętrzoną z morza, a Afra mu się oddawała. Zbudził się ze łzami w oczach, słysząc odgłosy głośnej kłótni w niezrozumiałym języku: dwa męskie głosy ludzi, którzy zaczęli toczyć z sobą pojedynek, z trudem rozdzieleni przez sternika i potem skazani na chłostę. Krzyki, dźwięk metalu, uderzenia bicia, jęki, zdawały się echem przerwane go snu. Cezarion zaczynał cierpieć z powodu swej izolacji, niemożności wyjścia na zewnątrz i nadania kształtu dźwiękom: chciał zobaczyć usta, z których wydobywały się krzyki, ostrza mieczy, mostek statku. Od tej chwili zaczął się przeglądać w złotym zwierciadle Afry, raczej by przypomnieć sobie jej oblicze, niż aby sprawdzić, czy maskarada jest udana. W ozdobnej skrzyni w kajucie odkrył jej olejki, perfumy, szaty, klejnoty, sandały, szpilki do włosów, szylkretowe grzebienie i pergaminowy zwój obwiązany białym sznurkiem. Zawahał się, zanim go rozwinął. Bał się, że wdzierą się w jakiś sekret i że może pożałować, iż go nie uszanował. Potem Ezra, w czasie jednej z wizyt, kiedy przynosiła mu jedzenie, wyjaśniła, że były to zapiski poczynione przez jej córkę w czasie podróży, aby odpędzić nudę.

Wtedy Cezarion rozwinął zwój i zobaczył, że swoim drobnym i okrągłym pismem Afra zapisała na nim w języku etiopskim, którego nie znał, dziennik dni podróży, tak bliskich i dalekich od jego dni. Przyglądał się literom nakreślonym przez jej dłoń, tym tak osobistym znakom jej pisma. Poprosił o wyjaśnienie i potworzenie kilku słów, które uchwycił w jej głosie, kiedy pytała go, jak się nazywa. Z pomocą Ezry rozszyfrował kilka zdań: Afra opisywała w skrócie swoją podróż, te zapiski były czymś w rodzaju pamiętnika jej krótkiego życia, któremu groziła utrata własnej świadomości. Powróciły mu na myśl jej słowa, które tak go wzruszyły: „I to już całe moje życie, nareszcie nie muszę go ukrywać. Zanim nie spotkałam ciebie, nie mogłam o nim nikomu opowiedzieć”. Zawierzyła tylko temu pergaminowi, a potem jemu, Cezarionowi. Opisywała wszystko szczegółowo, był tu nawet spis jej ulubionych potraw ściśle przestrzeganej wegetariańskiej diety. Potem wzmianki o jej dzieciństwie na wyspie. Krótki opis jej rodzinnego kraju, zdradzający niewielką wiedzę na jego temat, sucha i pozbawiona komentarzy kronika podróży lądowej z Etiopii do Nilu Błękitnego. Mimo iż zapiski były lakoniczne, Cezarion obserwował z zazdrością matkę Afry, podejrzewając, że nie tłumaczy mu wszystkiego, co napisała córka. Nie wiedział dlaczego, ale tak jak skrytość Afry wydała mu się sposobem chronienia się przed ciekawością matki, tak wymijające zachowanie Ezry odczytywał jako próbę ukrycia zażenowania spowodowanego przez córkę. Cezarion zagłębił się w lekturę z taką pasją, a pomoc udzielona przez Ezrę okazała się tak przydatna, że po kilku dniach młodzieniec opanował alfabet i był w stanie wymówić niektóre słowa, a także zrozumieć samodzielnie proste zdania.

Okazało się, że jego podejrzenia co do przemilczeń Ezry były słuszne. Kobieta nie przeczytała fragmentów, które dotyczyły jej samej, w części dziennika poświęconej rodzicom Afry. Jak wynikało z zapisków, Ezra pochodziła z delty Nilu i została pojmana jeszcze jako dziewczynka w czasie jednej w wojen etiopsko-egipskich.

Dlaczego matka Afry przemilczała ten ustęp? Z nieuwagi? Ale jak zinterpretować to pominięcie, skoro potem nauczyła Cezariona języka i wiedziała, że on i tak przeczyta tę stronę?

Odkrycie zburzyło nastrój niemal poufałego porozumienia. Cezarion zaczął się uważnie przyglądać Ezrze za każdym razem, gdy wchodziła, często razem z Amalteą, która została na pokładzie razem ze swym panem i stała się ulubienicą etiopskiej załogi.

Dopiero wtedy zaczął dostrzegać wielką urodę tego oblicza, przyćmioną przez melancholię, która wyźłobiła zmarszczki na jej skroniach i wokół oczu. Ezra sprawiała wrażenie, jak gdyby trawiła ją wewnętrzna gorączka, z biegiem lat może trochę zduszona, ale wciąż tłąca się gdzieś w głębi umysłu. Kim naprawdę była ta urodzona w Egipcie kobieta, którą król Etiopów wybrał na matkę swego dziedzica, a która teraz pomagała Egipcjaninowi tak bardzo przypominającemu jej córkę, że zajął jej miejsce, aby móc ją uratować? Przynosiła mu wieści o podróży, zawsze takie same: żegluga postępowała bez przeszkód, wkrótce dotrą między piątą a szóstą kataraktę, gdzie będą musieli podjąć podróż lądem, etiopscy ministrowie chcieli go zobaczyć, żeby upewnić się, że następca zmarłego króla jest w dobrym zdrowiu, wśród marynarzy panowało napięcie z powodu niedawnej kary chłosty. W miarę jak kobieta nabierała do niego zaufania, stawała się coraz weselsza, przechodziła od apatycznej depresji do przebłysków dziwnego podniecenia, które podkreślały brak zrównowżenia, wyczuwalny już wcześniej w jej głosie i ruchach. Zdawało się, że wyzwala się z jakiegoś od dawna noszonego ciężaru i że wewnętrzny płomień nie spala już jej serca, ale je ogrzewa. Jej odwiedziny sprawiały Cezarionowi przyjemność, nie odczuwał już zażenowania, tak jak w czasie pierwszych wizyt, mimo cienia, jaki położył się między nimi po odkryciu jej przemilczeń w lekturze dziennika.

Minęły już dwa tygodnie, gdy pewnego dnia wraz z jedzeniem przyniosła mu także amforę wina. Nigdy wcześniej tego nie zrobiła i sądził, że na statku nie było jego zapasów. Cezarion spędził niespokojną noc. Myśl o Afrze, zupełnie samej, otoczonej obcymi ludźmi, którzy mogli jej zrobić krzywdę przy pierwszym fałszywym kroku, nie dawała mu spokoju. Kusiło go nawet, by zwierzyć się Ezzrze z niepokoju dręczącego jego serce. Czuł, że rozpacz mąci mu umysł i nie pozwala zachować trzeźwości myśli. Nad ranem zdrzemnął się wreszcie, niespokojnym snem, i śnił, że ona jest jeszcze przy nim, na poduszkach. Po przebudzeniu długo ją wzywał. Nie mógł już znieść swego odosobnienia, czuł, że źle zrobił, poddając się tak ciężkiej próbie, że brakowało mu sił, a skoro tak było, to zapewne jego biedna Afra też już nie była w stanie stawić czoła swojej sytuacji. Ezra zbliżyła się do niego, pogrążonego w głębokiej depresji, i zaofiarowała mu wino, potem zapytała, czy może mu namaścić stopy cennym balsamem, który ma moc odświeżania znużonych ciał. Przygotowuje się go z tygrysiego szpiku i działa prawdziwe cuda...

Cezarion zgodził się, nie umiejąc już ukryć wyrzutów sumienia nawet przed tą kobietą, która na pewno tak samo martwiła się o los córki. Podczas gdy wino przenikało mu do żył, czuł, jak pod wpływem tego magicznego, kojącego wszelkie cierpienia napoju opuszczają go niepokój i napięcie. Czuł się podobny ludziom, którzy topią swój nieznośny ból w winie i wraz z wyzwalającą świadomością, że jest taki sam jak wszyscy nieszczęśliwi ludzie w każdej epoce, doświadczał nigdy wcześniej nieznanego spokoju. Było tak, jakby cierpienie, choć go nie opuszczało, pozwalało mu na chwilę odpocząć, zanim znów go zaatakuje. Ale jego ból był świętością. Zawdzięczał mu zachowanie czujności, wymyślenie planu ratunku dla siebie i Afry, nadzieję na uratowanie się, nie mógł o nim zapomnieć! Teraz jego umysł mieścił w sobie jakby dwie, trzy, cztery osobowości jednocześnie, wszystkie walczące o dominację. Potem tylko jedna z nich czuwała, podczas gdy pozostałe mogły odkrywać nieznanne dotąd regiony. Wino było mocne, nie odmierzał miarki, bo nie znał siły jego działania.

Zaczął odczuwać gorąco, cierpiał z powodu braku czystego powietrza dnia, niezbyt jeszcze dusznego w tych pierwszych godzinach poranka, dusił się w zamknięciu. Podczas gdy Ezra zaczęła masować mu stopy, jej czarny welon opadł na podłogę. Odnotował ten fakt jako zdarzenie alarmujące dla tych dwóch czy trzech sobowtórów, oddalających się od niego w poszukiwaniu powietrza i rzeźkości poza pokojem, z którego on nie mógł wyjść.

„Ty jesteś mną”, słyszał z głębi kajuty echo jej głosu, słów, które wypowiedziała, gdy zatrzymała się, by na niego popatrzeć. Widział piękną lwią głowę Ezry, która kołysała się nad jego stopą, masując ją rytmicznie, pochylona nieco ku przodowi. Oblany potem, widział jej jędrny jeszcze biust z wielkimi aureolami sutków, wysuwający się spomiędzy szaty podnoszonej oddechem. Wydało mu się, że jego ciało przeszył ból ostry jak ostrze noża, potężne i rozpaczliwe wezwanie od innego Cezariona, którego z trudem rozpoznawał. Tamten, który uważał się już za zgubionego, krzyczał do niego, żeby zamknął oczy. W istocie przymknął je, poddając się jednak, a nie rzucając do ucieczki, do czego nawoływał ten nieznajomy. Poczul, że Ezra go całuje, podczas gdy jego szaty, niczym beużyteczna zbroja, opadały na podłogę. Potem poczul jej rękę muskającą jego brzuch. Przez cały czas nie otworzył oczu, wyczuwając, że w jakichś zakamarkach jego umysłu powraca do niego Lania, nie matka Afry ani nie Afra.

Nie uratowała go świadomość, że ta kobieta nosiła w łonie Afrę. Jego myśli, błędzące z dala od tej prawdy, były zanadto od siebie odległe. Nie mogły się nawzajem usłyszeć, nie rozpoznawały się, rozdzielone całymi wyspami pożądania, zrodzonego z samotności, w której Cezarion stał się dojrzałym mężczyzną w krótkiej chwili jednej nocy. Lania powracała do jego krwiobiegu, zatruwając go, gdyż nie odnajdowała w nim już syna i nie umiała się pogodzić z utratą swego wpływu. Ta Etiopka była Lanią zmienioną w furię.

Podczas gdy on kochał się z nią z łapczywością pozbawioną jakiegokolwiek hamulca, do upojenia dołączał demon ironii. Jego rozproszone ja wracały, aby się zjednoczyć, połączone koniecznością bronięcia go przed odkryciem zbyt bolesnym, aby mógł je znieść w pojedynkę. Musiał uzbroić się przeciw rozpacz, która nadchodziła z daleka niczym przebłyski piorunów z nadciągającej burzy.

I dlatego obraził Ezrę w najbardziej trywialny sposób. Upokorzył ją, poddając się najbardziej zwierzęcym objawom zmysłowości, pałając żądzą, szukając w jej ciele wszelkich możliwych dróg, aby nie powrócić do więziennej celi, gdzie musiał naśladować przed lustrem oblicze Afry. Ezra przychodziła mu z pomocą swą własną rozpacą, wskrzeszając w sobie swoją dwuznaczną aleksandryjską naturę, nieświadoma, że jest nieślubną córką Ptolemeusza XIII, wystawioną za próg wkrótce po urodzeniu, by uniknąć konfliktów z prawowitymi córkami króla, Arsinoe i Kleopatry.

Odmęty szaleństwa pochłaniały nieszczęsną Ezrę, która nie zaznała ani miłości, ani macierzyństwa zwyczajnej kobiety, odsuniętą od władzy, i z tych powodów upatrującą w córce przyczynę swego nieszczęścia. Po latach spędzonych jako wierna żona zdradzającego ją męża teraz wydawała się najbardziej wyrafinowaną z nierządnic. Rozpasana niczym bachantka, wcielała w życie wszystkie fantazje erotyczne podpatrzone u swoich niewolnic.

Ale to świadomość, że kradnie coś Afrze, podnieciła jej zmysły i sprawiała, iż zatraciła wszelką kontrolę: jak gdyby ten młody mężczyzna wynagradzał jej brak miłości ze strony ojca Afry. I za ten brak miłości również winiła ledwie tolerowaną córkę. Niezwykle podobieństwo Cezariona do Afry zdawało się zmazywać tę dawną niełaskę, pokazywać, że zasługiwała na miłość Artaksa, który wcielił się teraz w Cezariona. Bo Eros, osłepiwszy ją, kazał jej utożsamić w jego ciele postać syna i męża.

PIERŚCIEN KLEOPATRY

Afra marzyła o trzęsieniu ziemi, które podniosłoby rzekę i wyrwało ją z jej prastarego i nieubłaganego koryta. Dzięki temu ona znowu mogłaby spotkać się z ukochanym, bo z pewnością zdołałaby bezkarnie uciec w chwili paniki wywołanej gniewem żywiołów, które zawsze uwalniają swoich więźniów od obowiązków historii.

Matka, która знаła tylko część prawdy o swoim pochodzeniu, opowiedziała Afrze, że zawdzięcza swoje życie trzęsieniu ziemi, które dotknęło Aleksandrię kilka dni po jej narodzinach i napełniło mieszkańców lękiem przed gniewem bogów: nękaną wyrzutami sumienia i obawą przed karą z niebios, przyjęli wtedy do domu sto wystawionych za próg dzieci. Dzięki temu matka Afry została wychowana przez siostrę jednego z najbardziej wpływowych kapłanów, przyjaciela etiopskiego króla. Także dwoje młodych kochanków, skazanych w swoim mieście na śmierć za popełnienie świętokradztwa, znalazło się nagle na wolności, gdy runęła świątynia, w której podziemiach ich zamknięto, aby umarli z głodu. Natura pomaga czasem tym, którzy wyzywają prawa ludzkie, tak jakby nawiązywał się tajemniczy sojusz między ciałami, ziemią, płomieniami i wiatrem.

Afra spędzała godziny, patrząc na pióropusz wody ukazujący się za statkiem, który oddalał ją od Cezariona. Rozpamiętywała wszystko, co opowiedział jej o swoim życiu, by bez większego trudu mogła się wcielić w jego postać. Jego życie wzięła już w posiadanie, gdy tylko wstąpiła na pokład białego egipskiego statku, który zawracał w dół rzeki. Rodon, Teodot i Areta zabili kilku żołnierzy i marynarzy w wyniku krótkiej utarczki między buntownikami a żołnierzami wiernymi Cezarionowi oraz wiosłarzami uwolnionymi przez Ferekrata z łańcuchów. W walce padli Ferekrat, Parteniusz i sternik. Lanię uwięziono jako pierwszą, potem Porus, Omfalus, Narcyz i Sosigenes dołączyli do niej w ładowni. Król, zamknięty w swojej kajucie, był strzeżony przez żołnierzy Rodona stojących przed drzwiami. Nie dostrzeżono żadnej zmiany w młodzieńcu, który spuścił głowę postawiony przed swoimi dygnitarzami, jak gdyby wstydził się ich zdrady. To milczenie, bardziej niż jakiś gwałtowny protest, poruszyło Rodona i Aretę. Z szacunku dla władcy postanowiono nie zakuwać go w kajdany, także gdy wychodził z kajuty, aby przejść się po pokładzie. Zatem pierwszy i najbardziej ryzykowny etap metamorfozy Afry dokonał się bez wzbudzenia czyichkolwiek podejrzeń.

Gdy była w kajucie, nikt jej nie przeszkadzał. Afra przyzwyczała się rozmawiać sama z sobą – robiła to od najmłodszych lat na wyspie. Także teraz, w tej nowej samotności, wyrażała swe myśli na głos, tak jakby ten Cezarion, którym była w oczach Egipcjan, mógł stać się w większym stopniu częścią jej samej, kiedy ćwiczyła się w użyczeniu mu głosu. Był to w istocie najmniej przekonujący element tej maskarady, nie sądziła, aby mogła naśladować jego mowę w wystarczająco przekonujący sposób, i była wdzięczna losowi, że szybkość i gwałtowność aresztowania i oddzielenia od bliskich pozwoliły jej, jak dotąd, nie otworzyć ust do nikogo. Czasami żałowała tylko, że nie spotkała owej greckiej niewolnicy, której Cezarion kazał jej unikać. Kobięca intuicja pozwoliła jej się domyślić, kim Lania jest naprawdę. Zastanawiała się, czy jest od niej piękniejsza, ma jaśniejszą skórę albo, co gorsza, więcej doświadczenia w sztuce miłosnej. I szeptała cicho do zwierciadła:

– Czy z tym pudrem na twarzy jestem ciemniejsza od tamtej Greczynki? Bogowie, pozwólcie mi ją ujrzeć, bo ta niewolnica była jego kochanką.

Rodon, Teodot i Areta zdawali się opętani demonem pośpiechu, gnani bezustannym strachem, że napotkają jakąś przeszkodę w długiej drodze powrotnej. Dlatego też unikali jak mogli rozmowy z Cezarionem w obawie, że w tajemnicy przed pozostałymi przekupi jednego z nich łapówką. Sprawy w Aleksandrii były do tego stopnia niepewne, że nie wiadomo było, co ich tam czeka, ani nawet czy Oktawian jeszcze tam jest. Nie ośmielali się także zejść na ląd, by zasięgnąć języka, mając więźnia tej rangi na pokładzie. Zbyt wielu Egipcjan rozpoznało statek w czasie wcześniejszej żeglugi i spiskowcy nie mieli pewności, jak by ich teraz przyjęto. Nie zatarło się też w ich pamięci wspomnienie złowieszczej reakcji tłumu łachmaniarzy w Abu Simbel.

Pewnego wieczoru Teodot zauważył nagle, że uwolnił się od królewskiego kota. Gdzie też zapadła się ta rozpuszczona bestia? Chętnie skreśliłby jej kark... To dziwne, że nierozłączna para, Cezarion i Amaltea, się rozpadła. Jak to się stało? Dlaczego Cezarion nawet się nie poskarżył? Był tak apatyczny i milczący. Ostatnim razem, gdy Teodot go widział, chłopiec wydał mu się złożony bezbrzeżnym wyczerpaniem, które odbiło się w rysach jego twarzy: miękka melancholia uczyniła je jeszcze podobniejszymi do twarzy matki. Niewiele pozostało już z Cezara w tym obliczu: lęk i pogodzenie z losem zgasiły w nim męską surowość, którą wcześniej umiał okazać.

Teodot pochodził z Chios, gdzie jego ojciec prowadził, z niewielkim powodzeniem, małą szkołę retoryki. Patrząc na Nil, na którym wśród niespodzianek i zwrotów sytuacji dokonywała się największa przygoda jego życia, oddychał z ulgą na myśl, że wkrótce będzie mógł opuścić ziemię. Tę, na której jego ojciec zapłacił tragiczną cenę za swoje intrygi w obronie młodego króla Ptolemeusza. Brutus, błądy zabójca Cezara, po zdobyciu Antiochii kazał poddać ojca Teodota najwymyślniejszym torturom w zemście za śmierć Pompejusza. Sam Teodot, paż na dworze Aleksandra, dowiedział się o wszystkich szczegółach dzięki obleśnej i niepowstrzymanej gadatliwości młodego Porusa, który wtedy dopiero co przybył z Indii i uwielbiał zabawiać służki i sługi królowej najnowszymi wieściami o wojnie. Okrucieństwo tej strasznej śmierci na zawsze zatrąło duszę Teodota, nawracając ją na wiarę w to samo bóstwo, w które wierzył jego ojciec: zemstę.

Teodot nie kochał już tego kraju, od kiedy żył w nim jak w więzieniu, w którym dokonała się metamorfoza jego ojca w cień zemsty. Marzył o Chios, które opuścił, nie mając jeszcze dwudziestu lat, tak jakby tam mógł wziąć w ręce poplątaną nić swego życia i rozwikłać ją, zanim zostanie przecięta przez Parki.

Jego dusza wciąż miała trzydzieści lat, tyle samo, ile miało jego ciało w chwili egzekucji ojca, strąconego do dziury najeżonej ostrzami. Musiał się więc spieszyć, bardzo spieszyć, gdyż ciało nie dostosowuje się do wieku duszy. Ani Rodon, ani Areta nie byli jego przyjaciółmi, lecz tylko współnikami, przed którymi powinien się mieć na baczności. Gdyby nastąpiły jakieś komplikacje w ich planie, byli gotowi zrzucić na niego całą odpowiedzialność. Czytał w ich twarzach pogardę, którą przez całe życie budził syn zdrajcy Pompejusza. Wiedział, że w Aleksandrii to oni zagarną największe korzyści ze zdradzenia Cezariona. Na niego, Teodota, Oktawian popatrzy z takim samym wstrętem jak wszyscy, gdy tylko poznawali jego imię. On jednak chciał od Oktawiana tylko pozwolenia na wyjazd z tej okropnej ziemi, krętej i rozwidlonej niczym ta rzeka, która wylewając każdego roku, niszczyła życie i zarazem je podtrzymywała. Przekłęty Górny, Środkowy i Dolny Egipt! Jakież mdlący był strach rozbudzony przez powrót na te same wody, ponowne zobaczenie Abu Simbel, kolosów, portów, rybackich łodzi o wielobarwnych żaglach, poławiaczy krokodyli, wspaniałych oaz w średnim biegu Nilu, skał katarakt, Kom Ombo, Abydos, Dendery... I jeszcze te stada ibisów, które zdawały się pozdrawiać go szyderczo, długie, niepotrzebnie długie pomosty w opustoszałych wioskach, wychudzeni rybacy, którzy machali ramionami i krzyczeli, kiedy statek rozszarpywał ich sieci, nocni muzykanci, zakłócający sen i wypełniający duszę melancholią. Egipt nigdy się nie kończył, wydłużał się, wyginał, niczym węzowa skóra przylegając do biegu Nilu, ale wszędzie promieniował tym samym nieruchomym złocistym światłem, które otulało wszystkie przedmioty jak śmiertelny całun. Ta podróż tam i z powrotem była koszmarem, z którego nie można się wybudzić: Nil nie był już nurtem płynącym ku ujściu, ale zamkniętym morzem, tylko udającym, że ma początek i koniec. Teodot odnosił wrażenie, że nie potrafi ustać nie z powodu problemów z nogami, które miał silne i zdrowe, ale z racji upartego szumu w głowie, sprawiającego, że pokład

wydawał mu się bardziej chwiejny, niż wynikałoby z lekkiego kołysania, w jakie wprawiały go niewielkie fale Nilu.

Pewnego wieczoru zrozumiał, oblewając się kroplami zimnego potu, że nie pamięta już, czy statek kieruje się ku morzu, czy wciąż w górę rzeki, ku krainie Etiopów.

Przeliczył katarakty. Pomylił się w rachunku. Spróbował zorientować się po roślinności i pejzażu, ale brzegi leżały daleko i ciężkie wyziewy pary wielkiego upału otulały je niczym w złowieszczym mirażu.

Panika zaczęła kęsać jego pierś. Przed oczami przesunęła mu się szybka seria obrazów. Zobaczył się znowu na Chios jako dziecko, z wysoką kobietą obok, jego matką, przygotowującą się do ablucji. Potem pojawił się statek podpływający pod latarnię w Aleksandrii i jego ojciec owinięty po oczy płaszczem. Następnie zastęp pałacowych paziów, do którego został przyjęty z litości. I płomień pochłaniający bibliotekę w Aleksandrii, gdzie o mało nie umarł z zezadzenia. I świt, kiedy wróciwszy do domu, zaskoczył swoją młodą żonę, Attirie, w ramionach kreteńskiego żołnierza. Potem spelunka w Tebach, gdzie stał się z synem, który chlusnął mu w twarz winem z kielicha, powtarzając: „Nie jestem już Teodotem, nazywam się Amasi, wynoś się stąd!”. I jeszcze Kleopatry, Antoniusz, ucieczka, wreszcie Cezarion aresztowany na mostku i pochylający w milczeniu głowę.

Jakże dwulicowy był ten przeklęty kraj, każda rzecz była sobą i swoim wrogiem. Nie miało nawet sensu zadawanie sobie pytania, kim jest cień, który widział w oknie królewskiej kajuty, w świetle lampki oliwnej, ten kształt rozdzielający się powoli, by umyć się w misce, jak niegdyś jego matka na Chios, jak jego matka ukazujący sterczące, jędrne piersi, białe alabastrowe uda, ciemną i delikatną kępkę włosów na łonie.

Popatrzył na ciemne wody rzeki, która zgasi płomień przebiegający od oczu aż do stóp, po krótkim zimnym dreszczu, tej rzeki przechowującej w sobie cały Egipt, przeszłość, terażniejszość i przyszłość, gdzie znajdzie swoją ojczyznę także on, Teodot nikczemny.

I rzuciwszy się do wody, pomyślał, że zdrowieje, gdy stracił z oczu statek. Tonął w czarnym Nilu, tak jak statek tonął w jego szeroko rozwartych oczach.

Alarm podniósł Bassian, dużo później, gdy odkrył płaszcz i sandały Greka z Chios przy burcie w pobliżu królewskiej kajuty. Rodon i Areta rozpoznali od razu szaty współnika, wiedzieli, że nie umiał pływać, i rozejrzeli się dookoła z ulgą i zażenowaniem. Nie miało sensu wszczynać poszukiwań: na tym odcinku Nilu roiło się od krokodyli. W dodatku Teodot, którego imię napiętnowane było wspomnieniem zdrady, mógł skompromitować całą ich misję. Bez niego, uwolnieni od złowieszczych skojarzeń, łatwiej będą mogli wrócić.

Od kilku dni zachowywał się dziwnie, trzymał się na uboczu, często dotykał głowy i stale pocierał oczy. Jaka wizja tak go niepokoiła? Wyglądał, jakby chciał przepędzić natrętą zjawę.

Areta twierdził, że kilka razy przyłapał go, jak mówił sam do siebie, potrząsając głową i machając rękami, jak gdyby przy pomocy swych pompatycznych azjatyckich sztuczek retorycznych chciał przekonać do własnych racji jakiegoś upartego interlokutora. Dopiero teraz zrozumiał, że tym niewidzialnym rozmówcą była śmierć.

Rodonowi nie umknął zmartwiony wyraz twarzy Arety, gdy to mówił, jego spojrzenie zagubione w dalekim horyzoncie, za którym kryły się kto wie jakie zjawy wywołane przez tę tajemniczą śmierć w wodzie. Rodon zaś doceniał korzyści tego zniknięcia i czuł, że otwiera się przed nimi nowy etap podróży, pojedynek do rozegrania między nimi dwoma.

Następnego ranka, gdy umysły zbiegów zaprzętało jeszcze nagłe zniknięcie Teodota, słońce nagle pociemniało. Nie było to zaćmienie. Sosigenes, który przebywał na pokładzie podczas godzinnej przechadzki, na jaką zezwolono więźniom, szybko dał sygnał alarmu. Od świtu obserwował niebo ze swej nory pod pokładem i usłyszał je już wcześniej:

– Padnijcie na ziemię! Zakryjcie twarze, to szarańcza!

Zaraz potem chmura szarańczy niczym śnieżny huragan przesunęła się nad statkiem i opadła na lewy brzeg, z którego dobiegły krzyki alarmu i strachu. Dopiero po południu, gdy oczyszczono pokład z warstwy insektów, można było na nowo podjąć żeglugę. Ale gwałtowność przelotu szarańczy zrobiła na wszystkich uciekinierach wielkie wrażenie i długo nie pozwoliła im się otrząsnąć z szoku.

Afra, nic nie wiedząc o tych wydarzeniach, następnego wieczoru po rzuceniu się Teodota do Nilu zdjęła z palca skarabeusza Cezariona. Ze zwykłą ostrożnością pottrzymała go chwilę na otwartej dłoni. A jednak od kilku dni dreszcz strachu ustępował z wolna ciekawości, dwuznacznej fascynacji. Jej umysł był zajęty nurtującą ją myślą, czy natura rzeczywiście może pomóc człowiekowi, gdy nie wie on, jak uciec z pułapki historii. Jak zostawić za sobą tyranie, więzienia, bezlitosne zawiści i zemsty swoich aktorów? Zadawała sobie te pytania, ważąc w dłoni pierścień. W jaki sposób ona powróci do Cezariona, a on do niej, wolna jak jedna z szarańczy, którym tak zazdrościła, gdy po krzyku Sosigenesa ujrzała je ze swego więzienia w locie nad statkiem.

Magiczne zioła, których działania uczono jej na wyspie, były używane zawsze tylko do uzdrawiania chorych i rannych. Często miała okazję sprawdzić ich skuteczność na rozbitkach, których statki roztrzaskiwały się na skalistym południowym wybrzeżu, gdzie wznosiła się świątynia małp. Kobiety układały umierających delikatnie na posadzce świątyni, po czym w ciągu kilku dni przywracały ich do życia, pojąc wywarami z morskich alg w dziwnym zielonym kolorze. Ale to doświadczenie śmierci, z którym nigdy się nie zetknęła na wyspie, sprawiało, że była tak niedowierzająca, choć zarazem przestraszona. Nikt nie mówił Afrze o zmarłych, dopóki nie przyłynęli po nią, aby zabrać ją do Etiopii, bo jej ojciec był umierający. Miała przed oczami obraz świątyni, gdzie rozbitkowie byli leczeni i przywracani do życia, ostatni skrawek jej wyspy, skaliste urwisko cypla znikające z horyzontu, podczas gdy statek kierował się ku brzegom Afryki.

Znowu popatrzyła na jadeitowego skarabeusza osadzonego w złotej oprawie, na wgłębienie kryjące małą dźwignię, która uwalniała sprężynkę i podnosiła kamień, odsłaniając truciznę. Nie ośmielała się otworzyć pierścienia, jak gdyby już samo spojrzenie w jego wnętrze mogło jej zaszkodzić. Z drugiej strony nie ma przecież nic złego w tym, że tylko się przyjrzy. Kto wie, jak często pierścieniowi przyglądała się Kleopatra i wszyscy jej poprzednicy, jeszcze nieprzyzwyczajeni do tego talizmanu, tradycyjnej oznaki królewskośći...

Nacisnęła małą dźwignię.

Proszek był tak intensywnie zielony, tak błyszczący i odmienny od jakiegokolwiek naturalnej zieleni, że nie była w stanie oderwać od niego oczu.

Być może to nie sen śmierci dawał ten proszek w kolorze morskich roślin, które na jej wyspie służyły do rozbudzania rozbitków sponiewieranych przez burzę, ułożonych na posadzce w świątyni małp.

A gdyby tak skosztowała odrobinę?

W jej śmierci musiało się kryć przeznaczenie odmienne od niespodziewanego pobladnięcia jej ojca, od jego grabienia palcami powietrza, w którym zastygły, sztywne i rozczapierzone, jak gdyby zabrakło im źródła energii. To było jak dotąd jej jedyne doświadczenie śmierci. Czemu miałyby odziedziczyć tę ślepą metamorfozę swego ojca, obcego, który odesłał ją, gdy tylko się urodziła, i wezwał z powrotem już jako starzec, aby obciążyć straszliwym ciężarem swojej korony?

Na jej wyspie na początku każdej pory deszczowej odprawiano ceremoniał antycznego rytuału słońca: największym przeżyciem jej dzieciństwa był widok kapłanów, którzy wypiwszy napój, po ekstatycznym tańcu na rozżarzonych węglach wpadali w katepsję. Budzili się pod wieczór i opowiadali o odbytych w czasie snu podróżach do krajów, w których słońce oświetlało już nowe lato. Przynosili z tych miejsc energię konieczną dla ognia, który musiał ogrzać zimną porę, rozpalali, jeszcze oszołomieni snem, wielkie ogniska na plaży, chwając się ze zmęczenia po długim marszu umysłu. Afrze pozostała niezaspokojona ciekawość tych wyśnionych wizji, podsycana jeszcze szczegółami, które nie znajdowały żadnego odpowiednika w otaczającej rzeczywistości: słowa o tajemniczym i kuszącym dźwięku przybierały nieznane kształty. To właśnie wyobrażenie śmierci jako przygody sprawiało, że ręka Afry, trzymająca pierścień faraonów, drżała z pragnienia, rojąc, że ten zielony proszek w jakiś niespodziewany sposób mógłby otworzyć jej drogę do ucieczki z więzienia i połączenia się z Cezarionem.

W końcu, przewyciężwszy ostatnie cienie lęku, polizała palec wskazujący i zanurzyła go w śmierci.

RODON I SOJUSZ Z LANIĄ

Tej nocy, gdy Teodot rzucił się do Nilu, Porus nie potrafił zamilknąć nawet na chwilę. Skuty razem z Omfalusem i Narcyzem, często słyszał od nich wymówki za swoją niepowstrzymaną i męczącą gadatliwość w ten upalny wieczór, pod deskami pokładu, gdzie panowało nieznosne gorąco.

– Mam przepełnione serce, pozwólcie mi się wyzalić.

– Dlaczego właśnie dzisiaj wieczoru? – spytał ponuro Narcyz.

– Komuś za bardzo się spieszy. Wybierając inną drogę, sądzi, że nas wyprzedzi, ale popełnia straszny błąd: w ten sposób odrodzi się jako ślepiec, tak jak wszyscy samobójcy.

– Brakowało nam tylko twoich żalobnych fantazji, eunuchu! Zmilczałbyś chociaż jeden raz.

Omfalus był u kresu sił. Nie znosił tego przymusowego bezruchu, on, który żył, aby każdego dnia ćwiczyć ciało w wyrażaniu swego życia wewnętrznego. Narcyzowi zabrano flet, ale on mógł przynajmniej gwizdać i śpiewać.

Porus stał się jeszcze bardziej wrażliwy niż zwykle, jak gdyby zrodziła się w nim zadziwiająca umiejętność łączenia niepowiązanych faktów i tworzenia z nich nowej całości. Powróciła mu pamięć swego indyjskiego narzecza, która zatarła się po długim pobycie w Egipcie. I w tym języku, zbliżonym do sanskrytu, często snuł opowieści, zapominając, że jego towarzysze nie mogą go zrozumieć.

Żył już bardziej w tym swoim osobistym śnie niż w rzeczywistości podróży do Aleksandrii, gdzie czekało na niego życie, którego wcale nie pragnął. Nowa królowa lub żona rzymskiego prokonsula albo Oktawiana Cezara, czekająca na porady w doborze kolorów i perfum, szat i fryzur; nowy zastęp kłótliwych niewolnic do wyszkolenia, by mogły stać się idealnymi służkami. I naturalnie jakiś wschodni niewolnik, dopiero co przywieziony z nowym ładunkiem ludzkiego towaru, do wykastrowania. I musiał być piękny, ten niewolnik, na swoje nieszczęście, tak aby mógł zdobić, przynajmniej dopóki nie opuści go młodość, dwór swojej pani. Tak jak oślepiano ptaki, aby śpiewały, hodowano zwierzęta, by zdrzeć z nich skóry, tak zabijano żywe istoty, aby ich ciała żywiły inne ciała, także przeznaczone na śmierć, gdy utraciły już młodość i świeżość. Był to nieprzerwany cykl, którego w Indiach uczyły się dzieci. Można go było przerwać, jeśli otrzymało się od bogów łaskę, by przeżyć cały jego horror, nie odwracając spojrzenia zamglonego litością ani nie uciekając od cierpień egzystencji poprzez samobójstwo.

Pamiętał przekłętą dzień, w którym przybył do portu w Aleksandrii na statku wiozącym niewolników nabytych w Tyrze, przywiezionych rzeką Tygrys, potem zabranych do Palmiry i Antiochii przez pustynię, aż do zielonych dolin Antylibanu. Porusa pojmano, gdy żeglował z Indii w stronę Persji, towarzysząc szesnastoletniej siostrze, która miała poślubić wielmożę z tego kraju. To on orędownął za małżeństwem z tym Persem, tak młodym, że rodzice wahali się z wyrażeniem zgody. Właśnie Porus rozwiązał ich ostatnie wątpliwości:

– Pozwólcie siostrze przeżyć swoją miłość. Rachuba lat jest tak niepewna w naszej rodzinie...

Dręczyło ich niezatarte wspomnienie śmierci trzech synów w krótkim odstępie czasu: Yamy – na wojnie, Sirasa – na polowaniu, Jayadevy – pokonanego przez nagłą chorobę. Słowa Porusa wprawiły w ruch ostatnie koła zębate mechanizmu fortuny która miała zostawić dwoje starych rodziców pięciorga dzieci w pustym domu. Chamiccy piraci zgwałcili, a potem zabili jego siostrę i wszystkie jej służki. On i trzej służący rodziny zostali schwytani i zawleczeni do Arabii, gdzie znajdował się wielki targ niewolników, zwożonych tam ze wszystkich stron świata. Na nic się zdały błagania Porusa, aby zażądać za niego wielkiego okupu, wysiać statek do jego rodziców, potężnych i bogatych braminów z najwyższej kasty. To że zostali sami, w tym wielkim domu w puszczy nad dolnym Indusem, nie wzruszyłoby tych ludzi, dlatego też nie próbował nawet wysunąć tego argumentu. Podkreślał tylko, że są bardzo bogaci. Na nic się to zdało. Jego zjawiskowa uroda pozwalała zrobić na nim lepszy interes, niż mógłby przynieść okup. W Aleksandrii zachorował, osłabiła go dyzenteria. Zarządca targu, widząc go tak wycieńczonego, że musiano go nieść na noszach, nie krył sceptycyzmu:

– I to ma być ta perła, którą mam sprzedać królowej?

Być może wtedy przeznaczyliby go do pracy w stoczni w arsenale. Ale gdy wyzdrowiał, na jego nieszczęście uroda powróciła, olśniewająca tak jak wtedy, gdy pojmano go na morzu, czyniąc ponownie obiektem pożądliwych spojrzeń i oddalając go od innych.

Zaprowadzony do pałacu przed oblicze wielkiego podczaszego królewskiego, eunucha Potinusa, został obnażony ze skąpych łachmanów, jakie jeszcze miał na sobie. Upierścienione palce zaczęły obmacywać jego nagie ciało, wzbudzające tak wielki podziw. Na jego twarzy musiał się pojawić cień groźby, niedopuszczalny u niewolnika stojącego przed dygnitarzem.

– Nie pogardzaj mną, mój piękny, ty też staniesz się taki jak Potinus – powiedział eunuch, muskając swoje własne podbrzusze. Następnego dnia przygotowano go do życia, którego nie chciał teraz powtarzać.

Śmierć Parteniusza odebrała mu ostatnią resztkę chęci, by je znosić. Kiedy Parteniusz padł, śmiertelnie ranny w krótkiej utarczce między buntownikami a poplecznikami Cezariona, nikt nie zwracał większej uwagi na eunucha. Tak więc Porus, ujrawszy, że rudowłosy niewolnik woła go błagalnie, leżąc na krwawiącym boku, podbiegł do niego i opatrzył swymi nerwowymi palcami najdelikatniej jak umiał, tamując upływ krwi bandażem zrobionym ze strzępu materiału zerwanego z turbanu. Parteniusz zebrał ostatnie siły, aby poruszyć rękami i coś powiedzieć: Porus poczuł, jak umierający muska go lekko, rozpoznając od razu tę skórę, brodę, zapach, głos. Wstrząsnęły nim słowa wyszeptane do jego ucha, bo była to prośba o śmierć. Porus spełnił ją, nie zważając już na nic, co działo się dookoła. Chcąc oszczędzić Parteniuszowi ciosu, którym Rodon i Areta dobijali rannych, objął umierającego, podniósł go i pozwolił mu się zsunąć w wody Nilu.

Od tego dnia stał się nieznośny, jak gdyby płonął chęcią ściągnięcia na siebie negatywnego i gwałtownego nurtu sił, ludzi i wydarzeń w niejasnej nadziei sprowadzenia w ten sposób na swoją głowę śmierci, której nie czuł się jeszcze na siłach sobie zadać. Nienawidził samego siebie, ale żywił się złudzeniem, że to inni przyspieszą jego koniec, tak jak się stało z Partenuszem. Czasami patrzył na łańcuchy zwisające z muskularnych ramion Omfalusa i błagał je w swym indyjskim narzeczu, aby opadły, pozwalając tym rękom zatłuc go na śmierć. Wspomnienie objęcia Partenusza zmieniło się w wielkie pragnienie przemocy fizycznej. Był cały w siniakach, które sam codziennie sobie nabijał w czasie krótkiego dozwolonego więźniom spaceru po pokładzie, uderzając się rozmyślnie o stołki, belki, drabiny. Nikt nie traktował go brutalnie, to on się maltretował, nie zdając sobie z tego sprawy. Słyszał plusk, kiedy Teodot skoczył do wody, i zrozumiał, że ktoś inny także utonął, gdyż nie umiał znieść myśli, że wszystko się powtarza niczym zamknięte w nieubłaganym żelaznym kręgu. Chciałby móc wyjaśnić Teodotowi, że w ten sposób nie można przerwać błędnego koła losu, a wręcz przeciwnie – mogło stać się ono tylko okrutniejsze, zważywszy na przekleństwo ślepoty, które Wisznu zsyłał reinkarnacjom samobójców.

Poczucie fatalizmu w tym powrocie, tak destrukcyjne dla umysłów Teodota i Porusa, było miazmatem, który od dnia zawrócenia kursu nie oszczędził nikogo na statku. Lania, która przeczuwała na końcu podróży śmierć Cezariona, żyła już tylko w nadziei, że uda się jej jeszcze znaleźć okazję do spotkania ze swoim panem. Wraz z innymi więźniami była wyprowadzana na pokład w godzinie przed zachodem słońca. Za każdym razem umawiała się z Sosigenesem, żeby odwrócił uwagę dwóch pilnujących jej strażników. Mogła się wtedy zbliżyć do wysokiej kajuty na rufie, strzeżonej przez dwóch żołnierzy stojących przed drzwiami, ale wolnej bo bokach, gdzie biegł długi pomost, z którego rzucił swe ostatnie zahipnotyzowane spojrzenie Teodot, zanim skoczył w wody Nilu. Uwięziony Cezarion nigdy nie pojawił się w oknie. Dziwne. Zapewne nie pozwalali mu na to. Jak to się stało, że Amaltea również zniknęła? Przecież była przyzwyczajona wychodzić z kajuty i wracać, kiedy chciała. Lania nie usłyszała ani razu jej miauczenia, choć zwykle kotka zapuszczała się we wszystkie zakamarki statku.

Ale niepokój Greczynki wzmógł się jeszcze przed uwięzieniem Cezariona i przymusowym rozstaniem. Zraniło ją inne rozdzielenie – mniej wymuszone okolicznościami, a bardziej zależne od jego decyzji. Był to moment, gdy Cezarion wszedł do kajuty etiopskiego króla, owej tajemniczej postaci, której nikt nigdy nie widział i nie było nawet wiadomo, czy to naprawdę król. Dręczona złym przeczuciem, sprzeciwiła się rozkazowi Etiopów, by się wycofać i zostawić go samego. Zabiją mi go, pomyślała, te psy dogadały się z sobą. Przez chwilę nawet podejrzewała, że samo spotkanie dwóch statków było częścią planu wymyślonego przez demoniczny umysł Teodota z Chios. Pochwycona przez muskularne ramiona czarnego żołnierza, znalazła się pod pokładem, zakuta w kajdany, ledwie mając czas, by rzucić ostatnie spojrzenie na swego ukochanego, który wchodził, podnosząc rąbek białej szaty.

Wchodził tam, gdzie ona wejść nie mogła, ona, która zawsze nad nim czuwała i nie odstępowała jego boku. Od tej chwili życie stało się jej nienawistne. Czekał ją rzeczywiście powrót, tak jak często przeczuwała przed nadejściem tego nieszczęsnego dnia. Ale nie powrót na grecką wyspę jej dzieciństwa, nie do białego punktu wyjścia, lecz powrót rozczarowany i nieszczęśliwy, w czasie którego liczyła, wspominając ufnie dni podróży w górę rzeki, czas dzielący ją od śmierci Cezariona i własnej. Bo ona nie mogła go przeżyć: ich egzystencje były zanadto z sobą związane.

Porwała się na jedyne szaleństwo, dające jej jakąś iskierkę nadziei: pomoc Rodona, który nie przestał jej pożądać nawet teraz, z bezczelnością ledwie powstrzymaną w obecności Arety. Lania nienawidziła go, upatrując w nim przyczyny wszystkich swoich nieszczęść, mimo to musiała jakoś się do niego przymilić, jeśli miała zamiar dostać coś w zamian. Początkowo chciała go poprosić tylko o pozwolenie na zobaczenie swego pana, potem zrobiła się zuchwalsza i postanowiła zażądać wyższej ceny za oddanie się Rodonowi: odbycia ostatniej rozmowy z Cezarionem przed przybyciem do Aleksandrii.

Rodon nie okazywał jednak wielkiego zainteresowania jej zabiegami. On także zdawał się oczekiwać wiele za to, co ewentualnie skłonny był jej dać: Lania nie zauważyła, jak bardzo się postarzała w czasie podróży, jak przywiedły jej wdzięki pod wpływem wszystkich bolesnych przeżyć. Wiele razy próbowała się czegoś dowiedzieć od strażników o tym tajemniczym etiopskim królu: kiedy dwie załogi się spotkały, w zamieszaniu i rozgardiaszu na pewno wymieniły się wieloma informacjami, przede wszystkim o tym, który był przyczyną ich żeglugi po Nilu. Nikt z nich jednak nic nie wiedział. Wyglądało na to, że z wyjątkiem kilku sług nikt nie widział tego Etiopa na własne oczy. I Lania przypomniała sobie to gorączkowe spojrzenie kobiety z drugiego statku, przeżywającej, jak przeczuwała, taki sam dramat, jak ten, który był udziałem Greczynki.

Dwa wieczory po śmierci Teodota Lanii udało się poczynić postępy w czasie godziny spędzonej na pokładzie: dotarła aż pod pomost biegnący wokół kajuty Cezariona i dostała się na spotkanie z Rodonem u niego, w pomieszczeniu położonym blisko rufy. Kiedy miała już wchodzić z powrotem pod pokład razem z innymi więźniami, przez uchylone okno udało jej się zerknąć na zwierciadło obok wiszącej lampy, umocowane nad łóżkiem Cezariona, i ujrzała przelotnie jego spojrzenie odbite w lustrze. Wstrząśnięta, oparła się o Sosigenesa, nie otwierając ust. Teraz, na koniec, zrozumiała daremność tej podróży, pozbawionej już wszelkiego celu.

Te oczy nie należały do Cezariona i nie rozpoznały jej!

W tych przestraszonych źrenicach pulsowała nienawiść. Przebłysk spojrzenia był tak szybki, że nie zdążyła przyjrzeć się dokładniej kościom policzkowym, kędziorom Cezariona.

Wystarczył jej on jednak, gdyż nosiła w sobie te oczy niczym dwa wiecznie zapalone światła. To nie był Cezarion... A zatem kto?

Zadawała sobie jeszcze to pytanie tej nocy, przemykając się do kajuty Rodona po tym, jak posłuszny mu żydowski niewolnik Ruben uwolnił ją z łańcuchów. Ruben jednak nie zauważył, że gdzieś zapodział się nóż, którym otworzył zatrask kajdan na przegubach greckiej niewolnicy, ponieważ jego uwagę odwróciła prośba Lanii o pomasowanie jej lewej stopy, dotkniętej niespodziewanym skurczem. Rodon zaczął spotkanie od miłych słówek, proponując jej cypryjskie wino i placki daktylowe w małej kajucie przesyconej delikatnym zapachem olejku sandałowego, jak gdyby usiłował wskrzesić nastrój dawnych dni na dworze królewskim, kiedy jako preceptor Cezariona często rozmawiał z członkami jego świty. Odpowiadając na pytania Rodona, Lania nie patrzyła na jego twarz – brzydziła się myślą o oczekującym ją dotknięciu tych mięsistych i wypukłych ust – ale na pierś mężczyzny, półnągą pod krótką, uperfumowaną i starannie udrapowaną tuniką. Siwe włosy na zwiotczalej skórze Rodona, starszego od niej o kilka lat, przywodziły Lanii na myśl inną pomarszczoną pierś, inne spotkanie, które naznaczyło poranek jej egzystencji. Między tym dwojgiem zawisł cień Eumenesa, wielkiego kapłana Kybele, który posiadał Lanię jak owoce ze swego ogrodu w owo odległe letnie popołudnie, pod drzewami oliwnymi, przy wtórze grających cykad.

I znowu wszystko zdawało się dziać jak w ruchu oszalałego wahadła, kołyszącego się bez ustanku tam i z powrotem, w obsesyjnym powrocie do tych samych rzeczy i sytuacji. Lanii wydało się to przepowiednią także i jej rychłej śmierci. Jej życie kobiety, rozpoczęte od aktu przemocy, w akcie przemocy miało także dobiec końca.

Musiła zabić tego ducha, zanim uwolni się od swojego nieszczęśliwego życia. Wpatrywała się intensywnie w pierś Rodona, w którą miała wbić zdecydowanym gestem nóż wykradziony Rubenowi. Zarozumiały zaś Rodon, poszukujący w jej rozgorączkowanej twarzy śladów pożądania, które prześladowało go od rana, spostrzegł ten przenikliwy wzrok i odczytał go jako znak, że wreszcie nie jest już postrzegany przez Lanię tylko jako narzędzie targu. I obnażał się, wystudiowanym gestem odpinając broszę podtrzymującą tunikę na lewym ramieniu. Ona wtedy zaczęła mówić o ich umowie, przerażona nadciągającą chwilą intymności, którą powinna przeobrazić w moment śmierci.

– Kiedy go zobaczę? Chcę z nim pomówić.

– Kiedy zechcesz, Lanio. Jutro, pojutrze. Zmienił się. Pogodził się z losem. I ani razu nie poprosił o zobaczenie się z tobą.

– To nieważne, nie odmówi, wiesz o tym dobrze. – W istocie bała się, że Rodon naprawdę jest przekonany, że Cezarion jej nie przyjmie. Wydało się jej, że wątpliwości wywołane zachowaniem króla nie ominęły także jego strażników, tyle że nie przypisali im wielkiego znaczenia.

Zaczynali zabijać jej pięknego chłopca tą obraźliwą obojętnością na jego tożsamość, tak jakby nikomu nie zależało na jego pojmaniu, być może nawet samemu Oktawianowi, który przestał się już obawiać naturalnego syna Cezara. Lania wiedziała, że w Abu Simbel statek zacumował z daleka od brzegu z powodu spotkania z przedstawicielami Oktawiana. Rodon i Areta powrócili na pokład, nie zdradzając ani słowem, co uradzono z Rzymianami, ale wszyscy zaobserwowali ich mało obiecującą pewność siebie.

Rodon przyrzekł Lanii spotkanie sam na sam z Cezarionem następnej nocy. Cień zazdrości przemykał się w jego głosie i zapalał groźbą oczy, gdy podnosił rękę ku piersi, by przysiąc, że dotrzyma słowa.

Innej klauzuli paktu nie trzeba było przypominać, Rodon nie chciał nawet o niej wspominać. Widział swoją zdobycz, oddaloną zaledwie o kilka kroków, spoczywającą na poduszkach koło łoża, na koniec ogarniętą rozkosznym podnieceniem, unoszącym jej pierś w gwałtownym oddechu.

Lania odmówiła wina. Kiedy do niej podszedł, zdała sobie sprawę, że będzie musiała wbić mu sztylet w plecy choć trudno jest w ten sposób dosięgnąć serca. Nie będzie w stanie zadać ciosu z przodu, powstrzymają ją jego oczy. Musiała więc skłonić go jakoś, by je zamknął. Istniał na to tylko jeden sposób.

W końcu przyjęła wino i wypła jednym haustem pół kielicha.

Zaczęła się rozbierać, podczas gdy on rozpiął pas i zrzucił szybko tunikę. Pieścił ją powoli, ułożywszy się obok niej, a ona przesunęła ukryty w welonie nóż jak najbliżej łoża.

Kiedy się na nim wyciągnęli i Rodon zaczął całować ją namiętnie, gdy tylko przymknął oczy, szybkim i gwałtownym gestem, z siłą zaczerpniętą nie wiedzieć skąd, Lania wbiła w jego plecy wąskie ostrze.

Zduszony krzyk, jaki wydał, zanim osunął się bezwładnie, z przebitym sercem, jęki wydobywające się z jego ust, podczas gdy próbował zacisnąć dłonie na gardle morderczyni, wywołały uśmiechy zazdrości u jego przybocznych niewolników, którzy odczytali je jako odgłosy rozkoszy zażywanej przez ich pana. Patrzyli na siebie z porozumiewawczym grymasem, grając w kości i marząc o jak najszybszym dotarciu do Aleksandrii, gdzie uciechy takie jak te, które były teraz udziałem Rodona, staną się dostępne także dla niewolników.

Lania, zagłuszając tuniką rżężenie umierającego, dobiła go. Rodon zdołał podrapać jej szyję, którą osłoniła welonem owiniętym wokół głowy. Wyczyściła się jak mogła ze śladów krwi. Śmierć jest brudna, ile krwi wypłynęło z rany, ile trudu, by zatrzeć ślady płynu, którego nikt nie chce widzieć ani o nim pamiętać...

Na chwilę poczuła, że opuszczają ją siły. Zabiła człowieka. Czyn absolutny i nieodwołalny. Teraz Rodon nie będzie już w nią wpijał swego zezowatego spojrzenia. Jego oczy, szeroko otwarte, jeszcze na nią patrzyły. Nie mogła ich znieść, zamknęła mu powieki drżącą dłonią, wstrząsana szlochem, który na próżno próbowała powstrzymać. I nie wiedziała, że odgłosy jej łkań zostały odczytane tak samo obłeśnie jak wcześniejsze rżężenie Rodona.

Odczekała pół godziny, by się uspokoić albo przynajmniej zebrać siły.

Jakaś mucha usiadła na nozdrzach zmarłego i czyściła sobie łapki. Lania odstraszyła ją machnięciem dłoni. Greczynka uzbroiła się w odwagę i wyciągnęła nóż z ciała. Przez okienko wyrzuciła ociekające krwią ostrze do Nilu. Żelazo zatoneło z cichym pluskiem, tak jak wszystkie noże, które wpadają do morskiej lub rzecznej wody, zabrudzone wnętrzościami ryb czy ludzką krwią. Żelazo nie wie, do czego zostanie użyte. Jest ślepe i głuche. Nie było jego winą, że znalazło się w rękach kobiety, która przebiła nim zdrajcę Rodona.

Poczuła, że mu zazdrości i że nie ma odwagi opuścić tego pomieszczenia.

Rodonie, czemu nie zabierzesz mnie z sobą?

Teraz poszłabym tam, dokąd tylko zechcesz.

To ty powinienesz być mi wyznaczyć to spotkanie, uprzedzając mnie, która wysłała cię w tę wielką podróż, i dzięki temu oszczędziłbyś sobie bólu oczekiwania.

Dopiero wtedy przypomniała sobie o Cezarionie. Radość, że go pomściła, ginęła w obrzydzeniu do tego, co widziała przed sobą, do tego trupa bez honoru. Wrzucą go do wody i nikt nie będzie po nim płakać, bo nikt nie kochał tego zdrajcy i współnika Arety, który ucieszy się, że został sam. Lania czuła jeszcze wysiłek włożony w przebicie się przez skórę, w rozdarcie mięśni i organów, do których wtargnęła niczym intruz brutalniejszy i bardziej niedyskretny niż śmierć, bo ofiara obdarzała ją w tej samej chwili namiastką miłości. Teraz trzeba było odejść. Sprawdziła swoje szaty, przyjrzała się odbiciu swojej twarzy na powierzchni wypolerowanej wazy z brązu. Ostatnie spojrzenie na ciało leżącego na brzuchu Rodona, który nikomu nie mógł się wydać pogrążony we śnie, nie z tą raną ziejącą na jego plecach. Wyszła, żeby wrócić do swojej nory, gdzie łańcuchy były otwarte w taki sposób, by Ruben mógł je z powrotem zatrzaskać jak gdyby nigdy nic.

Nie oparła się pokusie wejścia po schodach aż na początek mostka, trzymając się w cieniu, by nie zaalarmować strażników, i przybliżając oczy do okna kajuty na rufie, w której Cezarion o tej godzinie z pewnością już spał, nie wiedząc, na jaki czyn odważyła się Lania.

Tymczasem on nie spał, migotał płomyk lampy, ujrzała go odwróconego plecami. Stał i mówił coś, gestykulując, jak gdyby był pogrążony w rozmowie. Ale nie było tam przecież nikogo, dochodziło do jej uszu słabe echo jednego tylko głosu. Do kogo mówił ten niespokojny duch?

Lania popatrzyła w górę na rozgwieżdżone październikowe niebo, tak pogodne, jak gdyby to był kwiecień. Dla tego mężczyzny zabiłam człowieka... Ale jeśli to już nie on...? Dla kogo zabiłam, dla kogo?

RZYMSKA LIBURNA

Gdy tylko Ruben zorientował się, że wszyscy wokół śpią, podniósł się, uważając, aby nie zrobić najmniejszego hałasu, i udał się do Rodona.

Zastał go martwego, zgodnie ze swymi oczekiwaniami. Nie tracąc czasu, owinął zwłoki w płótno, które zerwał z bambusowego pała, i zebrawszy się w sobie, wytaszczył je przez drzwi do pierwszego dużego otworu w burcie statku. Wyrzucił ciało do wody, po czym wrócił, by zmyć ślady krwi z drewnianej podłogi, a na koniec przemknął się jak duch do swego legowiska.

Zachowanie Rodona wobec Lanii przypominało biblijne spotkanie Holofernesa i Judyty: przemoc, która musiała zostać ukarana przez Jahwe. Dlatego też Ruben nie zdziwił się tym, co się stało. Wspierany przez swoją wiarę, przyzwyczał się widzieć w każdym wydarzeniu nawiązanie do prawa swoich ojców, fragment zaprojektowanej wcześniej mozaiki. Uśmiechnął się jak jego towarzysz, gdy usłyszał krzyk Rodona, aby się od nich nie odróżnić. Domyślił się jednak od razu, że spotkanie przebiegło inaczej, niż wyobrażał to sobie Rodon. Jahwe karze pychę.

Dumny ze swej sekretnej wiedzy, Ruben uważał się za narzędzie, którym posługiwał się jego bóg, aby zaprowadzić sprawiedliwość na statku. Lania jawiła mu się jako ofiara przerażających ją sił i swojej lojalności wobec króla, której Ruben nie chciał oceniać. W każdym razie piękniejszej od pożądania Rodona. Wszyscy na tym statku działali pod wpływem namiętności, czy to żądzy pieniądza, czy to miłości, strachu przed Rzymianami lub tęsknoty za domem. Ale wśród tych wszystkich emocji można było rozróżnić bardziej i mniej szlachetne, takie jak te, które kierowały Rodonem i jego współnikami zdrajcami. Dzień później, kiedy zapanowało zamieszanie wywołane odkryciem, iż zniknął Rodon, Ruben nie wyjawiał Lanii, że to on ją uratował. Niewolnicy, którzy wiedzieli o miłosnym spotkaniu, nie otworzyli ust, nie wiedząc, kogo oskarżać, gdyż wcześniej od samego zaginionego otrzymali rozkaz, aby nie mówić o schadzce Arecie, który teraz ich przesłuchiwał. I mimo iż po śmierci Rodona nie musieliby już zachowywać milczenia, Ruben zdołał ich przekonać, żeby nie mieszały się w brudne sprawy dotyczące tylko ich panów, niemające nic wspólnego z niewolnikami pochodzącymi z tylu różnych krain.

Po raz pierwszy wysłuchali go, nie wyśmiewając jego słów, czując, że odzwierciedlają w pewnym stopniu ich wielkie cierpienie. Dlatego w czasie przesłuchania niewolnicy patrzyli na Aretę ze spokojem nigdy wcześniej nieodczuwanym w podobnych okolicznościach.

Areta, nabatejski żołnierz, stał się jedynym przywódcą na statku – jedynym, któremu Oktawian, zwycięzca spod Akcjum, zawdzięczał swoje bezpieczeństwo. I w dodatku miał wobec niego dług za pochwylenie jedynego Egipcjanina mogącego sprowadzić na niego koszmarny sen. W swej próżnej zarozumiałości dworzanina i generała służącego tyranowi, po usłyszeniu wieści o zniknięciu Rodona, Areta zaczął marzyć o honorach i zaszczytach, jakie otwierała przed nim jego nowa pozycja hegemon na statku. Widział się już dowódcą wojsk całego Egiptu, który miał się stać częścią prywatnych włości Oktawiana – o czym dowiedział się od rzymskich posłańców w Abu Simbel.

Stać się nowym Pompejuszem, nowym Markiem Antoniuszem... Teraz będzie mógł pokazać światu, jak wspaniałym generałem jest Areta, syn Mardiana, kupiec z nabatejskiej Petry, który uwolnił młodego władcę Rzymu od jego ostatniego wroga. Ten statek-więzienie zdejmie z Arety ciężar poniżającej go egzystencji bezsensownego sługi między larwami władców, knującymi intrygi eunuchami, niewolnikami nieznanymi swego miejsca, astronomami, którzy umieli odczytać sekrety gwiazd, ale nie potrafili zadbać o siebie samych i o swoją przyszłość.

Nie wiedział, co naprawdę stało się z Rodonem. Intuicja podpowiadała mu, że jego zgubą nie było szaleństwo Teodota, nienasycony demon władzy, ale inny obłęd, który tylko kobiety potrafiły rozniecić w męskich żyłach. On także znał tego demona, wiedział, jak trudno stawić czoło jego potędze. Zauważył tysiąc niuansów w zachowaniu Lanii i Rodona, gdy byli razem: podejrzewał, że tej nocy musiało zajść coś między tymi dwojgiem i że śmierć przyszła do Rodona razem z tak długo wyczekiwaną rozkoszą.

Ale jaki sens miało teraz prowadzenie śledztwa i przesłuchiwanie ludzi, prowadzące do niebezpiecznej konkluzji, że egipskim niewolnikom łatwo jest zabijać swoich panów. W innej sytuacji nie zawahałby się kazać tej dziwce Lanii zapłacić za jej czyn najokropniejszą śmiercią, zarezerwowaną w Egipcie dla niewolników, którzy ośmielili się podnieść morderczą dłoń na swoich panów. Teraz jednak, będąc o krok od otrzymania zapłaty, tak blisko od chwili, gdy zbierze plon swoich trudów, co go to obchodziło? Na dobrą sprawę ta zbrodnia otworzyła mu drogę do triumfu. Areta nie czuł się więc w obowiązku podejmować jakiegokolwiek decyzji tego ranka, gdy otrzymał grobową wiadomość. Obojętnie wysłuchał krótkiego sprawozdania Rubena, który doniósł mu o tym, co się stało, a następnie pozostałych niewolników Rodona, przestraszonych i trochę otępiąłych.

Lania, zamknięta w swoim strachu i pogodzona już z losem, snując najczarniejsze przewidywania, spędziła ten dzień chora i rozgorączkowana. Była tak słaba, że nie podniosła się z legowiska nawet na godzinną przechadzkę po pokładzie, w oczekiwaniu na Aretę, który obwieści jej karę przewidzianą dla zdradzieckich niewolników. Nikt jednak się nie zjawił, z wyjątkiem Rubena, który przyniósł jej miskę rosołu skradzionego z jadalni, gdzie przedtem, posilali się trzej dworzanie, a teraz już tylko jeden.

– Rodon już go nie będzie potrzebował, napij się, Lanio, to cię wzmocni. I nie upadaj na duchu. Nic złego cię nie spotka – powiedział jej z czułym uśmiechem. Ona wypiła i wkrótce zasnęła, mając przed oczami uśmiech tego niewolnika, tajemniczego niczym jakieś bóstwo.

Areta zjadł tego dnia sam przy długim stole, gdzie na początku podróży król zasiadał w otoczeniu innych wygnańców: Rodona, Teodota, Lanii, Sosigenesa, Omfalusa, Narcyza, Porusa i jego samego.

Teraz ten długi blat z hebanu zdawał się nie mieć końca, a niewolnicy, zanim podali mu potrawy, musieli przebiegać połowę pomostu. Ich szybkie kroki przywoływały w pamięci Arety wspomnienie nieobecnych. Półmiski i szkła kielichów brzęczały i zdawały się odtwarzać gwar głosów, śmiechów i szeptów tych wszystkich zmarłych i uwięzionych. A on, jedyny jeszcze żywy i wolny, wciąż żeglował po Nilu. Nie muskał go nawet cień lęku, że mógłby dołączyć do tej listy, choć zważywszy na to, że podróż jeszcze się nie skończyła, los mógł przecież zawziąć się i na niego. Cezarion przebywał w głębi statku, w swoim więzieniu na rufie, od dwóch dni się nie budząc, jak donosili strażnicy. Areta nigdy nie odwiedzał syna Kleopatry. Nie chciał mącić przyjemności oczekiwania na swój triumf, którym już się delectował, patrząc na tego pokonanego chłopca. Młodość króla stanowiła zbyt bolesny i nienaturalny kontrast z równoczesną jego klęską. Starzy królowie mogli upadać niczym dojrzały owoc. Ale nie ci, którzy dopiero zaczynali życie. Przynajmniej w jego Petrze zawsze tak było.

On w wieku czterdziestu lat był w pełni sił, wolny od lęku, który nękał starego Rodona, że nie uda mu się zagarnąć nagrody. Potrafił nawet żartować z własnej męskości, pochlebając eunuchowi swoimi umizgami, czuł się silny, gdyż trzymał w ręku atut – czas, który otaczał jego śniadą twarz naturalną aureolą zwycięstwa. Dlatego też nie chciał widzieć wynaturzenia, jakim był dla niego dwudziestoletni mężczyzna bez cienia przyszłości. Niech tam sobie śpi w swojej celi, ten nieszczęśnik, niech przyzwyczajają oczy do ciemności, gdzie wkrótce dołączy do matki...

Opróżniając kolejny kielich cypryjskiego wina, Areta znowu widział przed sobą zamglonymi oczyma najpotężniejszą i najbardziej fascynującą kobietę w Egipcie. Pewnego ranka, wiele lat wcześniej, pochylała się, aby pogłaskać dziecko ogłoszone „królem królów”, po czym wzięła je w ramiona i pokazała tłumom zgromadzonym w gimnazjonie. Stojący na uboczu Antoniusz uśmiechał się, trzymając za ręce Kleopatę Selene i Antyllusa.

Stojąc kilka kroków za królową, młody strażnik Areta śledził spojrzeniem grę wiatru na szatach spowijających tę kobietę bez wieku, której ruchy zdawały się zaproszeniem do odgadnięcia jej ukrytych kształtów. I przypominał sobie jeszcze zazdrość, jaką czuł wobec Rzymianina, który wieczorem uwolnił to ciało od zwojów materiału, udreki zakazanego pożądania.

Tego popołudnia, podczas którego Areta upijał się z wolna, Porus i Sosigenes rozmawiali z sobą zniżonym głosem, jak gdyby nie chcieli być usłyszani nawet przez swoich towarzyszy.

Obaj nie mieli wątpliwości: w lampce ich życia nie było już oleju i Parki szybko zbliżały się do statku. Astronom na swój sposób, eunuch – na swój, obaj wiedzieli, że ich ziemską przygodę dobiega końca.

Sosigenes nie wytrzymał już udręk łańcucha i klimatu. Półżywy od ukąszeń insektów, wyglądał jak szkielet pokryty spuchniętym płaszczem ciała. Natura doszła do głosu i przypomniała mu o jego osiemdziesięciu latach: służył trzem Ptolemeuszom, Juliuszowi Cezarowi, Kleopatrze i Antoniuszowi, na koniec uciekającemu Cezarionowi. Demon wierności został więc zaspokojony. Porusa zaś pożerała wizja tego, co działo się poza ścianami celi, w której gnął z Omfalusem i Narcyzem. Jego umysł pogrążył się w zbawczym obłędzie uwalniającym go od kontemplowania zwyrodnienia, jakim było jego życie. Odpoczywał, chwytając bliskie i dalekie sygnały zbliżającego się końca, czas rozrzedzał się i owijał wokół siebie samego niczym zmęczone, nieregularnie bijące serce, które nie musi już zasilać ciała – niczym Egipt, który oddawał się oprawcy przebranemu za wyzwoliciela.

Porus wiedział, że jego królowa odebrała sobie życie, dając się ukąsić żmii, i zepsuła tym triumf Oktawiana. Wiedział, że tchórzliwi aleksandryjczycy ofiarowali głowę Cezariona Oktawianowi, zanim jeszcze on jej zażądał. Wprawili go tym samym w zażenowanie, że musi zaakceptować tak podły dar, maskując tę nikczemność wspaniałomyślną propozycją, że zatrzyma go przy życiu jako więźnia: w ten sposób będzie się go mógł potem dyskretnie pozbyć. Wiedział, że nadchodzi czas bata nowego tyrana rządzącego niepodzielnie nad światem morza zamkniętego wokół Grecji i Rzymu, świata, który musiał się poniżyć i zagubić w wielkim cyklu narodzin i śmierci, pożerającym w swym biegu ludy i cywilizacje.

Świeciło tylko jedno światełko, pochodzące z małego kraju w pobliżu Antylibanu. Z tego miejsca, z Palestyny, zdawała się nadchodzić siła obiecująca przerwanie koła czasu. Jawiła się jednak jeszcze zbyt mgliście, by można było zrozumieć, czy odniesie zwycięstwo, czy też przemknie niczym meteor w nocy historii, na próżno rozniecając nadzieję w sercach ludzi niezdolnych wyzwolić się ze swej cielesności. Jemu w każdym razie nie będzie dane jej doczekać. Niewolnik Ruben, który uratował Lanię od śmierci, pochodził właśnie z tego kraju: być może ze wszystkich ludzi na pokładzie tylko on się tego dowie. A przecież on też zdradził swego młodego króla pod pretekstem, że służy innemu bogu niż Izyda i Ozyrys. Króla, który był teraz pogrążony w śnie swojej zemsty, wymieniwszy się z miłości z dziewczyną, przypominającą go jak dwie krople wody z Nilu. Króla śpiącego w swoim zastępcy – podczas gdy przekleństwo jego pierścienia działało na ludzi i rzeczy – i kto wie, gdzie się teraz znajdującego, w drodze do bezpieczeństwa, do królestwa Etiopii omiatanego wiatrem. Był już na zboczach jego wyniosłych gór, gdzie będzie się mógł zaokrętować do Indii, krainy, którą Porus opisywał mu zawsze w tak egzotyczny sposób, aby ukryć szloch rodzący się w gardle... Teraz tak, teraz któryś z nich dotknie tego słowa, Indie, zmieniając je w ogród, gdzie można żyć z dala od żądz krwi zatrującej Egipt.

Ileż czasu potrzebowały rozkładające się królestwa, aby zniknąć z powierzchni ziemi! Kolosy Abu Simbel, korodowane przez pustynię, zaczynały się rozsypywać, i posągi Ramzesa i Nefertiti zdawały się skazane na zagładę. Egipt, kraj sztuki konserwowania zmarłych, zasłużył sobie na koniec, w którym się balsamował, aby odpocząć. Potem przyjdzie kolej na Rzymian.

– Na czym polegała reforma czasu, którą przeprowadziłeś razem z Cezarem, Sosigenesie? – spytał Porus starego astronoma, podtrzymując go na pokładzie, tego samego wieczoru, kiedy odkryto ciało Rodona. – Na co się przydała? Mielicie znaleźć formułę, aby zgasić czas, nie aby go ożywić. Nie znajdowałibyśmy się wtedy tutaj, wlokąc się na tym statku zdrajców, w tym stuleciu błota. Znasz mądrość greckiej wyroczni: najlepszą rzeczą dla człowieka jest nigdy się nie urodzić.

– Może w twoim kraju istnieje takie zaklęcie? Czy można znaleźć w Indiach siłę zdolną zniszczyć władzę i rozwiązać kształty, wieki, kosmos i siebie samą?

– Tak! W mojej krainie prawdziwą siłą jest żyć bez samego siebie, bez działania, bez imienia... Trzeba być jednak człowiekiem, który zapładnia się sam, i przestać kochać... pewnego dnia przyjdzie nas uwolnić jajo śmierci.

– Juliusz Cezar zapytał mnie kiedyś, na tej samej rzece, czy widzę upadek jego imperium. Odpowiedziałem, że nic nim nie wstrząśnie. Być może to jajo śmierci, o którym dzisiaj roisz... Być może wyzbycie się pożądanego jakiegokolwiek imperium pod słońcem...

– Tymczasem nadeszła nasza godzina, Sosigenesie, popatrz na tamten statek... Dwa już spotkaliśmy, pierwszy sprawił tylko, że zwolniliśmy, aby spotkać ten drugi, pełen rzymskich żołnierzy. Ale to na ten czekaliśmy, ten poprzedni przybył tylko dla króla, nie dla nas. Tamten przynosił życie, ten śmierć. Popatrz na Aretę, jak przygotowuje się do przyjęcia posłańca Cezara: założył najpiękniejszy pancerz, koronę lagidyjskiego stratega, poleruje nagolenniki, przygotowuje cenne kielichy, by wypić za zdrowie Rzymu, i w swej próżności nie zdaje sobie sprawy z końca, który go oczekuje, tak jak nas... Spójrz, jaki jest ślepy!

Rzymska liburna jest już tak blisko, że można by odróżnić ludzi z załogi, gdyby wyszli na pokład, zamiast kryć się pod nim. Sosigenesowi to wielkie milczenie statku, zacumowanego już burta w burtę obok nich, przypomina milczące pojawienie się przed Trojanami drewnianego konia, niosącego w brzuchu śmierć, tak jak ta szara liburna. A Agryppa, nieznajomy, który uśmiecha się do nich, stojąc samotnie na rufie, zdaje się Sosigenesowi Sinonem, fałszywym przyjacielem Trojan.

OKTAWIAN W POKOJACH CEZARIONA

W Aleksandrii Oktawian Cezar krążył bezsennie po labiryncie pałacu Kleopatry, kilka nocy wcześniej, zanim Teodot uspokoił zamęt w swoich oczach, rzucając się do Nilu. Minęło już kilka godzin, odkąd wrócił z mauzoleum, gdzie zobaczył zwłoki Kleopatry.

Wymknęła mu się najcenniejsza ozdoba jego triumfu, choć zawsze przeczuwał, że ta kobieta przechytry go w ostatniej chwili. Kiedy był dzieckiem, jego matka, Atia, prowadziła go pewnego razu w odwiedzinach do ciotecznego dziadka na Kapitol. Pamiętał, że powiedziała mu wtedy, iż muszą na niego poczekać, ponieważ znajduje się „u Egipcjanki, za Tybrem”. I pogardliwy grymas na matczynych ustach sprawił, że powziął instynktowną niechęć do tej, którą los miał mu postawić na drodze jako największą nieprzyjaciółkę.

Krążył tej nocy bez celu po opustoszałym pałacu w towarzystwie Agryppy, zafascynowany ciepłym jeszcze śladem obecności poprzednich mieszkańców. Ile razy Liwia w ich domu na Palatynie zastanawiała się z ciekawością, jak wygląda siedziba Kleopatry! Jakże obszerny był ten pałac i jak odmienny od rzymskich gustów! Zbyt wiele złota, wodotrysków i wiszących ogrodów, zbyt wiele bezużytecznych przestrzeni bez okien i kolumn niepodtrzymujących żadnego łuku. Gdzie siadywali, gdzie jedli, gdzie się kochali ci aleksandryjscy królowie? Wszystko było tak niewygodne i pełne niepotrzebnego przepychu. Liwia byłaby rozczarowana.

Przemierzywszy długi korytarz z ośmioma sadzawkami rybnymi, wysadzanymi lapis-lazuli i złotem – w jednej z nich kołysała się nawet cała egipska flota w miniaturze, pokonana przez niego pod Akcjum – Oktawian postanowił przejść przez drzwi zwieńczone nad łukiem grecką literą K. Gdy tylko przekroczył próg, zorientował się, że znalazł się w mniej wystawnych apartamentach, przypominających wystrojem greckie wnętrza: stele z marmuru z Paros, czarno-czerwone wazy, brązy naśladujące Lizypa i posąg Afrodyty ozdabiały nisze dookoła małego ogrodu.

Zaskoczył go bardzo wierny portret Juliusza Cezara naturalnej wielkości, ustawiony na ołtarzu Fortuny Cezara. Złocista litera K musiała zatem oznaczać Cezariona, który mieszkał w tych pokojach wśród wspomnień, mających mu przypominać, czyim jest dziedzicem.

Na wykładanym masą perłową stoliku leżały jeszcze papirusy z dziełem Hekatajosa *Obejście świata* i mowami Lizjasza. Chłopiec był wykształcony, o czym poinformowano już Oktawiana. Na innym stole znajdował się rozłożony projekt teatru dla miasta Bubastis, na próżno oczekujący na aprobatę młodego „króla królów”. Były nawet miski z terakoty z wyschniętą karmą dla domowego zwierzęcia, zapewne kota, i to poustawiane w różnych pokojach: najwyraźniej bardzo kochał tego zwierzaka. Lepiej, że nie było tu widać kotów, Oktawian ich nie znosił. Na kunsztownej półce na ścianie mieściła się cała kolekcja glinianych figurek, w kształcie przekupek, tancerek, sprzedawczyń ryb, menad, amazonek. Poglaskał wszystkie po kolei, przesuując po zakurzonej powierzchni palcami o wykręconych artretyzmem knykciach... Liwii spodobałyby się bardzo te posążki, kolekcjonowała je od lat, ale te były piękniejsze. Wyrafinowanie aleksandryjskich rzemieślników nie ma sobie równych.

Usiadł na brzegu łóżka w najprzytulniejszym pokoju. Za oknem wychodzącym na mały ogród widniało rozgwieżdżone, bezchmurne niebo, w typowym dla Afryki kolorze ciemnego turkus. Nad całą ziemią jest to samo niebo, ale nigdy nie jawi się tak samo oczom ludzi – tak powiedział mu kiedyś jego ojciec, który zabrał go z sobą do Hiszpanii, gdy Oktawian był jeszcze dzieckiem. Ileż razy, przemieszczając się nieustannie z jednej części rzymskich włości do drugiej, przypominało mu się to zdanie, wtedy niejasne.

Wypróbował miękkość egipskiego łoża, wyciągając się na rozrzuconych przykryciach. Być może także sen w tej krainie był bardziej ponury, tak jak nocne niebo. Można było jeszcze odgadnąć odcisk ciała na pościeli, której nikt nie poskładał. Oktawian popatrzył w górę, podczas gdy Agryppa nadchodził z ogrodu swym kulejącym krokiem: sufit ozdabiał przepiękny okrągły ornament z białego i zielonego marmuru. W kącie, wśród szaf z papirusami i pergaminami, stał model statku z kości słoniowej, może nawet tego, na którym Kleopatra żeglowała w górę Nilu z ojcem Cezariona.

Oktawian zbladł i zacisnął usta.

Także teraz po Nilu płynął statek, ale w drugą stronę, odwożąc do Aleksandrii wroga Oktawiana, uwięzionego przez trzech dworzan.

– Jak myślisz, Agryppo, czy statek wiozący do Aleksandrii syna Kleopatry jest już blisko?

– Na pewno, ale lepiej, żeby nie dopływał na wysokość miasta. Byłoby to niebezpieczne, Egipcjanie nie są zdolni do zachowania logiki nawet w zdradzie. A już aleksandryjczycy są szczególnie dwulicowi: jak pamiętasz, wydali wojnę Cezarowi w pałacu Kleopatry. Byłem jednym z żołnierzy twego wuja i wiem, że nigdy nie można ufać tym ludziom.

– Ale jak wygląda z twarzy? Naprawdę tak go przypomina? Czy to tylko złośliwe pogłoski rozpuszczane przez przyjaciół Antoniusza? Ty widziałeś go z matką, jak wyglądał?

Agryppa dostrzegł pionową zmarszczkę pojawiającą się u nasady nosa Oktawiana, zapowiedź nerwowej reakcji tego mężczyzny, zwykle tak umiejętnie kontrolującego i ukrywającego własne myśli.

– Był zbyt mały, nie jest łatwo przyjrzeć się twarzy ukrytej pod śmieszną mitrą. Biedne dziecko zniknęło pod insygniami władzy, które na nie włożono.

– A teraz, gdy dorósł, zniknie z naszego wieku.

Oktawian podniósł się z łoża Cezariona i od kilku minut bawił się kośćmi leżącymi na pobliskim stoliku razem z parą nieskazitelnie białych rękawiczek przeznaczonych na smukłe dłonie o długich palcach. Naciągnął jedną z nich ostrożnym gestem, jak gdyby jego ręka obawiała się jakiegos podstępu w tej tkaninie, w Rzymie nigdy niespotkanej. Do czego mogły służyć te rękawiczki? Pasowały na Oktawiana idealnie. Ściągnął je gwałtownie, jak gdyby ukłuty kolcem. Czy były przeznaczone do ceremonii religijnych, całowania ręki przez poddanych, przeglądania zakurzonych papirusów, ściągania cugli koniowi dzikszemu niż rumak Aleksandra? – zadawał sobie pytania, rzucając kości na stół. Odwrócił się do Agryppy:

– Kto wie...? Pamiętasz wiersz Asklepiadesa z Samos? „Nie mam jeszcze dwudziestu dwóch lat / i zmęczyłem się życiem”. Potem poeta mówi o tych kościach: „Och, miłości moje / czym jest ta udreka?

Dlaczego? / palicie mnie? A jeśli śmierć mnie przesyje, / Miłości moje, co zrobicie? No cóż! Jak wcześniej / będziecie grać, żartując, w kości...”. Ile dokładnie lat ma Cezarion?

– Musiał skończyć osiemnaście.

– Wątpię wobec tego, czy poznał taką miłość, jaka przyprawiała o cierpienia Asklepiadesa...

I podczas gdy Oktawian krążył po komnacie z uśmiechem wykrzywiającym mu wąskie usta, podniósłszy głowę, zobaczył swoje odbicie w wielkim zwierciadle naprzeciw łoża. Kto wie, ile razy dziedzic Cezara widział w nim własne oblicze, myśląc o tym, który miał go wygnać ze wszystkich zwierciadeł na ziemi. To lustro czekało na Cezariona na próżno.

Odwracając się gwałtownym ruchem w stronę Agryppy, potrącił łokciem jedną z największych figurek. Herkules z maczugą, odpoczywający koło źródła. Cenna terakota rozbiła się na kawałki. Oktawian pochylił się z rozczarowaniem, żeby podnieść nieuszkodzoną głowę syna Jowisza. Akurat ten najcenniejszy posążek, jedyna męska figurka w całej kolekcji, która na pewno najbardziej spodobałaby się Liwii. Szkoda.

– Agryppo, dlaczego pozwoliłeś mi tutaj wejść? – Oktawian nie miał odwagi powiedzieć na głos, że Cezarion zaczął budzić w nim sympatię, bo wszystko w tym apartamencie mu się podobało. Mógł się tylko bronić przed swoim odczuciem, wbijając wzrok w to samo zwierciadło, w którym przeglądał się Cezarion. – Ty jesteś dobrym żołnierzem, najlepszym w Rzymie, nie przypominasz swojego przyjaciela, który chowa wiersze w szufladach... Jesteś prostym człowiekiem, jak mój ojciec. Wiesz, Agryppo, gdyby wuj mnie nie zaadoptował, studiowałbym retorykę. To lepsze niż teatr, nie sprawdziłbym się jako aktor. Powiedz mi prawdę: znałeś te wersy o kościach? – i znowu dłoń Oktawiana zaczęła bawić się kośćmi, po odłożeniu na bok kawałka rozbitej figurki.

– Nie, Cezarze, wiesz dobrze, że nie wiedziałem nawet, kim jest Asklepiades z Samos – uśmiechnął się Agryppa, chętnie podkreślając niedostatki własnej kultury, zadowolony, że jego wielki przyjaciel trochę się rozchmurzył.

– Tak też myślałem, lecz chciałem je zacytować w tej komnacie... Ale na razie dość z poezją. Wróćmy do nas, do interesów Rzymu. Radzisz, by wyeliminować Cezariona jeszcze na statku, zanim tu przybędzie. Oktawian przychyła się do twojej rady. Nie po to przelaliśmy tyle krwi, pokonując Antoniusza, byśmy teraz musieli znowu walczyć.

– Wobec tego wyślę statek, aby wykonano twój rozkaz. Wyjedź z Aleksandrii, gdzie twoja obecność nie jest już niezbędna. Lepiej będzie, żebyś był daleko, gdy to się zdarzy.

– Jest jeszcze coś, Agryppo... – skandując powoli słowa, nowy Cezar patrzył na naturalnej wielkości portret starego, ustawiony na ołtarzu Fortuny. –

Jesteś dobrym żołnierzem i przyjacielem, ale ja stałem się już Cezarem i muszę dla dobra Rzymu żyć w spokoju ducha: lepiej, żeby nie ostał się nikt, kto znajduje się na pokładzie tego statku.

– Nawet ci, którzy pomogli nam schwytać Cezariona?

– Przede wszystkim oni. Niestety, to konieczne. Teraz idź i donieś mi, kiedy wszystko będzie skończone. Ja wyjadę natychmiast do Rzymu, gdzie będę czekać na wieści od ciebie – i przed wyjściem z komnaty Cezariona Oktawian Cezar schylił się, aby pozbierać skorupy małego Herkulesa z Tanagry. Przyjrzał się im, obserwując kontrast między zewnętrznymi kolorami a czerwieńią terakoty, i stwierdził, że są tylko cztery, wszystkie dokładnie do siebie pasujące: być może będzie można skleić tego syna Jowisza i zawieźć go Liwii. Włożył kawałki do kieszeni togi, po czym wyszedł z Agryppą w głęboką ciemność nocy, odnajdując od razu właściwą drogę, jak gdyby znał dom Cezariona od zawsze.

Miał dar orientowania się wszędzie, jak gdyby cały świat był jego domem. I nie przstraszyło go natknięcie się w jednym z ogrodów na uspiętego słonia Cezariona, zagradzającego mu drogę na alei opuszczonej przez służbę, która rozwiła się przed jego przybyciem niczym sen.

UCIECZKA CEZARIONA

Kilka dni po nocy, w czasie której Cezarion znalazł się w ramionach Ezry, statek wiozący go do Etiopii dotarł do ostatniej katarakty na Nilu, gdzie była jeszcze możliwa żegluga. Od tego miejsca trzeba było podążyć pieszo, posuwając się wzdłuż Nilu Błękitnego, który zataczał szeroki łuk w stronę płaskowyżu etiopskiego. Oczekiwała ich karawana słoni.

Cezarion był już zupełnie omotany przez tę chorą kobietę. Każdej nocy, zanim statek dotarł do wodospadów, Ezra wsuwała się do jego kwatery z tacami jedzenia i kielichami wina, po czym wyciągała się obok niego bez słowa. Pewna siebie i rozgorączkowana, zaczynała się rozbierać, zawsze powtarzając ten sam rytuał. On, pokonany i pochłonięty przez tę zmysłowość, świadom, że nie będzie mógł przeżyć bez jej pomocy, nie stawiał oporu. Wiedział, że wkrótce się od niej uwolni. Ezra nie będzie mogła do niego dołączyć pod baldachimem na grzbiecie słonia, a on przy pierwszej okazji spróbuje ucieczki.

Pewnego dnia Ezra dała mu jednak do zrozumienia, że dobrze wie, jakie są jego intencje:

– Jeśli sądzisz, że uda ci się ulotnić, kiedy wysiądziemy na ląd, jesteś w błędzie. Nie myśl nawet o ucieczce, jeśli nie chcesz zdradzić, kim jesteś. Pamiętaj, że cieszę się szacunkiem u Etiopów, beze mnie nie zdołasz ruszyć się nawet na krok. Nie dasz sobie rady, bo znasz tylko trochę ich język, od razu słysząc, że jesteś Egipcjaninem.

– A twoja córka? Jest w niebezpieczeństwie i muszę do niej dołączyć. Jeśli nie chcesz mi pomóc, pomyśl chociaż o Afrze.

Nie miał odwagi dodać innych argumentów. Zanadto gnębiły go wyrzuty sumienia z powodu tego, na co przyzwolił. Ezra zaś, gdy usłyszała imię córki, wybuchnęła potokiem nieskładnych słów, po części greckich, po części etiopskich, z których Cezarion zdołał zrozumieć tylko kilka zdań. Wydawało mu się, że Ezra nie rozmawia już z nim, ale z jakimś upiorem, na którego opętana kobieta wypluwa oskarżenia i obelgi zagrzebane w jej tajemniczej przeszłości: wyrzuty, że ją odtrącił, stale zdradzał i dał jej córkę tylko po to, aby ją oddalić, przeplatały się z pieszczotami i przyrzeczeniami, że nigdy więcej się z nim nie rozdzieli. W swoim szaleństwie Ezra myliła pragnienia i rzeczywistość, popadając w obłęd podsycany przez Erosa – obłęd, który sprawiał, że widziała w Cezarionie czasami upragnionego syna, a czasami utraconego męża.

Jak długo będzie trwała jego podróż w szponach tej kobiety? Nie miał pojęcia, co się naprawdę działo między innymi uczestnikami tej zdradzonej misji. Zważywszy na postępujące pomieszanie zmysłów Ezry, Cezarion nie mógł już liczyć na jej pomoc. Zaczął podejrzewać, że etiopska załoga wiedziała, że kobieta jest nie zrównoważona, i czekała tylko, aby zabić ich oboje.

W dzień przesiadki ze statku na słońca Cezarion opuścił wreszcie kajutę, w której zaznał tyle szczęścia i tyle upokorzenia. Zanim wyszedł, odziany w długą szatę, z ciężkim diademem z pereł na głowie, odwrócił się powoli, by jeszcze raz popatrzeć na poduszki, stół, lampkę, złote zwierciadło, szkatułki z rzeczami Afry. Ujrzał ją znowu, niepewną w ciemnościach, jak zwraca ku niemu głowę, gdy tylko wszedł tamtego dnia, nie mając już wątpliwości co do tego, kim jest. Stracił to wszystko, co zyskał owej nocy. Trzeba było odejść. Kiedyś Afra zrozumie i nie potępi swego Cezariona, omotanego przez jej nieszczęśliwą matkę.

Z trudem rozpoznawał w Ezrze tę samą osobę, którą ujrzał obok Afry, tak chętną do pomocy, tak dodającą otuchy dwojgu nieszczęśnikom, którzy zawierzyli jej matczynej opiekuńczości. Być może jednak, gdyby nie była tak zmienna, nie przystałaby na szalony plan dwojga młodych, niemających innego wyjścia.

Cezarion zdawał sobie sprawę, że wymyślił plan ucieczki w chwili ostatecznej rozpacz: nikt nie uwierzyłby, że to, czego postanowili spróbować z Afrą, może się udać. Tylko ich wielka, zrodzona nagle namiętność i nieuniknioność ciężącej nad nimi śmierci mogła zrodzić tę absurdalną ideę. Przez chwilę Cezarion myślał nawet, że Ezra świadomie udała chęć pomocy, żeby zastąpić córkę kochankiem. Nie sposób było się zorientować, gdzie przebiega granica między szaleństwem a rozmyślnym działaniem tej kobiety.

Kiedy Cezarion, fałszywy uwięziony król etiopski, przemaszerował między dwoma rzędami żołnierzy, dworzan i niewolników, aby wejść na wzgórze, gdzie czekały słoń, wielbłądy i wozy orszaku, zachował się z wielką naturalnością, mimo iż oszołomiło go światło, niewidziane od tyłu dni. U jego boku, ponura i owinięta ciemnym płaszczem, szła w milczeniu Ezra. On jednak nawet jej nie dostrzegał. Tak rozkosznie było teraz oddychać świeżym powietrzem dnia, wreszcie dotykać stopami ziemi, choćby przyszło mu na niej umrzeć! Nie mógł już znieść kołysania pokładu statku, zawsze chwiejnego, jak gdyby oddalał go od ziemi, jak gdyby życie Cezariona było niepewne jak sen... Nie bał się słońca: Kleopatra sprowadziła mu jednego do ogrodów królewskich, żeby przyzwyczaiał się do myśli o jeźdźeniu na nim, jak czynili wszyscy aleksandryjscy władcy.

Gdy już wdrapał się na wysoki grzbiet, chwiejny krok majestatycznego zwierzęcia znowu odebrał mu ciepłe bezpieczeństwo stąpania po twardej ziemi, wrzucając go w prowizoryczny wymiar podróży. Ale po kilku godzinach przyjemności oka stały się wynagrodzeniem za to, co utraciły stopy po krótkiej przechadzce ze statku do palankinu. W oddali, w dolinie, Nil zniknął z widoku, by potem pojawić się znowu na zakręcie stromej drogi. Nie była to już królewska rzeka Egiptu, bóg Nil, dusza królestwa tak obszerna, że mogła pomieścić całą flotę między jednym brzegiem a drugim. Była to górską rzeką, gwałtowny gigant, nieznający umiaru ani chwil odpoczynku. Już nie prawdziwy Nil, a rzeka podobna do wielu innych w wewnętrznej, najdzikszej Afryce. Ten regres łączył się z utratą bezpieczeństwa: od czasu do czasu pojawiała się zacząjona w zaroślach czarna głowa, świadek plemienia śledzącego podróż orszaku. Cezarion nie umiał oprzeć się melancholii, tracąc ostatni dotykany kontakt ze swoją ziemią. Tam, w Dolnym Egipcie, docierała już do celu, a może dotarła, Afra – król więzień, mający wkrótce zgotować szyderczą niespodziankę Oktawianowi Cezarowi. Kto wie, czy nic nie zakłóciło podróży po wybuchu buntu, czy Lania zauważyła zamianę, czy przeszkodzili jej, jak miał nadzieję Cezarion, w zbliżeniu się do króla po jej uwięzieniu, które z pewnością nastąpiło. Najtrudniejszą próbą do pokonania było w istocie spojrzenie Lanii, jej oczy nie dadzą się łatwo oszukać.

Ile razy wyobrażał sobie Afrę, jak dotyka jego rzeczy, zadowolona, że jest sama w kajucie, bo może dzięki temu odkrywać przyzwyczajenia, upodobania, najbardziej intymne aspekty osobowości Cezariona. Tak samo jak on to robił przez wiele dni, dopóki ta megiera nie wciągnęła go w wir żądy, wykorzystując jego słabość. Starał się wówczas nie pamiętać o tym, że Ezra była Egipcjanką, jak gdyby ten fakt w jakiś sposób zagrażał Afrze. Pochodzenie Ezry, tajemnica jej narodzin, kryły w sobie jakąś złowieszczą spuściznę, której nie chciał świadomie roztrząsać. Dość już niepokojąca była sama kobieta, tak jeszcze piękna: lepiej było nie dociekać sekretu miejsca, nasienia i czasu jej narodzin.

A jeśli w czasie żeglugi do Aleksandrii pseudo-Cezarionowi przydarzyła się taka sama przygoda jak jemu samemu? Jeśli Afrze został zadany gwałt przez Rodona, Teodota lub Aretę? Cezarion zaciskał pięści i wrząca wściekłość zaciemniała mu oczy. Dobrze, że nikt nie mógł dostrzec jego spojrzenia, gdy siedział wysoko na słońcu. Rodon pokładający się z Afrą po odkryciu, że więzień jest w rzeczywistości piękną dziewczyną... Potworne, ale prawdopodobne! Z trzech spiskowców wydawał się najbardziej zmysłowy.

Areta także wyglądał na niebezpiecznego: zawsze tak skoncentrowany na sobie, tak próżny i poszukujący wszędzie sposobów, by się wybić. Jak typowy Nabatejczyk z Petry, gotów na tysiąc oszustw i kompromisów, aby tylko się wzbogacić i przyciągnąć uwagę innych. Być może Arecie przyszło do głowy, żeby wykorzystać Afrę w zamian za pomoc w zachowaniu jej sekretu, albo nawet zakochał się w niej – był najmłodszy z trójki i dość przystojny.

A jeśli to Teodot? Ależ nie, Teodot nawet nie dostrzega kobiet. Ale zaraz... królowe jednak zauważa, pożera je oczami! One są narzędziami władzy, będącej dla niego największym szczęściem.

I tak od podejrzenia do podejrzenia, od hipotezy do hipotezy, od tortury do tortury mijały Cezarionowi pierwsze dni podróży wiodącej w głąb płaskowyżu, w stronę kraju Afry.

W miarę jak podążali coraz dalej, widzieli tereny, które musiały być areną straszliwych walk. Nieliczne wioski były spalone i splądrowane, nieomylny ślad pozostawiony przez wojnę. Cezarion dowiedział się od Ezry, że najeźdźca zajął już większą część Etiopii, dotarł do Nubii i zagrażał stamtąd Egipcjom. Mieli szczęście, że nie natknęli się dotąd na nieprzyjaciela.

Obraz zniszczeń był przerażający: zdeptane i ogołoczone z plonów pola, zabite zwierzęta, ludność, która nie została wzięta do niewoli, pozostawiona na pewną śmierć z głodu w tych zgłiszczach. Wychudzone dzieci tłoczyły się wokół orszaku, błagając rozpaczliwie o coś do jedzenia pomiędzy ściertwami zwierząt, rozkładającymi się trupami, w smrodzie gnijącego mięsa i spalonego drewna.

– Dlaczego porzucają zmarłych w taki sposób? Czemu ich nie chowają? – zapytał Cezarion Ezrę.

– Mój lud w tym regionie pozwala, żeby sępy i kruki oczyściły teren.

Była to jedna z rzadkich okazji, kiedy ich rozmowa wykroczyła poza sztywne konwencje: konwersacje po grecku, z nielicznymi słowami wtrącanymi po etiopsku, były obliczone na uszy ministrów i żołnierzy, obracały się wokół banalnych codziennych tematów: pogody, zmęczenia, zdrowia. Pozwalało to jednak Cezarionowi uwolnić się od zakusów Ezry. Od kiedy nie chroniły jej ściany kajuty, kobieta, wystawiona na ludzkie spojrzenia, musiała zachowywać się ostrożniej.

Pewnej nocy, podczas gdy wszyscy spali, Cezarion zbudził się nagle w jednym z namiotów stawianych na czas nocnego spoczynku. Podszedł do wyjścia, przed którym stały strażę, przyciągnięty wielkim milczeniem ciemności, ledwie naruszonym przez żałobne wycie hien. Na próżno szukał księżyca. Potem przypomniał sobie, że to musi być nów, bo kilka nocy wcześniej zauważył cienki sierp księżyca zwrócony na wschód. Aż do szpiku kości przenikała go ta niegościnna samotność, zwierciadło jego smutku. Mdlący odór zasmucał jego umysł obrazami, których oszczędzała mu ciemność. Czuł pilniejszą niż kiedykolwiek konieczność ucieczki z tego kraju, uwolnienia się za wszelką cenę od tego żałobnego orszaku. Zauważył, że dwaj strażnicy kołysali się, wsparci na dzidach, chrapiąc. Zrobiło mu się ich żal, ale pomyślał też, że jeśli dyskretnie ich zbudzi, zanim nadejdzie zmiana warty, oszczędzając im w ten sposób pewnej śmierci za zaniedbanie obowiązków, może tylko na tym zyskać. Nie mógł skorzystać z ich snu, aby uciec w pojedynkę. Zbudził ich delikatnie, tak aby nikt nic nie zauważył. Strażnicy rzucili się na ziemię, by mu podziękować, płacząc z wdzięczności i ze strachu przed niebezpieczeństwem, którego uniknęli. Wydało mu się, że rozpoznaje ich w mdłym świetle: dwa oblicza, na które już wcześniej zwrócił uwagę, bo ci dwaj żołnierze traktowali go z szacunkiem, a ich spojrzenia zdradzały sympatię i współczucie. Uśmiechnął się do nich i powiedział, na ile pozwalala mu znajomość języka etiopskiego nabyta w czasie podróży statkiem, że on także oczekuje od nich pomocy. Wyjawili mu wtedy swoje imiona, jak gdyby w wyrazie wdzięczności i przyrzeczeniu pomocy. I zaraz zamilkli, dając mu znak, aby wycofał się do namiotu, bo nadeszła pora zmiany warty.

Kilka dni później, kiedy wkroczyli do słonecznego regionu Danakil, oszczędzonego przez najeźdźcę, ale nie przez suszę, jeden z tych dwóch stał na straży, gdy Cezarion wchodził samotnie do namiotu. Skorzystał z okazji, by zbliżyć się do więźnia i poprosić go, aby poczekał tej nocy, aż wszyscy zasną, i wtedy spotkał się z nimi. W zamian za to, że ich uratował, chcieli mu pomóc. Nienawidzili ministrów zdrajców i zdawali sobie sprawę z obłędu Ezry, odtraconej żony biednego króla, od której nie mogli oczekiwać żadnej pomocy.

Plan, który przedstawili mu potem dwaj żołnierze, był zuchwały, ale kuszący: za kilka dni powinni dotrzeć w pobliże naskalnej wioski, z której pochodził jeden z nich. Wcześniej oni poproszą rodzinę, aby ukryła ich cudzoziemskiego przyjaciela, który szuka sposobu dotarcia na wybrzeże morza. Trzeba będzie uciekać nocą, korzystając z wiatru. O tej porze roku wiatr był tu zawsze niezwykle gwałtowny, zrywał wszystkie konstrukcje stawiane przez ludzi, a zwłaszcza namioty, które ich dowódca upierał się stawiać, zamiast zadowolić się odpoczynkiem w górskich grotach, jak mu radzono. W istocie, o czym Cezarion miał się przekonać w naskalnej wiosce, były to jedyne bezpieczne schronienia podczas takiej pogody. Plan przewidywał, że i tym razem dowódca się nie ugnie i będą musieli postawić na noc namioty, które na pewno zostaną zmiecione przez wiatr, co spowoduje wielkie zamieszanie: w ciemnościach i rozgardiaszu Cezarion znajdzie sposobność, by uciec w stronę góry, i ukryje się od razu w grocie narysowanej przez nich na mapie wraz z planem pobliskiej wioski, gdzie będą na niego czekać bracia Meroe – młodszego strażnika.

Etiopowie boją się wiatru, gdyż wierzą, że to bóg jałowości pali ich ziemię i zmienia ją w pustynię. Nie będą długo sprawdzać, kto jest, a kogo brakuje.

Jeśli Cezarion dotrze do morza, mając przy sobie w ukryciu kilka ze swoich klejnotów, kupi sobie przejazd do Arabii lub Indii.

Cezarion ze wzruszeniem podziękował dwóm młodym żołnierzom: wrócili mu wiarę, że nie wszyscy ludzie, którzy żyją na dworze w cieniu władzy, stają się chciwi i źli. W wyrazie wdzięczności i na przypieczętowanie ich przymierza podarował im dwie wielkie czarne perły z korony Afry, tak uciążliwej w noszeniu. Dowiedział się, że jeszcze trzy dni dzielą ich od dotarcia do krainy nękanej wichrem. Kiedy żołnierze mieli się już żegnać, starszy z nich, imieniem Besso, spuściwszy wzrok, spytał, czy może mu zadać pytanie.

– Śmiało, słucham cię.

– Dla nas to nic nie zmienia, ale... kim ty jesteś naprawdę?

– A jak sądzicie? – odpowiedział pytaniem Cezarion, mimo panujących ciemności próbując im zajrzeć w oczy.

– Naszym królem, synem Artaksa. Ale wielu twierdziło, że pod tymi szatami ukrywa się niewiasta... – wyjaśnił młodszy, Meroe, nie zdolawszy dokończyć zdania, zawstydzony swoją śmiałością, gdyż odkąd po raz pierwszy popatrzył na statku na Afrę stojącą na mostku, nękała go ciekawość.

– A jednak od kiedy cię znamy, wiem, że jesteś naprawdę królem, lecz jakimś innym od naszego... – wtrącił starszy żołnierz z ledwie słyszalnym zmieszaniem w głosie, rzucając surowe spojrzenie młodszemu.

– I rzeczywiście jest tak, jak mówisz, Besso. Zachowajcie tę tajemnicę, jeśli Fortuna dopomoże mi w ucieczce. Ujawnijcie ją, kiedy dowiecie się o mojej śmierci. Jestem Cezarion, syn królowej Egiptu.

Meroe nie umiał powstrzymać nieśmiałego okrzyku zaskoczenia i rozczarowania, podczas gdy Besso skłonił się, żegnając się w imieniu obydwu:

– Będziemy posłuszni twym słowom, możesz na nas liczyć.

Wymykając się nadzorowi Ezry i etiopskich dworzan, Cezarion zdołał spotkać się z nimi także następnej nocy, by wytłumaczyli mu jeszcze raz wszystkie szczególne cechy tej ziemi, z którymi spotka się w drodze. Opisywali mu je, studiując trasę na mapie narysowanej przez Bessa, pochodzącego z regionu nad morzem. Teraz zarówno Meroe, jak i Besso wiedzieli, że ich prawdziwy pan, czy to kobieta, czy mężczyzna, znajdował się w Egipcie, na statku zwróconym dziobem ku Aleksandrii. I podziwiali boskie zrządzenie przypadku, które udaremniło podwójny gwałt i uczyniło z nich narzędzie swoich działań.

Cezarion z biciem serca oczekiwał na dotarcie do Danakil. Zatem to wiatr miał go uratować – nie wody Nilu, ale wiatr Danakil. Zawsze kochał powiew wiatru w czasie długich ceremonii w Aleksandrii, w których od dzieciństwa uczestniczył u boku matki, stojąc nieruchomo i przyjmując hołdy nieznanym ludzi, będących jej poddanymi. Kiedy czuł jego powiew od strony pustyni, który rozwiewał mu kędziory pod mitrą, poruszał płaszcz i baldachim, igrając z dzwoneczkami na frędzlach, z tym, co najbardziej odpowiadało jego kapryśnej duszy. Cezarion przymykał oczy, wyobrażając sobie, że jest wolny i znajduje się tam, gdzie hula wiatr, na pustyni, z dala od tarasu czy pałacu.

Nadszedł oczekiwany dzień.

Nocą, jak przewidzieli Besso i Meroe, etiopski przywódca, uparłszy się, by nie zmieniać rutyny, nie słuchając argumentów lokalnych mieszkańców i nie mając zaufania do skalnych siedzib, kazał postawić jak zwykle namioty dla orszaku, przede wszystkim ten najwyższy, przeznaczony dla królewskiego więźnia. Kiedy nieubłagany wicher spłynął od gór, Cezarion był gotowy, odziany w lekkie szaty maskujące jego wygląd. Miał przy sobie sakwę z zapasami i z klejnotami, które cierpliwie wydłubał z korony, co sprawiło mu dziwną radość, wynikającą nie ze zniszczenia cennego przedmiotu, ale z unicestwienia symbolu swego okrutnego losu.

Nadciągnęła wyzwolicielska siła i rozpętała huragan, który powalił bezlitośnie namioty, porywając wszystko, z wyjątkiem ludzi i zwierząt rozplaszczonych na ziemi lub przywiązanych do pala, tak jak wielbłądy.

Tylko Ezra nie była w stanie uleżeć koło swoich kobiet i głucha na wszelkie błagania, wstrząśnięta ucieczką kochanka skradzionego córce, przepadła w otchłani, na której krawędź dotarli po całym dniu poszukiwań Cezariona.

W tej samej chwili, w której podnosił się wiatr i uwalniał Cezariona czołgającego się ostrożnie w stronę góry wskazanej mu przez jego zbawców, gdzie czekali na niego bracia Meroe, gotowi zaprowadzić go na wybrzeże, na Nilu, tysiące kilometrów dalej, Afra zanurzała palec w swojej śmierci.

Mimo długich poszukiwań w całym regionie nie odnaleziono nigdy śladu etiopskiego króla. Wtedy lud, pocieszany przez kapłanów tego miejsca i oszukany przez ministrów, chcących się przypodobać najeźdźcy, ukuł legendę, że syn króla Artaksa został porwany przez wiatr, który przybył domagać się oddania mu w hołdzie najcenniejszej ofiary, by zapewnić płodność pól. I tak wraz z zaginięciem młodego króla skończyła się prastara dynastia.

Tylko Amaltea nie potrafiła się pogodzić z utratą swego pana, który zgubił ją w tym zamieszaniu. Miauczała bezustannie, dopóki nie została zabrana przez kapłanów świątyni, która wśród swoich bóstw czciła także to nowe, należące do królewskiego syna.

AGRYPPÄ

Pierścień z trucizną, w której Afra zanurzyła palec, był powiernikiem pradawnego przekleństwa, przekazywanego w Egipcie z króla na króla. W swojej podróży w czasie, z ręki do ręki, aż do miękkich dłoni ostatnich królów z dynastii Lagidów, dostał się w posiadanie Kleopatry i jej syna Cezariona. Wiele legend powstało na temat tego talizmanu, który w szczególnych okolicznościach dawał królowi Egiptu możliwość otworzenia sobie ostatecznej drogi, by obronić swoją godność, a potem mścił się, rozsiewając chciwie śmierć na wszystkich, którzy ośmielili się podnieść rękę na władcę. Powiadano, że należał do wielkiego Nabuchodonozora albo do króla Salomona z Judei, czy też do królowej Saby. Wszystkie opowieści zgadzały się jednak co do tego, że trucizna nie była dziełem medyków i nekromantów egipskich, tak jak gdyby ta ziemia nie mogła stać się źródłem śmierci swego króla ani w Dolnym, ani w Środkowym, ani w Górnym Egipcie.

Sama Kleopatra, która widziała pierścień na palcu swego ojca i dziada, a potem odebrała bratu, zanim zginął w bitwie, nosiła go jako cudzoziemski klejnot zaklinający los. Królowa stworzyła sobie w istocie śmierć w śmierci obiecywanej przez zielony proszek, z upływem lat utożsamiając go coraz bardziej z obietnicą podróży do dalekiego kraju, niegraniczonego z jej własnym, bliższego Judei i Asyrii niż kramom mężczyzn jej życia, Cezara i Antoniusza. Na ziemiach na północ i na zachód od Egiptu śmierć nie stanowiła obieranej drogi, zbyt wiele było w niej przemocy. Pompejusz, Juliusz Cezar, a potem Oktawian, którzy rozsiewali ją we wszystkich częściach świata, przypominali dzikie bestie uwięzione w klatce własnego ciała, z której próbowali wyjść na oślep, w ciemnościach. Tylko fizyczne rozdarcie ciała mogło umożliwić im ucieczkę. Ale na Wschodzie, w tej innej krainie, z której pochodził pierścień, śmierć nie była ani ucieczką, ani rozdarcie.

Kleopatrze wydawało się, że gwałtowność rozdarcia ciała była dość naturalnym sposobem odejścia dla gościa, który zmęczony zegna się i wyrusza do nowej siedziby. Świadoma, że rządzi już tylko dzięki łasce zaskarżonej u władców Rzymu swym fascynującym urokiem, mimo iż jak każda Egipcjanka bała się śmierci, była zarazem przekonana, że dzięki temu zielonemu jadeitowi w kształcie skarabeusza jej poprzednicy mogli cieszyć się tą samą spokojną pewnością jak ona, szykująca się do podróży.

Pewnego razu, w pierwszych latach swoich rządów, kiedy jeszcze nie wyrobiła w sobie tego przekonania, dała się ponieść kobiecej ciekawości podsyconej ironicznym przez Cezara, który bawił się starym klejnotem zsuniętym z jej palca. Kazała zanalizować truciznę jednemu ze swych najsłynniejszych medyków. Archiatra Harpokrates, po zbadaniu proszku, oddał skarabeusza królowej:

– Ta tajemnica nie chce się odsłonić medykowi. Tylko ty, królowo, możesz ją przeniknąć.

Cezar, zajęty czytaniem meldunków z Pontu, gdzie szykowała się wojna, oderwał się od nich, słysząc te słowa, i przyglądając się uważnie Harpokratesowi, powiedział:

– Co z ciebie za medyk? Twoja królowa wiedziała to i bez twojej cennej rady.

– Musi zatem dalej dźwigać ciężar tej wiedzy albo odsunąć ją od siebie. Sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż się może wydawać, skoro królowa zwróciła się o pomoc do mojej mądrości. Ja nie mogę jej pomóc w niesieniu tego ciężaru, jestem zdolny tylko do jednej z tych dwóch rzeczy, i tę mogę dać mojej królowej.

– W Rzymie się tego dowiemy, Kleopatro, bez tych sofizmatów twoich przemądrzałych poddanych.

Kleopatra jednak, zamknięta w enigmatycznym porozumiewawczym uśmiechu, którym pożegnała swego medyka z Antiochii, wsunęła na palec wskazujący pierścień i od tej pory się pilnowała, by nie dawać go więcej Cezarowi, żeby nie zabrał go przypadkiem do Rzymu. Cezar był zanadto opętany żądzą odcisnięcia swojej siły na sprawach żywych, niezliczonych rzesz zamieszkujących różne kraje i należących do odmiennych cywilizacji. Ona chciała sprowadzić wielość do jedni, w tym leżały jej charyzma i przeznaczenie.

Zanim wiele lat później Kleopatra kazała sobie przynieść żmiję w koszu z figami, odbywając ostateczną podróż ku nowym siedzibom na Wschodzie, gdzie pierścień został wykuty, przekazała go swojemu ulubionemu synowi, na wypadek gdyby nie udało mu się uratować, uciekając Nilem w stronę Etiopii, a potem Indii. Krąg śmierci i reinkarnacji, nieczystego i grzesznego cyklu, wyobrazonego symbolicznie przez pierścień, będący wiecznym memento na palcu tego, kto go nosił, mógł zostać na koniec przerwany w tamtych dalekich krainach przez czystą i niewinną duszę, taką jak jej młodziutki Cezarion. Nie przez zmęczoną królową, taką jak ona.

Zbyt krótko jednak Cezarion nosił go na swym palcu. Nie potrafił w czasie swojej podróży po Nilu otworzyć się na alegorię innej wielkiej podróży, zdobył się tylko na niejasne podejrzenia. Przeszkodziło mu w tym naturalne pragnienie, aby dotrzeć do celu żywym, zbyt młode było jego ciało, zbyt podobne do ciała ojca, by mogło dojrzeć do obrania innej drogi.

W chwili powierzenia go Afrze przeczuł jednak niebezpieczeństwo rozstania się z nim, jak gdyby nagle, ściągając go sobie z palca, rozumiał, że dawał mu on dar nietykalności. Ale o czyją nietykalność miały się troszczyć bardziej, jeśli rzeczywiście jakieś tajemnicze prawo mogło dać pewność i ochronę niedoświadczonej, zagubionej podróżnicze, jaką była wtedy Afra?

Podróż, o której Kleopatra myślała przez całe życie – we śnie śmierci, stała się udziałem kobiety jej syna, Cezariona. To Afra odkryła tę tajemnicę, nie mając pojęcia, że jest córką siostry Kleopatry. Wystarczyło jej zadać sobie raz pytanie, jaka śmierć oczekuje ją za sprawą zielonego proszku, by przez jakiś tajemniczy związek z tym samym pytaniem, które zadawali sobie wcześniej dziesiątki razy mniej niewinni, poprzedni właściciele pierścienia, dopełniły się przeznaczenie i siła tego talizmanu, oczekującego od wieków, żeby okazać pełnię swojej mocy, wzbogacając tę podróż inicjacji i przebudzenia.

Tak więc Afra pogrążyła się w śnie bez snów, zawieszona między demonami, które rozhułały się, aby ją chronić i pomścić, zanim otworzy oczy: niezwłocznie rozpełzło się między wszystkimi obecnymi na pokładzie statku lodowate przecucie, nieuchronna świadomość nadchodzącego końca. Zdawało się, że każdy biegnie ku śmierci, jak na jakieś obowiązkowe święto, na zbyt wiele razy odkładane spotkanie.

Zdraycy zaczęli padać jeden po drugim, najpierw Teodot, potem Rodon. Siepacze Oktawiana dopełnili okropnego dzieła, które Porus, rozgorączkowany niezdrowym jasnowidzeniem, przeczuł na widok zbliżającego się ku nim statku z Aleksandrii: zwrócił uwagę Sosigenesa, że to już drugi, po spotkaniu z tamtym pierwszym, który opóźnił ich podróż.

Starcie było krótkie. Zginęli Lania, Sosigenes, Porus, Omfalus i Narcyz, niemal nie wydając jęku, ofiarowując się Parkom jak wyzwolicielkom.

Tylko Areta stawiał opór, krzycząc, że jest przyjacielem Oktawiana, że nowy Cezar zawdzięcza mu władanie nad Egiptem, że drogo zapłaci za swoją zbrodnię. Agryppa nie stracił ducha i rozkaz zabicia także dowódcy statku został wykonany przez trybuna Marka Skryboniusza.

Wykonawszy swe krwawe zadanie, mordercy podążyli za Agryppą w stronę kajuty bezbronnego króla więźnia. Agryppa zatrzymał ich jednak na progu. Chciał wejść tam sam. W półcieniu pomieszczenia zobaczył, że Cezarion śpi i zatrzymał się z dłonią na rękojeści ukrytego miecza.

Leżący na boku na poduszkach młodzieniec zdawał się pogrążony w śnie zbyt głębokim, by był naturalny. Oblicze, promieniujące surową pięknnością, było przerażająco blade pod lekką warstwą pudru: Agryppa zauważył na podłodze otwarty pierścień, noszony wcześniej przez Kleopatę. Zielony proszek rozsypał się wokół niego. Bez wątpienia Cezarion, jak wcześniej matka, zadał sobie śmierć. Agryppa zdjął dłoń z rękojeści miecza i schylił się, aby lepiej ułożyć młodzieńca na łożu.

Zasłony Cezariona rozchyliły się z wolna, kędziory podtrzymywane czarną taśmą rozsypały się na ramiona i prawda o pięknym ciele Afry ujawniła się Rzymianinowi w całej oczywistości.

Kim była ta kobieta o skórze barwy miedzi?

I Agryppa, od pytania do pytania, odsłaniając jej kształty, dał się oczarować tej cudownej martwej figurze, tej cudownej postaci. Aryppa, szorstki marynarz, mężny Sabin, który z lojalności do osoby Oktawiana nie zawahał się wziąć na swoje barki odpowiedzialności za tę odrażającą zbrodnię, uświadomił sobie, że nie potrafi zebrać myśli i zdecydować, jak postąpić. W rzeczywistości czuł wrzenie pod skórą, jak gdyby dręczyła go gorączka, płomień podsycany przez widok tej młodej kobiety.

Co się z nim działo, czy to możliwe, aby aż tak go zafascynowała?

Była jednak martwa... On, surowy ojciec, sprawiedliwy, którego między licznymi zdeprawowanymi i skorumpowanymi słuźalcami, jacy go otaczali, Oktawian wybrał na zięcia, zmusiwszy go do rozwodu, aby mógł poślubić jego córkę... cóż to za szaleństwo chodziło mu po głowie?

Z nadludzkim wysiłkiem, prawie jak gdyby gorączka pętała mu ramiona i nogi, Agryppa powstrzymał się od wyciągnięcia się obok zmarłej. Gdyż cała jego jaźń żądała, aby położył się koło kobiety, która nadała śmierci tak uwodzicielski czar. W końcu ograniczył się tylko do czulego muśnięcia czoła śpiącej.

Wyczerpany usiadł przy stole, przy którym wprawdzie Cezarion, potem Afra spędzili tyle dni na lekturze. Zamknął oczy, by odsunąć od siebie widok tego, który odsłonił przed nim swój sekret. W jego umyśle przyjmowała bowiem coraz wyraźniejszy kształt pewna myśl: Juliusz Cezar nigdy nie miał syna z Kleopatry, królowa Egiptu urodziła mu córkę. Ale z powodów politycznych i koniunkturalnych tożsamość dziedzica została przez nich ukryta i zafałszowana.

Być może potem niespodziewana śmierć przeszkodziła Cezarowi w zmianie zdania i uwolnieniu swej sukcesji, już przesądzonej na korzyść syna siostrzenicy Atii, od budzącego strach egipskiego rywala. I tak przez całe życie nieszczęśliwe piękne stworzenie musiało nosić maskę i ciężar cudzej płci, budząc do końca pioruny i przemoc przyciągane przez dziedzictwo swego imienia.

Agryppa wzruszał się na myśl, że ta słodka istota nigdy nie poznała miłości, prawdopodobnie z powodu tajemnicy, której musiała dochować.

W jego żyłach płynęła krew Rzymian, którzy ustanowili na świecie nowe, po Aleksandrze, uniwersalne imperium. Agryppa pamiętał, że ujrzał jako chłopiec wielkiego Cezara, ale teraz obraz tej twarzy z trudem nakładał się na oblicze nieznanego światu córki.

Stał się więc depozytariuszem tajemnicy, która należała tylko do Kleopatry i Cezara, i której nawet Oktawian nie zdołał przeniknąć. Dzisiaj wydawało się zrzędzeniem losu, że sekret został odkryty nie przez adoptowanego dziedzica Cezara, ale przez jego najwierniejszego oficera. Agryppa wiedział, że Oktawian uwierzy tylko jemu samemu: powie prawdę swemu władcy, nie pokazując mu jednak zmarłej, znał jego charakter nazbyt dobrze, wiedział, że nawet świadectwo śmierci ani świadomość, że jest wolny od rywalizacji z męskim dziedzicem, mu nie wystarczy i nie uspokoi go do końca. Agryppa musiał uchronić tę idealną uśpioną istotę od bezlitosnych rąk medyków Oktawiana Augusta i egipskich kapłanów.

Pozostawi ją śpiącą, tak jak ją odnalazł, bezbronną i oddającą się pod jego opiekę. Agryppa postrzegał w tym spotkaniu znak zesłany przez jej ojca, stającego w ten sposób na przeszkodzie zakusom swego spadkobiercy. Dla Oktawiana władza nad Rzymem, dla Cezariona, kimkolwiek jest, życie: taka była woła Cezara, którą Agryppa odczytywał w niezwyklej łańcuchu wypadków. Do niego należała misja uszanowania jej i zatajenia. To dlatego jakiś głos w piersi przemówił do niego, nakazując mu udać się na poszukiwanie Cezariona i oddalić Oktawiana z Aleksandrii.

Zbliżył się ostrożnie i nieśmiało do tego Cezariona, którego odkrył, poczuł ponownie falę czułości przepływającą mu przez żyły, podczas gdy porządkował szaty dziewczyny i swymi szorstkimi rękami wsuwał rozsypane włosy pod czarną taśmę. Gdy zamknął oczy, zapach tego ciała stał się jeszcze bardziej upajający. Chciał przeprowadzić ostatnią próbę, przyłożyć do ust zwierciadło, żeby zobaczyć, czy choćby najlżejszy oddech życia zmąci powierzchnię szkła. Coś jednak go powstrzymało i zostawił lustro na ścianie. Owinął dodatkowo ciało w najobszerniejszy, ale nie najbardziej okazały płaszcz znaleziony w skrzyni z ubraniami, oddając tej figurze godność, która nie zdradzała zarazem od razu jej królewskiej rangi. Małą łódź, którą statek holował za sobą do kontaktów z nabrzeżem, kazał przystroić na podobieństwo żałobnej trumny. Zniósł do niej ciało, które traciło coraz bardziej swoje rysy i niebezpieczną tożsamość, gotowe do podróży obiecaną przez pierścień Kleopatry noszącej go dziewczynie. W tajemnicy przed swoimi ludźmi, którzy sądzili, że chodzi o gest litości wobec syna Cezara, Agryppa umieścił osobiście w łodzi amforę wina i prowiant na kilka dni, włożone do sakwy z koziej skóry.

Pierścień Kleopatry, starannie zamknięty, został już wsunięty na palec tej istoty. Aleksandryjski sternik przewidywał, że po kilku dniach łódka zgubi się w jednej z odnóg delty i osiadzie gdzieś na brzegu w czasie odpływu morza. Nigdy nie dotrze do Aleksandrii. Tak więc, jeśli tajemnicza piękna istota zbudzi się ze swego snu, będzie mogła rozpocząć nowe życie, z dala od morderczej ręki Oktawiana Cezara. Jeśli zaś nie zechce się przebudzić, jej podróży nikt już nie zakłóci.

Odepchnąwszy delikatnie łódź od burty, Agryppa długo przyglądał się jej, jak dryfuje na obrzeżu nurtu ze swym niewidzialnym pasażerem. I ujrzał nad nią czarne skrzydła uwolnionego przez Porusa na chwilę przed śmiercią gwarka, który zdawał się czuwać nad łódką i tajemnicą jej pasażera.

SEN OKTAWIANA

Oktawian Cezar spał w swoim domu w Rzymie obok żony Liwii.

Jego umysł jednak w tych godzinach przed świtem opuszczał ciało i szybował do ostatnio odwiedzanej krainy – Egiptu Kleopatry.

Przyszły pierwszy cesarz rzymski, który wkrótce miał otrzymać od senatu tytuł Augusta, śnił.

Śnił, że znajduje się znowu z Agryppą w Aleksandrii, w przytulnych komnatach Cezariona.

Apartamenty Cezariona jawiły mu się teraz odmienne w swej prostocie, jak gdyby dopiero teraz odsłoniły w pełni młodzieńczy wdzięk aleksandryjskiej księżniczki, która je zamieszkiwała: kapryśność i wyrafinowanie fantazji, upodobanie do tkanin i kwiatnych wzorów, tajemnicze bogactwo aromatów, dziwaczne imiona nadane kotom, nawoływany przez nubijskie niewolnice, które chciały nakarmić wygłodniałe zwierzęta.

To wszystko, co Oktawian Cezar zobaczył w opuszczonej siedzibie, przyjmowało teraz we śnie kształt i atmosferę odmienną od tych, które nasunęły mu na myśli wiersze Asklepiadesa w czasie wizyty. I te dwa obrazy nakładały się na siebie, uwalniając Oktawiana, który chciał widzieć Cezariona martwym, od obawy przed nim.

Oktawian śnił, że szuka portretu, który pokaże mu na koniec sekretną córkę Juliusza Cezara.

– Za późno – wyszeptał poprzedniego wieczoru, kiedy Agryppa wyjawiał mu bezużyteczność polowania na Cezariona. Tego Cezariona, który nigdy nie istniał, podkreślił z naciskiem Agryppa, tego Cezariona, którego Kleopatra chciała postawić na drodze Oktawiana do dziedzictwa Cezara, i którego on, Agryppa, ujrzał martwego w obliczu najpiękniejszej dziewczyny, jaką widziały kiedykolwiek jego oczy.

– Ale czy to możliwe – nalegał niespokojnie w swym śnie Oktawian – że nie ma żadnego portretu? Musi jakiś być w tych komnatach, niewolnice na pewno wiedzą, gdzie się znajduje!

– Atropos, Lachesis, Kioto! Przybądźcie tu, moje skarby, mamusia was nakarmi... – stara ciemnoskóra niewolnica, nie dbając o obecność Oktawiana Cezara i Agryppy, nawoływała z okna koty.

A one przybywały prędko jak strzała, przeskakując przez stopy Oktawiana, żeby dotrzeć jak najszybciej do rąk rozdających kawałki mięsa.

– Posłuchaj, troszczysz się o jej zwierzęta: wiesz, gdzie twoja pani trzymała swój portret? Wierny wizerunek, nie jak te posągi ustawione w portyku... Zrozumiałaś, kobieto? – przemówił Oktawian, uderzony dziwną obojętnością starej Murzynki, od której bił niewyobrażalny fetor.

– Moja pani jest daleko, w podróży, nie wróci szybko, ale powiem jej, że jej szukałaś, powiem... – i stara kobieta, nie odwróciwszy głowy w stronę Oktawiana, dalej karmiła nadbiegające ze wszystkich stron koty. Była więc szalona albo przynajmniej tak głucha, że nie rozumiała zadawanych jej pytań. I w dodatku zezowata, skoro zwróciła się do niego, jakby był kobietą.

– Ile tu kotów, Agryppo, popatrz, nie można ich zliczyć!

I rzeczywistość miłość poprzedniej władczyni do świętego zwierzęcia Egipcjan zdawała się bezgraniczna. Koty wyskakiwały spod łóżek, z szaf, ze schodów, z portyków, z każdej komnaty, ich niepokojące i gorączkowe miauczenie przytłaczało dwóch Rzymian.

Oktawian i Agryppa nie mogli już tego wytrzymać, z trudem przedzierali się do drzwi, przez które weszli. Pałac był jednak wysoki, dużo wyższy niż ten, który Oktawian pamiętał ze swojej jedynej rzeczywistej wizyty: kręcone schody następowały jedne po drugich niczym w gigantycznej skorupie ślimaka. W pewnej chwili urywały się i odwracały do góry nogami, dla pani domu chodzącej jak ludzie z antypodów, głową w dół i nogami do góry.

– Schodźcie, schodźcie, zanim odleci! – wołali z dołu wojskowi trybuni z orszaku Oktawiana Cezara. Wychyliwszy się przez balustradę schodów, Oktawian widział w istocie mały tłumek Rzymian i Egipcjan, którzy próbowali przyciągnąć jego uwagę.

Jakie niebezpieczeństwo groziło im w tych apartamentach? Co ci ludzie mieli na myśli?

– Oktawianie, zdaje się, że pałac zaraz odleci, popatrz w górę...

Agryppa wskazywał palcem w stronę nieba: wielkie białe żagle rozwijały się powoli, trzepocząc na tle błękitnego nieba, podnosząc w nadziei lotu wyższe piętra pałacu, który coraz bardziej przypominał statek.

– Dalej, kochaniątka moje, odjeżdżamy, ruszamy poszukać naszej pani, która na nas czeka... – stara czarnoskóra niewolnica, która wcześniej przywołała imiona Parek w imionach kotów, nie rozmawiała już z wygłodniałymi zwierzętami, zwracała się teraz do nich, do Oktawiana i Agryppy. A jej zaproszenie pozostawało w dziwnej sprzeczności z nawoływaniem z dołu. Oblicze o pustych oczodołach jednak zapowiadało już wielką sterniczkę podróży bez powrotu, siłę, która żywi cierpienie i niszczy miłość. Głucha na imiona, ślepa na płęć, o podwójnym zmaconym spojrzeniu. Tak odmienna od tej, która rozchyłała drzwi i uwalniała od ciasnych pokoi, otwierając drogę do innego skrzydła w labiryncie czasu, tak jak wyśniła ją sobie Kleopatra.

Z trudem poruszając nogami ciężkimi jak z marmuru, Oktawian i Agryppa uciekali po schodach.

Dlaczego musiał uciec z tego domu, nie zobaczywszy córki Cezara?

Kto zasłaniał ją przed nim, który kazał jej umrzeć, nie znając jej prawdziwej tożsamości?

Nie mógł znieść myśli, że nigdy jej nie ujrzał: ta myśl dręczyła Oktawiana, podczas gdy nareszcie docierał na ziemię.

Dom Cezariona zaś rozwijał żagle, ku którym wszyscy wznosili oczy, wciąż przerażeni przez śmierć zapraszającą ich, by poszli za nią wraz z żałobnymi kocimi rumakami. Na białych żaglach pojawiał się niewyraźny zarys kobiecego oblicza. Egipscy dworzanie szeptali imię, niektórzy ze łzami w oczach, inni rzucając ukradkowe spojrzenie pełne nienawiści w stronę Oktawiana Cezara.

To było jej imię, imię sekretnej córki Cezara. Choć Oktawian nie był w stanie usłyszeć go wyraźnie we śnie, pojmował, że te tajemnicze sylaby składały się na jej prawdziwe imię, które miało pozostać tak samo niezgłębione jak jej oblicze.

Oktawian Cezar jednak widział koło siebie twarz aż nazbyt znaną, nie tamtą nieznaną, której szukał tak usilnie.

To była Liwia, jego żona.

Budząc się, podczas gdy światło przenikało do komnaty, padając prosto na jej oblicze, widział ją w rzeczywistości, tę rzymską żonę, która we śnie była córką Juliusza Cezara. Słyszał jej ciężki oddech, chwilami szybszy, świadczący o emocjach, jakie i jej przypadały w przygodzie snu, rozszerzając granice jej świata. Na półce obok łóżka stała w równym szeregu kolekcja starannie wyczyszczonych figurek z gliny, wzbogacona o odpoczywającego Herkulesa z maczugą, cenny męski egzemplarz z kolekcji Cezariona, który Oktawianowi udało się dać do naprawy w Atenach.

Dlaczego doprowadził do śmierci tę egipską istotę, która teraz mogłaby spoczywać z nim w jego łóżu, córka Cezara i małżonka Oktawiana? Jaki bardziej błyskotliwy i sprawiedliwy plan niż takie małżeństwo oraz większy szacunek dla woli jego wielkiego ciotecznego dziadka można by sobie wyobrazić?

I podczas gdy Liwia otwierała swe magnetyczne błękitne oczy chciwej i doświadczonej mistrzyni gry o władzę, Oktawian zamykał powieki, by ukraść ze snu jeszcze chwilę poszukiwania oblicza tej, która w tym czasie podróżowała na swej kruchej łodzi w Dolnym Egipcie i budziła się oszołomiona między trzciniami na prawym brzegu Nilu. Powracał do swego ciała umysł, który widział, jak Cezarion ucieka z wiatrem i przedostaje się na brzeg Morza Czerwonego, gdzie ona będzie mogła do niego dołączyć.

OD AUTORA

W starożytnej historiografii niewiele jest świadectw o Cezarionie, wyjąwszy fragment Plutarcha z *Żywotu Antoniusza*: „Cezariona, którego miała, jak mówiono, z Cezarem, matka wysłała ze znaczną sumą pieniędzy przez Etiopię do Indii. Ale drugi wychowawca, równy Teodorosowi, Rodon, namówił go do powrotu, jakoby Cezar powoływał go na króla. Kiedy jednak Cezar zastanawiał się nad tym, Arejos miał powiedzieć: Niedobre jest wielowładztwo. Tego więc Cezar później, po śmierci Kleopatry, zgładził”.

We współczesnej poezji o Cezarionie pisał Konstandinos Kawafis, podkreślając bardziej fantastyczny niż historyczny wymiar tej postaci. Cytuję tutaj, w podsumowaniu powieści, wiersz, z którego pochodzi epigraf książki:

Częścią, by się rozeznąć w epoce, częścią, ażeby czas mi się nie dłużył, tom ptolemejskich inskrypcji wczoraj w nocy otwarłem i zatonałem w lekturze.

Ach, ten natłok chwaleb i przymilnych pochlebstw, tak do siebie podobnych. Władcy – przewspaniali, silni i zacni, wszak dobro tylko sprawiali; każde ich przedsięwzięcie było szczytem rozwagi; kobiety z tego rodu także były świetne: Bereniki i Kleopatry wszystkie, co do jednej.

Już rozeznawszy się jakoś w epoce, książkę miałem odłożyć, gdyby pewna drobna i nieistotna wzmianka o królu Cezarionie raptem uwagi mojej nie przykuła...

*No i przyszedłeś do mnie z tym swoim nieuchwytnym
czarem. Na kartach historii jest tylko parę linijek o tobie,
więc łatwiej cię mogłem stworzyć w wyobraźni.*

I stworzyłem cię pięknym i wrażliwym.

*Moja sztuka twą twarz przyoblekła w przejmującą urodę,
jakby z sennej wizji.*

*A moja wyobraźnia cię wyposażyła w taką pełnię, że
późno w noc, gdy mi zgasła lampa – świadomie zgasnąć
jej dałem – zwidziało mi się, żeś wszedł do pokoju i stanął
przede mną, podobnie jak wówczas, gdyś w zdobytej
właśnie stanął Aleksandrii, blady i znużony, a tak piękny w
smutku, jeszcze pełen nadziei na współczucie gminu
sarkającego: „zbyt cezarskie zrobiło się miasto”.*

Konstandinos Kawafis, *Czekając na
barbarzyńców i inne wiersze*

Wydaje mi się, że pamiętam, jak zrodził się pomysł tej powieści. Pewnego lipcowego wieczoru 1986 roku znajdowałem się na tarasie rzymskiego hotelu wychodzącego na Forum Romanum, niedaleko od teatru Marcellusa. Wpatrując się w ciemność, rozróżniałem wśród ruin więzienie, w którym, jak wiedziałem, wykonano wyrok śmierci na kilku wielkich wrogach Rzymu. Kiedy Paola Masino, która dotrzymywała mi towarzystwa wraz z innymi przyjaciółmi, usłyszała, jak przywołuję tragiczną historię tego miejsca, z typowym dla niej żarem, odmładzającym ją nagle o dziesięciolecia, zaczęła mówić o Wercyngetoryksie: „Sześć lat go tam trzymał Cezar, sześć lat!... Niech pan to opisz, panie Pazzi, niech pan to opisz...”. W ten sposób powstał pierwszy fragment mojej wizji „dar bogów”, który zawdzięczam nieżyjącej już, tak drogiej mi pisarce.